



SIECI

**DONALD TRUMP
ODCHODZI,
JEGO RUCH
POLITYCZNY
ZOSTAJE**

**CZY AMANTADYNA
MOŻE LECZYĆ COVID-19?
PILNUJEMY SPRAWY**

JANECKI O RUCHU HOŁOWNI:

**PARTIA PERFUM
I SHOW-BIZNESU**

**GOŁĘBIEWSKI
ŻEGNA BOHATERSKĄ
LIDIĘ LWOW-EBERLE**



SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 2 (424) 2021
11-17 stycznia 2021

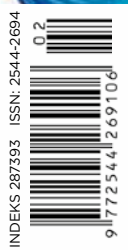
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY KULISY AFERY SZCZEPIONKOWEJ

UKŁAD

**JAK DOSZŁO DO TAK WIELKIEJ
KOMPROMITACJI WPŁYWOWYCH
CELEBRYTÓW, POLITYKÓW I AKTORÓW?
TO AFERA O ZNACZNIE WIĘKSZYM
ZASIĘGU NIŻ ŚRODOWISKO TVN**

ELIT I ELITEK



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269106



WYDARZENIA

BOGACTWO KANAŁÓW!

POLECAMY PAKIET DLA CAŁEJ RODZINY ZA **30 ZŁ/MIES.**



MROCZNE MATERIE

HBO

nickTOONS



ELEVEN SPORTS

SERIE A
TIM

Na start pełna oferta przez

**3 MIESIĄCE
BEZ OPŁAT!**

TV SATELITARNA

TV KABLOWA IPTV

TV INTERNETOWA

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV z Pakietem M oraz internetowej z Pakietem Komfortowym przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat” nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Mroczne materie II” © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Serie A TIM w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. Oferta ważna na dzień 13.01.2021 r.

Puczyści grają moralistów

Opozycyjna gromadka przyzwyczaiła nas do różnych manipulacji, ale próba odwracania kota ogonem podjęta w ubiegłym tygodniu to już czysty cynizm. Ekipa, która w grudniu 2016 r. próbowała siłowo przejąć władzę, łącząc okupację sali sejmowej z agresją tłumu wokół, która pochwałała fizyczne ataki na niekontrolowanych przez siebie dziennikarzy, która publikowała instrukcje, jak „wylączyć prąd” w państwie, teraz próbuje przyczepić agresję polityczną ekipie Zjednoczonej Prawicy.

A przecież takich prób zorganizowania puczu było później jeszcze kilka – ostatnia w końcu ubiegłego roku, kiedy pod wulgarnymi sztandarami tzw. Strajku Kobiet i przy wyciu wyzwisk przetoczył się miała bolszewicka w stylu rewolucja. Pamiętamy, że żaden eksces, żadna wulgarność, żaden akt przemocy – także wobec księży czy policjantek i policjantów – nie wywołały po tamtej stronie odruchu sprzeciwu, odcięcia się. Odwrotnie – sypią się nagrody, tworzone są zestawienia rewolucjonistek i rewolucjonistów.

Morze słów nie zmienia podstawowego faktu, że od 2015 r. to właśnie środowiska opozycyjne prowadzą nieustający, świadomy i konsekwentny atak na polską demokrację. Od pierwszego dnia zmiany władzy do dzisiaj nie zaakceptowały wyboru Polaków. Nie chcą tego powiedzieć wprost, ale czasem się wymyka: dla nich to obraza, bo czują się właścicielami Polski. Często nieprzerwanie od roku 1944.

Dlaczego te operacje się nie udają? To też opozycyjne środowiska mówią wprost. Po pierwsze, przez premiera Jarosława Kaczyńskiego, który zapewnia jednoznaczne przywództwo i jedność obozu Zjednoczonej Prawicy. Po drugie, przez media. Te niezależne, które i państwo, czytając tygodnik „Sieci”, współtworzą, i te publiczne, dzięki prezesowi Jackowi Kurskiemu są realną przeciwwagą dla potęgi lewicowo-liberalnych mediów. To właśnie brak monopolu medialnego ogranicza skuteczność tych akcji, nie pozwala na

użycie skumulowanego kłamstwa do przejęcia władzy.

Po trzecie, bo wyborcy Zjednoczonej Prawicy to ludzie w ogromnej części ideowi i inteligentni, rozumiejący, że największe lewicowo-liberalne organizacje medialne i społeczne nie są dziś żadnym niezależnym arbitrem, lecz zaangażowanym uczestnikiem gry. Podobnie jak potężne platformy internetowe, cenzurujące już beczelnie także prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ograniczanie możliwości dotarcia do innych ludzi o poglądach konserwatywnych jest tam normą od dawna. Z wolnością słowa, troską o równość nie ma to nic wspólnego. To coraz częściej narzędzia politycznej przemocy, pozwalające jednych niszczyć, uniemożliwiające ofiarom obronę adekwatną do siły ataku.

Z takimi myślami żegnamy prezydenta Donalda Trumpa. Żle się stało, że końcowym akordem były akty przemocy dokonane przez ludzi przedstawiających się jako jego zwolennicy. Ale to nie Trump je zorganizował, potępił je też wszyscy republikanie. Dla kontrastu – antytrumpowe akty przemocy bojówek lewicy były przez lata akceptowane przez media i demokratów. Obalanie pomników twórców Stanów Zjednoczonych opisywano jako uzasadnione wybuchy złości uciskanych, a pochwały socjalizmu jako receptę na rozwój. Znamy to za dobrze, by nie uśmiechać się gorzko.

Nic nie zmienia faktu, że była ta prezydentura próbą przywrócenia zdrowego rozsądku w wielu obszarach, od ochrony życia, przez politykę międzynarodową, po relacje z Chinami. W wielu wypadkach udaną. Te tematy i problemy też nie zniknęły, trumpsizm jako idea obrony normalności przed lewicowym szaleństwem, jako sprzeciw wobec niekończącego się wyprowadzania fabryk i miejsc pracy do Chin też się nie kończy. A Polska w tym okresie i w dużej mierze dzięki prezydentowi Trumpowi znacznie zwiększyła militarne bezpieczeństwo, uzyskała zniesienie wiz do USA, współorganizowała Trójmorze. Warto być z tego dumnym.

Także w tej sprawie kłamstwo nie triumfuje.

Michał Karnowski





29

**Między trollingiem
a emeryturą**
Jan Rokita



35

Wilk w owczej skórze
Marzena Nykiel



67

Wielki odlot
Cezary Kowalski

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 LUDZIE Z PALMĄ**
Krzysztof Feusette
- 9 PIĘKNY POCZĄTEK**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 NIKT NAM NIE PODSKOCZY
I NIKT NIE NAKOPIE!**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 JAK SZCZĘPIĆ ELITY**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA EDYTY LEWANDOWSKIEJ**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 POLACY INWESTUJĄ W SZTUKĘ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 KAPITOLIŃSKIE NARZĘDZIA**
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

- 20 ŻENUJĄCY SPEKTAKL**
Marek Pyza, Marcin Wikło
- 26 Z PROF. KONRADEM REJDAKIEM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

KRAJ

- 29 MIĘDZY TROLLINGIEM A EMERYTURĄ**
Jan Rokita
- 32 Z KONRADEM SZYMAŃSKIM**
rozmawia Edyta Hołdyńska
- 35 WILK W OWCEJ SKÓRZE**
Marzena Nykiel
- 38 PARTIA PERFUM**
Stanisław Janecki
- 40 Z ARKADIUSZEM GOŁĘBIEWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

OPINIE

- 44 KARYKATURA CZY... EPOS RYCERSKI**
Jerzy Biernacki

ŚWIAT

- 48 OCALIĆ AMERYKĘ**
Aleksandra Rybińska
- 52 TEOLOG ASENIZATOR**
Grzegorz Górny
- 54 PRZYGOTOWANIA DO PRZEŁOMU**
Marek Budzisz

SIECI KULTURY

- 57 ROZGRYWKI NA OCEANIE**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 59 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 60 WYCIĄG Z BŁAWATKA**
Robert Tekieli
- 61 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 62 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

- 64 GORĄCZKA ŻŁOTA**
Konrad Kołodziejcki

SPORT

- 67 WIELKI ODLOT**
Cezary Kowalski
- 70 W TRASIE PO RAJDOWĄ
NIEŚMIERTELNOŚĆ**
Michał Muzyczuk

KUCHNIA

- 74 MOJE SMAKI: JAKUB STEUERMARK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 76 ORKIESTRA I JEJ DYRYGENCI**
Hanna Karp
- 78 PRZYWRACANIE POLSKI**
Alina Czerniakowska
- 80 FELIETONY**
Piotr Cywiński, Lech Makowiecki
- 81 ZE STAREJ SERWANTKI...**
Leszek Długosz
- 82 „ABSURD NASZEGO ŚWIATA”**
Andrzej Zybortowicz

ULUBIONA KAWA POLAKÓW* ... i nie tylko



Kimi
Räikkönen

Robert
Kubica

Antonio
Giovinazzi

* Źródło: badanie realizowane przez KANTAR POLSKA na reprezentatywnej próbie Polaków w wieku 15+, N=2025, Omibus – CAPI, czerwiec-lipiec 2020, badanie dostępne na www.stopcafe.pl

Sygnalista nadaaje

W całej aferze wokół szczepienia celebrytów poza kolejką najciekawszą jest obrona tego niecnego procederu. Na przykład prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak przekonuje, że „artyści są naszym dobrem narodowym”: „Naród powinien dbać o swoje elity. W Polsce, gdzie władza, mentalnie tkwiąca w socjalizmie, systemowo je niszczy, wciąż mamy z tym problem”. Socjalizm tu pasuje jak pięść do oka. Przecież te szczepionki rozdzielono na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym dokładnie tak, jak w PRL rozdzielano talony na duże fiaty czy też działki na Mazurach.

Włodarzowi Poznania odpowiedział **Jan Śpiewak**, stwierdzając: „Prezydent Jaśkowiak też uważa, że w Polsce żyje rasa panów”. Jaśkowiak ma rację: żyła i żyje. Szczepienia w WUM są w istocie tym samym, czym była afery Rywina: okazją do zajrzenia za kurtynę. Taki system celebryci mają na myśli, gdy skandują „kon-sty-tu-cja” albo gdy walczą o „praworządność”.

Śpiewaka zrugął z kolei socjolog prof. Ireneusz Krzemiński: „No i dalej na temat WŚCIEKŁYCH NAPAŚCI NA AKTORÓW I INNYCH, KTÓRZY ZOSTALI ZASZCZEPIENI poza formalną kolejnością! Znowu mój niestety chory na różne zawiści chrześniak Jan Śpiewak został świetnym propagandzistą rządowej, kolejnej fali nienawiści. I kto to atakuje elity? A TY, Jaśku, to jesteś murarz albo ten »biedak z miską ryżu«? Zresztą, murarze teraz i tak lepiej zarabiają, jak dobrze pracują, niż Twój Ojciec profesor i Twój chrzestny. Więc zastanów się, głupku, co wypisujesz!!”. I pomyśleć, że polska socjologia była kiedyś słuszną dumą narodu.

Prof. Zbigniew Gaciong, rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, czyli uczelni, w której szczepiono celebrytów, kilka lat temu zagrał w serialu TVN „Lekarze”; był też konsultantem medycznym tej produkcji. „Praca przy serialu »Lekarze« była fantastyczną przygodą. Autorami pomysłu na taką produkcję byli moi przyjaciele. Chcieli tworzyć serial, w którym byłaby prawdziwa medycyna. A że byłem jedyną osobą z medycznego świata, którą znali, zwrócili się z tym do mnie” – opowiadał w jednym z wywiadów. Teraz zrobił kolejny krok: zagrał w filmie sensacyjnym, i to opartym na faktach.

Celebryci tłumaczyli się różnie. Celebrytka i gimnastyczka Mariola Bojarska-Ferenc twierdzi, że szczepienie na WUM to efekt przypadku: „Tak, zaszczepiliśmy się z mężem. Ale to był zupełny przypadek. Po prostu wyczytaliśmy na stronie WUM informację, że jest taka możliwość, że jest dodatkowa pula dawek. I szybko zgłosiliśmy się z mężem do centrum przy WUM”. Proste, już wiadomo, co celebryci robią w wolnym czasie: studiują ogłoszenia na stronach wyższych uczelni.

Wśród zaszczepionych poza kolejką był także założyciel TVN Mariusz Walter, o czym pierwszy poinformował portal wPolityce.pl. Zapytany o tę sprawę odpowiedział, że „nie demontuje, nie potwierdza”, po czym dodał: „Nie czuję się na tyle winny, żebym rozważał, jak się powinienem zachować”. Fakt, cóż to jest przy całokształcie naszej transformacji, także tej medialnej?

*Muzyk
Zbigniew
Hołdys ma
nadzieję,
że nowy rok
przyniesie przełom.*

*„Ciekawe, czy
w 2021 Joanna
Szczepkowska
dostanie szansę
powiedzenia »Dnia
tego i tego roku 2021
po raz drugi skończył się
w Polsce komunizm«?”
– zastanawiał się głośno.
Aktorka jest chętna: „Jestem
gotowa – dajcie tylko znać”
– zadeklarowała. Któż by nie
chciał, by (post)komunizm się
skończył? A jeśli chodzi o rządy
PiS, to jeszcze poczekają.
Tak z dekadę.*

W TVN o sprawie mówią, ale pomijając niektóre wątki i starając się osłodzić życie cierpiącym celebrytom. W rozmowie z **Krystyną Jandą** prowadzący Piotr Kraśko rzucił nagłe: „Ja chcę powiedzieć, żeby jedna rzecz była jasna: z nas wszystkich słuchających pani to pani ma Złotą Palmę z Cannes, a nikt inny”. W jaki sposób Złota Palma ma usprawiedliwiać szczepienie poza kolejką, nie wiadomo. Poza tym to nieprawda: Janda dostała w Cannes nagrodę za najlepszą rolę kobiecą w „Przesłuchaniu”, a nie Złotą Palmę, która jest nagrodą dla filmu.

Studenci WUM tak podsumowali to, co zobaczyli w „Faktach” TVN na temat skandalu: „Chcąc być obiektywni, musimy jednak podkreślić, że nie możemy zostawić narracji »Faktów« TVN bez komentarza. Materiał dot. skandalu na WUM-ie był tendencyjny, przygotowany i ma na celu mydlenie oczu. Tłumaczenia gwiazd, że są 60+ i że w ostatniej chwili dowiedziały się o szczepieniach, są nieprawdziwe...”. Ciekawe, czy będzie z tego szersza refleksja?

Upadły gwiazdor Kamil Durczok wciąż liczy, że zmiana władzy przyniesie mu odmianę fortuny. „Może ktoś wreszcie zapyta głośno, czy Kaczyński jest już zaszczepiony?” – pomyślał i zapytał. Na jego słowa zareagował wiceprezident Prawa i Sprawiedliwości Radosław Fogiel, pytając: „Może ktoś głośno zapyta, czy Durczok jest już zaszczepiony, bo wiadomo, że nie. Ale miło, że broni tych, co go pogonili.

Janusz Korwin-Mikke znów błysnął „kontrowersyjną” wypowiedzią. Podczas posiedzenia sejmowej komisji zdrowia tak mówił o rządowym planie szczepień: „To jest typowe działanie doktora Mengele, który w Oświęcimiu mówił: »Ten już do gazu, a ten jeszcze pożyje«, po czym rozszerzył atak: »W wyniku tego, co żeście zrobili, umarło nakoronawirusa mniej więcej tyle samo ludzi, a może nawet więcej, niż byście nic nie robili. [...] Jesteście mordercami, wy zabijacie. 16 tys. ludzi miesięcznie umiera w wyniku działań rządu polskiego”. Ciekawe, że Korwin nigdy nikogo nie atakuje tak ostro i brutalnie jak państwa polskiego.

TVP Info tak oto podsumowała zadymę w Stanach Zjednoczonych: „Zamieszki na Kapitolu. Część demonstrantów zaczęła zachowywać się na sali obrad jak polska opozycja”. Zareagował Cezary Tomczyk, szef klubu KO: „Porównywanie opozycji do ludzi z bronią, którzy podkładają bomby, to standard w TVP. Zwróciłem się do praw-

ników, aby przygotować pozew przeciwko TVP. TVP Info powinna być zlikwidowana w pierwszym możliwym terminie. To będzie jedna z pierwszych decyzji po wygranych wyborach w PL”. Tu można im wierzyć: likwidować rzeczywiście potrafią.

Opozycja niepotrzebnie się oburza, ponieważ w grudniu 2016 r. naprawdę liczyła na rozwiązanie siłowe. Co innego mógł mieć na myśli red. Tomasz Lis, gdy wzywał w tamtym czasie: „Polacy! Trwa zamach stanu! Teraz!”? Co miał na myśli Bronisław Komorowski mówiący: „Miałem satysfakcję, oglądając jedną ze znanych posłanek PiS, gdy czmychała z Sejmu pod eskortą policji rządowej. Mielśmy wszyscy satysfakcję, niech już tak zostanie”? Wystarczy przeprosić i obiecać poprawę, nie trzeba tego wypierać z pamięci.

Sytuację w Waszyngtonie tak ocenił **Adam Michnik**: „Spoglądając na tych ludzi, którzy wdarli się do Kapitolu, myślałem o bolszewickich i faszystowskich bojówkach”; „Bolszewicy i naziści też zaczęli od frontalnego ataku na parlament i wartości demokracji parlamentarnej”; „Amerykańska demokracja zwyciężyła, choć zobaczyliśmy jej wielkość i słabość. [...] To była przecież próba podpalenia Reichstagu. Na szczęście – nieudana. Ale podpalacze są wśród nas”. Czy on nadal pisze te swoje teksty, czy tylko wyciąga poźółkle fiszki z jakiegoś segregatora?

W sylwestrowy wieczór głos zabrał lider PO Borys Budka. „Nie mają żadnych hamulców. Nawet w pandemii. Kradli rano, kradli w południe i nawet w ostatni dzień roku postanowili kolejny raz okraść. Banda prymitywnych złodziei, chowająca się pod biało-czerwonymi sztandarami i tępa propaganda TVPiS. Patrioci własnych kieszeni. Patowładza”. Trudno dociec, o co konkretnie chodziło, ale jedno jest pewne: lider, który konkuruje z harcównikami poziomem emocji, nie jest przywódcą. On już przegrał.

Archidiecezja krakowska wypowiedziała „Tygodnikowi Powszechnemu” umowę najmu lokalu w kompleksie kościelnym. „Wiślna 12, adres niezwykle dla nas ważny i symboliczny, stanowiący kulturowe dziedzictwo kilku pokoleń redaktorek i redaktorów oraz autorek i autorów »Tygodnika«, adres ważny dla Czytelniczek i Czytelników, jest jednak tylko adresem. Niebawem znajdziemy kolejne miejsce, w którym będzie biło serce naszej redakcji” – ogłosili redaktorzy. Decyzja archidiecezji słuszną, ale mocno spóźnioną. Co mieli wziąć, wzięli, co mieli wstrzyknąć, wstrzyknęli.



Ludzie z palmą



KRZYSZTOF FEUSETTE

Dobra, powiem, jak było, bo i tak się wyda. Dałem się zaszczepić, ale się nie cieszyłem. I nikomu nie szkodziłem. To znaczy, cieszyłem się, bo to była akcja promocyjna. W każdym razie miała być, ale jak nas prezydent Jaśkowiak nastraszył, że nie wiadomo, czy to nie będzie w pupę, to żeśmy postanowili zrobić całą kampanię po cichu. Bo w pupę to jednak, cokolwiek by mówić, nie wypada. Zwłaszcza przed kamerami. Więc tłumaczę Krysi: „Krysieńko, zrobmy to dyskretnie, po co nam ci wszyscy dziennikarze? Nie tworzymy wrażenia, że potrzebujemy splendoru i blasku fleszy, by zrobić coś fajnego! Popatrz, ja nie mam nic, ty nie masz nic i Marysia nie ma nic wspólnego ze służbą zdrowia, więc razem mamy dokładnie tyle, ile trzeba, by otrzymać szczepionkę w pierwszej kolejności! Bo czy wiemy, co przyniesie jutro? Czy możemy zaufać tej władzy, że dla wszystkich wystarczy? I czyż (bo ja do niej często „czyż” mówię) nie jesteśmy skarbnicami polskiej kultury?”

Tak, tak, właśnie tej kultury, chamy, której wam brakuje, gdy oceniacie moralność ludzi kultury. Przecież my się poniekąd narażaliśmy nie tylko na falę krytyki ze strony zawistnej części społeczeństwa, lecz także na skutki uboczne! I to takie, których nigdy nie poznamy! Bo że one jednak będą, a może były już przed szczepieniem, nie można mieć wątpliwości. Choćby to, co stało się z Maryską. Zarzeka się dziewczyna, że nigdy nie kłamie, a tutaj proszę – jak tylko się zaszczepiła, to skłamała nawet w tak prostej sprawie, jak pytanie, czy się zaszczepiła. Jednorazowy wyskok? To czemu mówi, że nigdy nie kłamie? Jeszcze gorsza rzecz z Krzysztofem się stała, bo niedługo po ukłuciu tak mu się pogorszyło, że postanowił „wszystko zjeść”, potem zaczął pić nad zlewem, by ostatecznie uwiecznić to w internecie. I widać było, jak poczerwieniał na twarzy. Raczej po szczepieniu, bo przecież nie ze wstydu. O Krysię też się martwiliśmy, gdy zaczęła marchewkę skubać, jak królik, a potem śpiewać „Bo ja jestem, proszę pana, po szczepionce...”. No, ale gdzież ona, gwiazda „Człowieka z żelaza” mogła przypuszczać, że społeczeństwo wykaże się aż takim niezrozumieniem, czym jest kultura? I kim są jej ludzie? Czy zdrowie dyrektora programowego TVN jest warte tyle samo, ile zdrowie jej widza? Helo!

Szczęście w nieszczęściu, iż niesprawiedliwość, która nas spotkała, pozwala nam, ludziom na jednak nieco innym poziomie niż średnia statystyczna, oddzielić ziarno od plew. Dziękujemy panu Jaśkowiakowi, że wyjaśnił rodakom, czym się różni artysta, człowiek wrażliwy i empatyczny, od byle durnia, który nie potrafi odróżnić omleta od Hamleta. Bo przestańmy wreszcie ukrywać – tak, my, ludzie spoza kolejki, jesteśmy z innej gliny i żyjemy w nieco innym świecie.

Ostatecznie, mieliśmy prawo myśleć, że to wszystko jest fikcją literacką, bo Krysia miewała już lepsze odloty. A tu nagle bum – dzwoni pani ze szpitala i mówi, żeby na sygnale przyjeżdżać! Krysia woła: „Za mną!”, i leci w sukni na piechotę, bo nie wiadomo, czy tylko do nas dzwonili, a kto pierwszy, ten zdrowszy! Cud, że w samej bieliźnie nie grała, boby się zaziębiła, a zaziębionych chyba nie szczepią. Pytam w biegu Olgierda, czy on jest zdecydowany na takie poświęcenie dla społeczeństwa, on mi na to, że jak najbardziej, bo dla praworządności to on by niejedno życie oddał, byle nie swoje. Wpadamy do szpitala w tych kostiumach i szok! TVN już jest! Co się okazało – sprawa jest na tyle istotna dla demokracji, że stacja będzie promowała akcję osobiście w osobie pana założyciela seniora, pana dyrektora programowego stacji, pana Edka oraz jego osobistej narzeczonej, aktorki w wieku znacznie przedsenioralnym. Za to żadnych kamer. Pan Edek wyjaśnia, że pani Ania grała lekarzkę w serialu, więc jako „personel niemedyczny” nada się w sam raz. Zwłaszcza gdyby ktoś popuścił ze szczęścia. I wtedy dzieje się coś gorszego. Jakiś idiota robi zdjęcie. Co za czasy, żeby człowiek nie mógł sobie po cichu przeprowadzić kampanii promocyjnej! Na zdjęciu pan rektor WUM, potem niechący dobity przez Krysię (bo

kwestia jej się w TVN pomyliła!), schyla kark przed kulturą osobistą wielkiego, wysokiego aktora udającego się na szczepienie „spod lady”. Skakał przed tym Wiktorem jak Horodniczy przed „Rewizorem”. „A może autografik? Jeszcze dla zoneczki, dla ciociu...”. Podobno z Prokopem go pomylił. A my w tym czasie w poczekalni musieliśmy rżnąć personel niemedyczny, w sensie – udawać. Aktorzy dali radę, ale jak pan Edek zaczął się w pielęgniarkę wcielać, to się wszyscy zorientowali, że gość musi być z TVN.

A jednak dla Polski, dla Polek i Polaków, powiem tyle, choć nie ma mnie na liście – tak, warto było unieść tę złotą palmę odbitą nad głowę Krysi przez Kraśkę i zasłonić nią przed wścibską tłuszcą fakt zaszczepienia się przez zorganizowaną grupę artystyczną w ramach zamkniętej akcji promocyjnej. Bo czyż każda promocja musi być głośna? Dobro jest cichsze. Wnioski wyciągnijcie państwo sami, gdy słyszycie dziś gromkie głosy oburzenia wobec naszej cichej akcji promocyjnej, a potem zestawicie je z nieśmiałym lkanem garstki owych herosów, którzy rzutem na taśmę z plastra uratowali być może od śmierci 18 dawek szczepionki! I za to tylko wołają na nas: „Mniej niż zera”, że wepchaliśmy się przed „zerówkę”? Słowo zaszczepionego: to boli bardziej niż ukłucie igły. Na szczęście kulturalny europejski demokrat dla akcji promocyjnej zniesie wszystko. Bo zdrowie jest najważniejsze. 

Choć stary rok zegnaliśmy kameralnie, to jednak z dużym westchnieniem ulgi. Z dużą nadzieją i sporą dozą niepewności spoglądaliśmy zaś w oczy temu witanemu 2021. I zaczął się pięknie.

Po pierwsze, do sierocińca w Kamerunie, prowadzonego przez ojca Dariusza, dotarł kontener z darami, które przekazało wielu czytelników tygodnika „Sieci”. O zbiórce wielokrotnie pisałam na tych łamach. Zachęcam wszystkich, którzy przekazali dary, by zajrzeli na profil na FB: Dariusz Godawa Misja-Kamerun. Jest duża szansa na to, że zobaczycie, ile wasze dary sprawiły radości dzieciakom. Paczki były rozpakowywane przez wiele dni. „Nie prosimy już o nic, bo nie wypada. Zawaliliście nas darami, że wstyd. Czego przyszło za dużo, już rozdaję polskim siostronom do ośrodków zdrowia czy księżom polskim. Nic się nie zmarnuje i już wielu misjonarzy Wam dziękuje, nie tylko ja” – napisał żartobliwie ojciec Godawa. I ja przyłączam się do podziękowań, bo okazało się, że macie państwo wielkie serca i dużo chęci do niesienia pomocy. A kto zechce dalej wspierać misję, np. finansowo, ten znajdzie niezbędne informacje na stronie www.misja-kamerun.pl.

Po drugie, Ministerstwo Zdrowia zdecydowało się włączyć rodziców wcześniaków do grupy „0” szczepień przeciw COVID-19. Dzięki temu gehenna rozłąki z dziećmi będzie mogła dobiec końca, a rodzice będą mogli być przy swoich dzieciach. 28 grudnia apelowałam na łamach portalu wPolityce.pl, by MZ pozwoliło się zaszczepić mamom wcześniaków tak szybko, jak to możliwe. Dzień później, 29 grudnia, pismo w tej sprawie wystosowała do resortu zdrowia prezes Fundacji Koalicji dla Wcześniaka. Ministerstwo przychyliło się do tej prośby i ci z rodziców, którzy mają takie życzenie, będą mogli się zaszczepić, co pozwoli im być przy dzieciach. Wiem, że nie wszystkich tak samo cieszy ta decyzja. Są tacy, którzy powiedzą, że rodzice powinni być przy swoich maleńkich dzieciach bez względu na to, czy są, czy nie są zaszczepieni. To oczywiście prawda. Nie mam jednak wątpliwości, że ta decyzja MZ zmieni życie wielu rodziców. Proszę mi wierzyć, że wiem, co to znaczy nie móc być przy chorym dziecku, wiem, co to rozłąka tuż po urodze-

Piękny początek

W kwestii amantadyny, która może leczyć COVID-19, sprawa przybrała wreszcie dobry obrót

niu. Sama nie mogłam być przy swojej córce (wyłącznie w nocy) na OIOM, tuż po operacji, która odbyła się zaraz po przyjściu na świat Anielki. Choć były to tylko noce, i tak wyłam w poduszkę i gryzłam ściany, że nie mogę nocą utulić swojego dziecka. Osobie, która tego nie przeżyła, trudno nawet wyobrazić sobie, co muszą czuć rodzice rozdzieleni z dziećmi całymi tygodniami. Mam nadzieję, że ten koszmar dobiega końca.

Po trzecie wreszcie, po licznych, medialnych, i nie tylko, naciskach na Ministerstwo Zdrowia w kwestii amantadyny,

która może leczyć COVID-19, sprawa przybrała wreszcie dobry obrót. Środki na realizację badania klinicznego, o które apelowałam od tygodni, dostał prof. dr hab. n. med. Konrad Rejdak, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego. Wywiad z panem profesorem znajdziecie państwo na łamach aktualnego wydania tygodnika „Sieci”. Prof. Rejdak wraz z prof. Pawłem Griebem z PAN pierwsi na świecie opisali w kwietniu w artykule naukowym możliwe działanie ochronne amantadyny przeciwko infekcji COVID-19 u pacjentów z chorobami neurologicznymi. Wówczas powstał też projekt badawczy, który kilka miesięcy czekał na sprzyjające okoliczności. Teraz zespół polskich (!) naukowców sprawdzi skuteczność leku u szerokiego spektrum chorych.

Nie wiadomo jeszcze, czy będzie drugie badanie z udziałem innego, bardzo pozytywnego bohatera tej historii, o którym zapewne wszyscy słyszeli, a który także gościł na łamach „Sieci” – dr. Włodzimierza Bodnara z Przemyśla, który od miesięcy stukał do wszystkich możliwych

drzwi, mówiąc, że jest lek zwalczający SARS-CoV-2. Nie mam wątpliwości, że dr Bodnar powinien mieć udział w takim badaniu, a byłoby to możliwe np. we współpracy z ośrodkiem w Katowicach. Pulmonolog z Przemyśla pracuje z amantadyną od trzech dekad, opracował unikatową metodę leczenia i na koncie ma już tysiące wyzdrowień. Jeśli jednak do drugiego badania nie dojdzie, a to prof. Rejdaka potwierdzi skuteczność leku w walce z SARS-CoV-2, wówczas dr Bodnar będzie pewnie szczęśliwy, że może spokojnie leczyć pacjentów. Bo to kocha robić najbardziej. Kto wie, może nawet usłyszy od rządowych ekspertów, którzy traktowali go z wyniosłością: „Brawo, miał pan rację”. Ech. Rozmarzyłam się.

Dorota Łosiewicz





Większość Brytyjczyków odetchnęła z ulgą po zawarciu pod koniec grudnia umowy handlowej między Londynem a Brukselą, bo oznacza to zakończenie trwającego ponad cztery lata procesu brexitu. Z wyjątkiem Szkotów, którzy otwarcie tęsknią za europejską wspólnotą i już zastanawiają się nad tym, jak do niej wrócić.

Podczas referendum w sprawie brexitu w 2016 r. zdecydowana większość Szkotów była przeciwna wyjściu z Unii Europejskiej. Liderka Szkockiej Partii Narodowej (SNP) Nicola Sturgeon rozpoczęła więc kampanię na rzecz nowego referendum – tym razem w sprawie niepodległości. To przeprowadzone w 2014 r. nie zakończyło się po myśli szkockich nacjonalistów. Wówczas 55,3 proc. Szkotów opowiedziało się przeciwko opuszczeniu Zjednoczonego Królestwa. Jednak, jak twierdzi Sturgeon, czasy się zmieniły, a brexit „uczynił kolejne referendum absolutnie koniecznym”. Po zawarciu umowy handlowej z Unią Sturgeon napisała na Twitterze: „Zostaw zapalone światło, Europo. Szkocja niedługo wróci”.

Sturgeon jest pewna, że gdyby teraz przeprowadzić referendum niepodległościowe, większość Szkotów opowiedziałaby się za rozводом z Londynem. Liderka SNP wskazuje przy tym na ostatnie sondaże, według których poparcie dla secesji oscyluje dziś w okolicach 60 proc. Jednak do przeprowadzenia referendum konieczna jest zgoda rządu w Londynie, a premier Boris Johnson (na zdj.) nie chce o tym słyszeć. Według niego referendum z 2014 r. rozwiązało kwestię niepodległości Szkocji na dziesięciolecie. Jak dodał, takie głosowania można ogłaszać „raz na pokolenie”. Minister ds. Szkocji Alistair Jack uściślił, że kolejne jest możliwe „nie wcześniej niż za 25 do 40 lat”.

Wypowiedź ministra wywołała oburzenie. „Pomysł, że Szkocja miałaby czekać 40 lat na kolejny plebiscyt, jest obsceniczny” – napisał na Twitterze prof. James Ker-Lindsay z London School of Economics. Liderka szkockich Zielonych Lorna Slater przypomniała, że „tylko Szkoci mają prawo decydować o swojej przyszłości”. Szkoccy nacjonaści nie mają więc zamiaru czekać na zgodę Londynu. Chcą przeprowadzić referendum jeszcze w tym roku, nawet jeśli spowodowałoby to poważny kryzys konstytucyjny.

Nie tylko Szkoci sprawiają Johnsonowi kłopoty. Sporo zamieszania wywołał także ojciec brytyjskiego premiera, pisarz i były europoseł Stanley Johnson, który rozpoczął właśnie starania o uzyskanie obywatelstwa francuskiego. Jak stwierdził, głosował przeciw brexitowi i chce pozostać w Unii Europejskiej. Dziś powołuje się na francuskie korzenie, aby wrócić tam, gdzie – jak zaznaczył – „jest jego miejsce”. „Zawsze będę Europejczykiem, to pewne. Nie można powiedzieć Brytyjczykom, że nie są Europejczykami” – podsumował Stanley Johnson.

Aleksandra Rybińska

Białoruś

Białoruskie Watergate



Portal euobserver ujawnił zapis rozmowy byłego szefa białoruskiego KGB Wadima Zajcewa z podległymi mu funkcjonariuszami. Nagranie nie jest nowe (pochodzi z 2012 r.), ale jego opublikowanie może zadziałać na Aleksandra Łukaszenkę niczym wybuch miny.

W czasie rozmowy Zajcew mówi o specjalnym funduszu w wysokości 1,5 mln dol. powołanym przez Łukaszenkę, z którego mają być opłacani wykonawcy zamachów na przeciwników reżimu. Chodzi o byłych przedstawicieli białoruskich resortów siłowych, którzy – poróżnieni się z Łukaszenką – schronili się w Niemczech, ale także o białoruskiego dziennikarza Pawła Szaramieta, którego Zajcew w niecenzuralnych słowach kazał wysadzić w powietrze. I tak się stało. W 2016 r. Szaramiet zginął w wybuchu bomby podłożonej w Kijowie przez niewykrytych sprawców.

Udostępnione nagranie mocno obciąża Łukaszenkę jako rzeczywistego zleceniodawcę zamachów. Sensacyjne jest zwłaszcza to, że udało się nagrać szefa KGB rozmawiającego z członkami supertajnego oddziału Alfa. Zdaniem białoruskich politologów takie przecieki mogą świadczyć o pęknięciach wewnątrz elit służb specjalnych, których przedstawiciele zaczynają się już ustawiać na okoliczność upadku reżimu.

Zapis rozmów w białoruskim KGB może też pogorszyć relacje Mińska z sąsiadami. Ukraiński minister spraw wewnętrznych Arsen Awakow poinformował, że w związku z nagraniem wszczęto oficjalne dochodzenie, tym bardziej że ci, którzy je ujawnili, mieli dostarczyć „znacznie więcej informacji” i zgodzili się składać zeznania w ukraińskiej prokuraturze. Taśmy komplikują również stosunki z Moskwą, bo na liście osób przeznaczonych do egzekucji znalazł się Andriej Suzdalcow, rosyjski politolog wydany z Białorusi, a nagrana rozmowa wskazuje, że białoruski „szwadron śmierci” zamierzał polować na niego na terenie Rosji.

Na taśmie Zajcew wypowiada się językiem, przy którym pamiętne frazy z Sowy & Przyjaciół brzmią niczym niewinna pogawędka. Komentatorzy piszą wprost, że w tak wulgarny sposób komunikują się z sobą gangsterzy planujący kolejny skok, a nie przedstawiciele kierownictwa służb siłowych i członkowie elitarnej jednostki. I że w istocie mamy do czynienia z gangiem, który zawałdął krajem i powinien być potraktowany tak jak kryminaliści.

Marek Budzisz

Ostatnia amnestia Trumpa

Dawny analityk US Navy Jonathan Pollard (na zdj. z lewej) odsiedział 30 lat w amerykańskim więzieniu za szpiegostwo na rzecz Izraela. W przedostatni dzień grudnia został uroczystie powitany na lotnisku w Tel Awiwie przez Benjamina Netanjahu. „Witaj w domu” – powiedział izraelski premier i zmówił hebrajską modlitwę za uwolnienie więźniów.

Niewiele jest w stosunkach amerykańsko-izraelskich poważnych napięć. Sprawa Pollarda wylamywała się z tej gładkiej kooperacji. W 1985 r. Pollard, który przekazywał Izraelowi supertajne dane wojskowe, został oskarżony przez władze USA o zdradę i skazany na dożywocie. Izrael przez wiele lat prosił o łaskę dla swojego szpiega, ale Amerykanie twardo odrzucali wszystkie apele swojego bliskowschodniego sojusznika.

Pollard wyszedł w końcu warunkowo na wolność w 2015 r. Nie mógł jednak wyjeżdżać za granicę. W minionym roku Departament Sprawiedliwości nie przedłużył mu zakazu wyjazdu, co zostało odczytane jako gest Donalda Trumpa wobec Netanjahu. Dzięki temu 66-letni dziś Pollard mógł wreszcie wyemigrować do Izraela.

W ostatnich tygodniach prezydentury Trump dość szczerze udzielał aktów łaski, zwłaszcza swoim najbardziej kontrowersyjnym współpracownikom. Wśród nich znalazł się skazany na siedem i pół roku więzienia szef prezydenckiej kampanii wyborczej z 2016 r. Paul Manafort, były doradca Trumpa Roger Stone (trzy lata więzienia za krzywoprzysięstwo przed Kongresem) oraz biznesmen Charles Kushner (dwa lata więzienia za oszustwa podatkowe), ojciec Jareda Kushnera, zięcia Trumpa.

Manafort i Stone to czołowe nazwiska z raportu Muellera na temat rosyjskiej ingerencji w amerykańskie wybory 2016 r.



Prezydent już wcześniej ulaskawił inne osoby zamieszcane w tzw. Russiagate: swojego czołowego doradcę ds. bezpieczeństwa Michaela T. Flynna oraz doradcę ds. polityki zagranicznej George'a Papadopolosa.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Trump pochylił się z kolei nad politykami zamieszczanymi w afery gospodarcze. Z prezydenckiej łaski skorzystali m.in. kongresmeni Duncan Hunter i Chris Collins odsiadujący 26-miesięczny wyrok za nielegalne wykorzystywanie poufnych informacji. Tylko dwa lata z zasadzonych dziesięciu spędził w więzieniu były kongresmen Steve Stockman z Teksasu, którego oskarżono o malwersacje finansowe i pranie brudnych pieniędzy.

Prezydencka amnestia na koniec kadencji może świadczyć o nowych standardach zaprowadzonych w Białym Domu przez Trumpa, który wylał się z tradycji ulaskawiania osób polecanych przez Departament Sprawiedliwości i skupił się głównie na swoich politycznych sprzymierzeńcach.

Lukasz Adamski

 Węgry

Habsburgowie w służbie Orbána

Jesteśmy przyzwyczajeni, że w historii to Habsburgowie zatrudniali na swoim dworze różnych szefów rządu. Viktor Orbán jest jednym z niewielu premierów w dziejach, którzy dają zatrudnienie Habsburgom. Od 2015 r. ambasadorem Węgier przy Stolicy Apostolskiej pozostaje prawnuk cesarza Franciszka Józefa, 54-letni Edward Habsburg. Wcześniej dał się poznać głównie jako pisarz (autor książek m.in. o Jamesie Bondzie i Harrym Potterze) oraz scenarzysta (autor scenariusza filmu o królowej Szkocji Marii Stuart).

Pod koniec zeszłego roku nowym ambasadorem w Paryżu został z kolei 57-letni Paul Georg Habsburg, wnuk bł. Karola I – ostatniego cesarza Austro-Węgier. W jego przypadku nie będzie to pierwsza posada w węgierskiej dyplomacji. Wcześniej był m.in. ambasadorem przy Unii Europejskiej i przedstawicielem przy Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Pełnił też funkcję przewodniczącego Węgierskiego Czerwonego Krzyża oraz zasiadał we władzach Węgierskiego Komitetu Olimpijskiego.

Paul Georg Habsburg jest zdecydowanym obrońcą polityki Viktora Orbána. Chwali go za „jasną wizję” i „wielkie sukcesy”, zaś to, co pisze o nim zagraniczna prasa, uważa za nieprawdę. Przyznaje, że jest dumny z konstytucji Węgier, w której znalazło się miejsce dla Boga, rodziny i ochrony życia.

Nowy ambasador we Francji jest też gorącym zwolennikiem Grupy Wyszehradzkiej. Mówi, że Unia Europejska potrzebuje głębokich reform, Grupa V4 ma zaś wszelkie szanse, by wpłynąć na przyszły kształt UE.

Cesarskie nazwisko sprawia, że przed obu węgierskimi dyplomatami otwiera się wiele drzwi, które dla innych pozostają zamknięte. Sam Orbán doskonale zdaje sobie sprawę, jak dużo można załatwić w zachodnich stolicach dzięki koneksjom zawdzięczanym błękitnej krwi. Dlatego wcześniej jego rząd wysłał już do Paryża jako swoich ambasadorów dwóch potomków innych wielkich rodów: Dezső Késsyego i Györgya Károlyiego. Żyjemy co prawda w demokracji, ale – jak widać – stary świat nie całkiem jeszcze zagał.

Grzegorz Górny



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nikt nam nie podskoczy i nikt nie nakopie!

Lekko metaforyzując sytuację, puka nam w tych dniach do domu ktoś nowy. Oczekiwany, lecz nieznan, o popularnym nazwisku: Nowy Rok. W duchu naszej tradycji imienniczej: Nowisław Rokowski. Oczekiwania są ogromne, ponieważ poprzednik mocno nam się dał we znaki. Narobił ogromnych szkód. Łajdak, przybłęda Kowid Wirusowicz... Po nim każdy będzie lepszy. Pod jednym warunkiem – że nauka nie poszła w las.

To jest osiągalne przede wszystkim dzięki ludziom opieki medycznej, którym codziennie powinniśmy dziękować za ofiarność, poczucie obowiązku wobec bliźnich. Są w tej branży mało chwalebne wyjątki, jak uzdrowiciele celebrytów, ale to margines społeczny.

Wielce pozytywnym wydarzeniem minionego roku było zwycięstwo wyborcze Andrzeja Dudy. W dramatycznych okolicznościach epidemii gwarantowało stabilizację na szczycie państwowej struktury. Wyobraźmy sobie prezydenturę w wykonaniu kogoś z konkurentów. Byłby to nieustanny wyciek trującego szamba oraz cyrk uliczno-zagraniczny w czasie wy-



**Jan
Pietrzak**

magającym spokoju i rozważi. Poza inwazją wirusów mamy bowiem do czynienia z agresją psychospołeczną, czyli ogłupianiem narodu za pomocą technologii IT: trolling, hate, fake, astroturfing... Obrona cybernetyczna i medialna kraju jest tak samo ważna, jak obrona epidemiologiczna... Ilość kłamstw serwowanych codziennie Polakom jest piramidalna. Szczepionką na oszustwa wrogów musi być prawda.

Liczymy na to, że Nowisław Rokowski przejdzie odpowiednie przeszkolenie w sztabie wojsk terytorialnych. Chodzi nie tylko o teren na mapie, lecz o bastion ducha wspólnoty, twierdzę tożsamości, szczyt kultury, transzeje obyczajów, redutę narodowych świętości... Tego wszystkiego trzeba bronić w nad-

chodzącym czasie.

Krzepiący jest przykład sportowców. Skoczkowie Stoch, Kubacki, Żyła, zdobywający wspaniałe trofea, dają nadzieję, że nikt nam nie podskoczy. Najlepszy piłkarz świata Robert Lewandowski udowadnia, że nikt nam nie nakopie! Panowie, jesteście wielcy!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Hulaj dusza!

W chwilę piszę te słowa, po obliczeniu 98 proc. głosów w wyborach do Senatu w Georgii, Partia Demokratyczna bierze wszystko. Układ sił teoretycznie będzie remisowy, ale w USA obradom izby wyższej przewodniczy wiceprezydent i to jego głos decyduje, jeśli mamy remis. A ponieważ niebawem fotel wiceprezydenta obejmie ostro lewicowa Kamala Harris, można się spodziewać przeróżnych ekscesów.

Ktoś może powiedzieć, że mamy przecież konstytucję Stanów Zjednoczonych, więc nagle ustrój USA się nie zmieni. Co więcej mamy Sąd Najwyższy, który część dziwactw lewicy może zatrzymać.

Pamiętajmy jednak, że od lat mamy do czynienia z dwoma sposobami prawnego podejścia do konstytucji. Jedna to (dominujący wśród konserwatywnych sędziów) „originalism” – czyli interpretacja przepisów w taki sposób, jak rozumieli je ich twórcy. Druga (popularna wśród lewicowych liberałów) to „living Constitution”, czyli tłumaczenie przepisów wedle świadomości i światopoglądów współczesnych.

Obecnie w Sądzie Najwyższym USA dominują zwolennicy pierwszej teorii. Tyle tylko, że wielu polityków lewicy (w Ameryce: liberałów, czytaj: demokratów) już zapowiedziało, że takiej sytuacji tolerować nie zamierza, że „zrównoważą” układ sił w Sądzie Najwyższym.

Jak to możliwe, skoro sędziowie SN w USA sprawują swoje funkcje dożywotnio i przed śmiercią bądź dobrowolnym odejściem w stan spoczynku nie można ich zastąpić? To fakt, sędziego wprawdzie zastąpić nie można, ale w amerykańskim prawie (w tym przypadku art. 3 konstytucji) nie mówi się nic o... liczbie sędziów Sądu Najwyższego. Było ich początkowo sześć, z czasem liczba wzrosła do dziesięciu osób. Wedle ustawy z 1869 r. (Judiciary Act of 1869) w Sądzie Najwyższym zasiada dziewięć osób, ale to tylko przepis, który może łatwo zmienić przejęty przez demokratów parlament.

Obecnie układ sił w sądzie to 6:3 dla konserwatystów. Wystarczy więc, że demokratyczny Kongres (to jego prerogatywa) zwiększy liczebność sądu do 13 osób, prezydent powoła na nowe wakujące stanowiska czterech swoich, Senat ich zatwierdzi – i hulaj dusza, konstytucja będzie interpretowana wedle widzimisię lewicy, piekła nie ma, jest socjalizm, likwidacja posterunków policji, kolejne przywileje dla gejów i innych mniejszości, ograniczenia w dostępie do broni itd., itp. Nawet bez potrzeby zmiany konstytucji. I na pewno wiele innych zmian, których dziś jeszcze żaden normalny Amerykanin nie potrafiłby sobie wyobrazić.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jak szczepić elity

Zaszczepienie na COVID-19 grupy wybrańców rektora WUM jest wydarzeniem na tyle znaczącym, że warto się mu przyjrzeć dokładnie.

Zaczyna się od tego, że Krystyna Janda i Leszek Miller ogłaszają, że się zaszczepili i mają się dobrze. Wprawdzie nie należą do grupy „O”, czyli pracowników służb medycznych, którym w tej turze szczepionka przysługuje, ale w niczym nie psuje im to humoru. Inni jednak, w tym lekarze oraz studenci medycyny, którzy walczą z epidemią i grzecznie czekają w kolejce, zwracają uwagę na niewłaściwość tego postępowania.

Przeświadczenie wybranej grupki, że przywileje medyczne im się po prostu należą, zderzone zostaje z niespodziewaną krytyką, co wywołuje popłoch. Stąd nieskładne tłumaczenie, sprzeczne i zmieniające się wersje, w czym celuje zwłaszcza jej liderka, Janda. Zdążyła już ogłosić, że była królikiem doświadczalnym, przyznać się, że przekazała rektorowi WUM „listę kolegów” do szczepienia, a potem odwołać to, przepraszając za brak precyzji. Konsekwentne jest jedynie kreowanie się na ofiarę, która w „tym kraju”, wydana na pastwę nienawistników, obawia się o życie.

Obrońcy wybrańców nie uzgodnili jeszcze strategii. Najmniejsi z Tomaszem Lisem i Mariuszem Szczygłem na czele sugerują lub piszą wprost o pisowskiej prowokacji: „Ta władza razem z podległą sobie machiną propagandową jest w stanie dokonać prowokacji na każdym z nas” – to ten drugi. Strategia ta jest jednak o tyle trudna, że wiązałaby się z uznaniem, iż rektor WUM, członek Rady Fundacji TVN, krew z krwi warszawskiego salonu, działa na zlecenie Kaczyńskiego. Pojawiają się więc „wyrafinowane” tłumaczenia, jak w wypadku audycji Jacka Żakowskiego z Tadeuszem Gadem, w której rozmówcy bronili zaszczepioną elitę tym, że w Polsce za PiS jest jak w Auschwitz, czyli normalne oceny moralne są zawieszane. To jednak zbyt radykalna interpretacja, aby się mogła przyjąć.

Przeważa więc tradycyjna apologia, która jest o tyle łatwa, że wiernie oddaje postawę establishmentu, a więc dominującą mentalność III RP. Zostali zaszczepieni poza kolejnością? Słusznie! Reguły są dla plebsu – nie dla elity.

Prostodusznie, a więc wprost, wyraził to prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. „Uważam, że artyści są naszym dobrem narodowym. (...) Naród powinien dbać o swoje elity. W Polsce, gdzie władza, mentalnie tkwiąca w socjalizmie, systemowo je niszczy, wciąż mamy z tym problem”. Nie czepiamy się, że artystą oraz elitą wyprowadzającą nas z socjalizmu są petzetpeerowski aparaczek Miller oraz jego żona. Okazuje się, że aby znaleźć się w artystycznej elicie, wystarczy być ko-



legą Jandy lub działać po właściwej stronie sceny politycznej. Będzie więc w niej założyciel TVN jak również jej dyrektor ze swoją partnerką, będzie była gimnastyczka z mężem czy prezes sieci kawiarni z synem.

Żyjemy w rzeczywistości, w której do elit zalicza się celebrytów, dlaczego więc odmawiać tego ich znajomym? Czy to bardziej groteskowe niż fakt, że ekranowa popularność staje się miarą społecznego prestiżu? Zachwyty nad aktorami wyrastają z infantylnego myślenia odtwórcy z odtwarzaną postacią. Wszystko co dalej to konsekwencje tego podejścia.

Liberalna demokracja, której III RP jest wyjątkowo karykaturalnym wcieleniem, zakłada, że tradycyjne ludowładztwo musi być ograniczone przez prawa człowieka. Sęk w tym, że pozbawione tradycyjnego fundamentu okazują się one dowolną, arbitralną konstrukcją, którą w swoim interesie propagują dominujące elity. Prawem człowieka ma być więc aborcja czy eutanazja, oddawanie dzieci parom homoseksualnym, a już niedługo pewnie manipulacja genetyczna. Dziś, kiedy narody zaczynają się buntować przeciw oligarchii występującej w kostiumie liberalnej demokracji, coraz częściej słyszymy o potrzebie merytokracji czy epistokracji, ta pierwsza to władza zasłużonych, druga – wiedzących. Kim są jednak ci wiedzący czy zasłużeni? Uprzywilejowani w dostępie do szczepionki demonstrują to wymownie. To koledzy Jandy, na których spływa prestiż jej Złotej Palmy, której, nawiasem mówiąc, nie dostała, bo dostać nie mogła – to nagroda dla filmu, nie dla aktora.

W systemie arystokratycznym władza należała do „lepszych”, którzy mieli być nimi z racji urodzenia, ale także rygorystycznego wychowania przysposabiającego do właściwego pełnienia przypisanej im roli społecznej – z czasem, oczywiście, model ten ulegał dekadencji. Dziś elity uznają, że mają prawo do wszelkich przywilejów z powodu... tego, że są elitami i wyznają właściwe poglądy, czyli takie, które zapewniają im władzę.

Postęp?

Fot. Andrzej Wiktor

Walizka Edyty Lewandowskiej

Dziennikarki TVP, prezenterki „Wiadomości”

Najbardziej lubię podróże niespieszne. Takie, które pozwalają zwiedzać bez przewodnika, poznawać, oglądać, smakować i odpoczywać. Ale kiedy zdarza mi się podróżować służbowo – w miejsca, które są akurat areną bieżących wydarzeń – to choć w pośpiechu, staram się doświadczyć jak najwięcej. Są miejsca, do których uwielbiam wracać. I takie, których jeszcze nie odkryłam. Głównie z powodu braku czasu. Ale zamierzam nadrobić zaległości, jak tylko uda nam się pokonać pandemię koronawirusa. Moja córeczka ma sześć lat i jest bardzo ciekawa świata. Była już z nami w kilku miejscach, lubi latać i dobrze czuje się w samolotach, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by odwiedzić Stany Zjednoczone, lepiej poznać Europę i w końcu zobaczyć kiedyś koniec świata, którym dla mnie jest Fidżi. Pierwszą destynacją po światowym lockdownie będzie jednak Malta, która zrobiła na mnie cudowne wrażenie.



SOCZEWKI KONTAKTOWE

Żeby więcej widzieć, a dokładniej – widzieć w ogóle. Nigdzie się bez nich nie ruszam. Lubię kolorowe, najlepiej jednokolorowe

APTECZKA

Podstawa bezpieczeństwa w czasie każdej podróży. Oprócz popularnych leków przeciwbólowych i witamin zawsze zabieram tabletki nawilżające gardło.



DODATKOWY TELEFON

Najlepiej z kartą innego operatora – by zawsze mieć kontakt, dostęp do internetu i maila. Do tego co najmniej dwie ładowarki, na wypadek zgubienia jednej z nich.

UBRANIA

W mojej walizce tylko czarne i białe, bo w zasadzie nie mam innej garderoby. Do czasu ukończenia studiów byłam zakochana we wszystkich odcieniach niebieskiego i granatu. Potem był czas eksperymentów. Teraz kolorowe mam tylko buty

CHUSTKI I APASZKI

Zawsze ze mną – używam pod szyję, na głowę, na ramiona i jako pasek. Przydają się, kiedy jest zimno i w ciepłych krajach.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock



BUTY

Szpilki, których niestety nie lubię, także mam we wszystkich kolorach świata i zabieram z sobą jedną parę – na wszelki wypadek. Gdyby w czasie podróży trzeba było zrobić coś zawodowego, czego nie można robić w trampkach.

PERFUMY

Od kiedy przestano produkować jeden z najlepszych zapachów świata – połączenie pieprzu i mleka – używam kombinacji molekuł i pieprzu. Perfumy z dwóch różnych światów – efekt doskonały.



KALENDARZ

A w nim setki ręcznych notatek, taki mój analogowy komputer, kompendium wiedzy i przenośna pamięć nieelektroniczna. W nim dodatkowo zdjęcia – te najnowsze i takie sprzed 20 lat.



KOSMETYCZKI, TOREBKI, SASZETKI

Każda inna, wśród ulubionych – te pożyczone od córeczki. W jednych kosmetyki, w innych długopisy i zakresłacz, osobno gumki, przepaski do włosów itd. Wszystko musi mieć u mnie swoje miejsce, bo zawsze się spieszę i w bałaganie bym zgineła.



KOSMETYKI

Podkład, puder i maskara. Cały makijaż w 5 minut. Ale podstawa to superkrem nawilżający.



LIZAKI

Taki wynalazek dla dzieci, który pomaga przetrwać chorobę lokomocijną. Tradycyjne tabletki dla dorosłych z tą okrutną przypadłością zwykle usypiają, a ja wolę jednak podróżować przytomnie.



KSIĄŻKI

W wersji tradycyjnej papierowej. Przynajmniej jedna nowa, której jeszcze nie czytałam, a mam ochotę. I coś co już za mną, ale lubię przypominać sobie klimat opowieści.



PIENIĄDZE

W gotówce – bo naprawdę są takie miejsca, gdzie kartą kredytową nie można zapłacić. Każdy, kogo kiedyś spotkała taka niespodzianka, nie ma ochoty na powtórkę.



TOREBKA NA ZAKUPY

Wielokrotnego użytku, bo uwielbiam kupować pamiątki i prezenty, a nie cierpię marnotrawstwa, jakim są kolejne „reklamówki”.



DŁUGIE RĘKAWICZKI

Ponieważ nie znoszę, kiedy jest mi zimno, a lubię podwijać rękawy.



MASŁO

Kosmetyk uniwersalny – do twarzy, rąk, ciała, a od biedy jako żel do włosów. I pięknie pachnie.



UCHO

Tajny gadżet tajnych służb. To do kontaktu z reżyserką – bo w czasie każdej podróży może się wydarzyć coś, co trzeba będzie zrelacjonować.



ZEGAREK

Na co dzień nie noszę, choć mam kilka. W podróż zabieram zawsze. Ten dostałam od męża, który jest wielkim fanem zegarków.



Wysłuchał i spisał:
Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Faceci z problemami

Raz na jakiś czas dochodzi do nas głos ludzi, którzy na własną prośbę znaleźli się w rynsztoku i za wszelką cenę poszukują sposobu, jak się z niego wydostać. W świecie celebrytów czołowe miejsce wśród nich zajmuje Kamil Durczok – eks gwiazda TVN. Co ciekawe, rzadko znajdują inny sposób na wydostanie się z szamba, w które wpadli na własną prośbę, niż w odpowiedniej chwili zaatakować personalnie prezesa PiS. I właśnie ta chwila nadeszła, kiedy się wydało, że Krystyna Janda et consortes zaszczepili się poza kolejnością. Obciach i żenada na cały kraj – czyli idealna sytuacja dla ludzi z marginesu celebryckiego, żeby zapunktować, przypomnieć o sobie z nadzieją, że tym razem ktoś ze znanych to zauważy i wyciągnie pomocną dłoń. „Może ktoś wreszcie zapyta głośno, czy Kaczyński jest już zaszczepiony?” – napisał Durczok na Twitterze, wyskakując niczym filip z konopi w sprawie szczepienia poza kolejnością celebrytów na WUM. Niestety, to jeszcze nie ten moment. Nikt z wpływowych nie dostrzegł poświęcenia Durczoka poza wicerzecznikiem PiS Radosławem Foglem, który odpowiedział: „Może ktoś głośno zapyta, czy Durczok jest już zaszyty?”.

Tym razem popis dała duńska telewizja publiczna. Wyemitowała na kanale dziecięcym pierwsze odcinki serialu, którego bohaterem jest wąsaty John Dillermann. Gość ma poważny życiowy problem, w sam raz godny rozpatrzenia w mediach dla milusińskich. Nawet twórcy serialu poświęcili tej kwestii piosenkę pt. „Prawie nic nie może zrobić”. A polega ona na tym, że Dillermanna matka natura obdarzyła dużym, dodajmy: zbyt dużym, penitem i z tego powodu ma same kłopoty. Oskarżenia zszokowanych obrazem popularyzowanym przez państwową TV rodziców (promowanie perwersji, pornografii i pedofilii) autorzy tego wiekopomnego dzieła zbywają stwierdzeniem, że w bajce nie ma nic złego. „Jest wiele pozytywnych komentarzy od rodziców, którzy wykorzystali film do porozmawiania z dziećmi o ciele” – przekonuje szef kanału Morten Skov Hansen. Telewizja zapewnia też, że przed emisją serial był konsultowany z psychologami dziecięcymi oraz duńską organizacją zajmującą się wychowaniem seksualnym Sex & Samfund. I to w tym wszystkim jest najgorsze.



Eurodeputowana Zielonych Sylwia Spurek pochwaliła się ostatnio nietypową przesyłką, którą otrzymała. W swojej poselskiej skrytce w Parlamencie Europejskim znalazła wystawioną in blanco kenkartę volksdeutscha. Pani Spurek słynie w swojej politycznej aktywności z preferowania na forum PE problemów dewiacji seksualnych i zбочeń nad polską rację stanu. „Tak się bawią »prawdziwi Polacy«? Ktoś zadał sobie trochę trudu, żeby zademonstrować swoją »miłość« do ojczyzny oraz nienawiść do innych” – skomentowała na Twitterze. Powstaje pytanie, skąd eurodeputowana Zielonych wie, że przesyłkę nadał Polak? Jak trafnie zauważył jeden z internautów, kenkarta volksdeutscha mogła zostać wydana za „zasługi dla przedstawicielki niemieckich interesów w EU? Bardzo miły gest z strony niemieckich władz”.

Ostatnie wydarzenia w USA skomentował poseł Platformy Obywatelskiej Sławomir Nitras. Jak zwykle w swoim stylu. Według niego: „PiS będzie żegnał się z władzą podobnie. Oby skutek był podobny”. Pamięć Nitrasa jest krótsza, niż się zdaje. Zapomniał, jaką rolę odegrał w sławnym puczu sejmowym w grudniu 2016 r., który tylko dzięki nieudolności opozycji przekształcił się w ciamajdan. Szukając dalej analogii pomiędzy postawą polskiej opozycji a demonstracjami pod Kapitołem, odnajdujemy wypowiedź nomen omen Nitrasa z kwietnia 2020 r. podczas kampanii prezydenckiej. „Te wybory będą fałszowane – spekulował Nitras. – Ten system wyborczy, który nam szykuje PiS, to jest system wyborczy, którego nie powstydziliby się generał Jaruzelski. Pod butem wojskowym i pod bagnietem wojskowym”. Po czym namawiał armię do buntu. A ja się pytam, jak długo jeszcze takie Nitrasy będą traktowały nas jak pozbawione krztyny inteligencji barany?

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Polacy inwestują w sztukę

Polski rynek sztuki w dobie pandemii rozwija się dynamicznie jak nigdy wcześniej, osiągając najlepsze od lat wyniki. Twórczość rodzimych artystów bije rekordy na aukcjach. Domy aukcyjne i galerie odnotowały najwyższą sprzedaż w historii. W 2020 r. obrót na rynku sztuki nad Wisłą został wyceniony na 380 mln zł. Wartość transakcji dokonywanych przez kolekcjonerów wzrosła o 30 proc. w porównaniu z ub.r., a wartość sprzedaży jest większa o 85 mln zł.

W czerwcu 2020 r. „Portret prof. dr. Karola Gilewskiego” z 1872 r. autorstwa Jana Matejki został sprzedany na aukcji za blisko 7 mln zł. To największa kwota, jaką dotychczas zapłacono za dzieło polskiej sztuki dawnej. Pod koniec roku padł kolejny rekord. Obraz Wojciecha Fangora „M22” z 1969 r. został sprzedany za 7,3 mln zł. Stanowi to najwyższą w historii polskiego rynku aukcyjnego cenę, jaką uiszczono za pojedynczy obraz.

W moim pokoju, poza górującą nad wezglowiem łóżka reprodukcją Matki Boskiej Sykstyńskiej Rafaela Santi, przez wiele lat wisiała oprawiona w skromną drewnianą ramę również reprodukcja oszczędnego w swej zgeometryzowanej formie, ale niezwykle urokliwego obrazu Tadeusza Makowskiego „Troje dzieci pod drogowskim” z 1930 r. W trakcie grudniowej aukcji w Warszawie obraz tego artysty „Dzieci i zwierzęta” został kupiony za 3,8 mln zł. W trakcie tej samej sesji „Czytająca I” („La Liseuse I”), obraz sygnowany przez Tamarę Łempicką, osiągnęła podobną wartość. Warto wspomnieć, że biorąc pod uwagę międzynarodowe sukcesy tej artystki, z punktu widzenia nabywców cena osiągnięta w Warszawie jest bardzo konkurencyjna. W lutym 2020 r. „Portret Marjorie Ferry” z 1932 r. został sprzedany za równowartość 82 mln zł, co sprawiło, że (mimo skomplikowanego życiorysu artystki) może on uchodzić za najdrożej sprzedane polskie dzieło w historii.

W 2020 r. zorganizowano blisko 500 aukcji, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej w historii polskiego rynku sztuki. Rekordowy obrót na aukcji był na początku grudnia i wyniósł prawie 25,5 mln zł. Niemal sto aukcji było poświęconych młodej sztuce, tj. prezentacji artystów początkujących lub jeszcze mało popularnych, których dzieła można nabyć w stosunkowo niskiej cenie, choć trzeba zaznaczyć, że i ten segment odnotował wzrost wartości (średnia cena wywoławcza nie osiągała do niedawna 2 tys. zł, a obecnie oscyluje powyżej 2,5 tys. zł). W tym miejscu trzeba odnotować niewątpliwy sukces młodej malarki pochodzącej z Gdańska – Ewy Juskiewicz, która od pewnego czasu jest reprezentowana przez jedną z najbardziej liczących się na świecie galerii – Gagosian Gallery. W grudniu w Nowym Jorku można było oglądać pierwszą indywidualną wystawę artystki tworzącej surrealistyczne, pełne flory i fauny portrety, nawiązujące do znanych dzieł nowożytnych, a zwłaszcza do szkoły flamandzkiej.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Popularność choćby takich wydarzeń, jak zorganizowane w czerwcu zeszłego roku Targi Sztuki Dostępnej online, na których w przystępnych cenach można było nabyć wyjątkowe dzieła, wskazuje, że Polacy coraz bardziej doceniają sztukę, a jej rynek rozrasta się we wszystkich kategoriach cenowych.

Tendencja wzrostowa na rynku sztuki w Polsce w ostatnich miesiącach nie stanowi wyjątku. Dane zawarte w Hiscox Online Art Trade Report z 2020 r. wskazują, że o połowę więcej kolekcjonerów na świecie kupiło sztukę online. Serwis Artsy podaje, że aktywność handlowa wzrosła o 40 proc. Dwa największe domy aukcyjne Sotheby's i Christie's odnotowały rekordowe wyniki sprzedaży przez internet. Ostatni z wymienionych poinformował, że sprzedaż prowadzona online wzrosła o 262 proc. w porównaniu z 2019 r. Christie's dostrzegł zasadniczą zmianę wśród kupujących, a ściślej położenia geograficznego, z którego uczestniczą w aukcjach. Co znamienne po raz pierwszy w historii wymienionego domu aukcyjnego kolekcjonerzy z Azji licytowali znacznie skuteczniej niż pochodzący z USA. 

*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 29 grudnia 2020 roku zmarł w Warszawie*

ŚP

PPEŁK EDMUND BARANOWSKI
PS. „JUR”

urodzony 22 września 1925 r. w Warszawie.

W okresie okupacji niemieckiej był żołnierzem

plutonu 334 w Obwodzie Wola Warszawskiego Okręgu AK.

W Powstaniu Warszawskim plutonowy podchorąży

w plutonie Powstańczych Oddziałów Specjalnych „Jerzyki”

w składzie batalionów AK „Miotła” oraz „Czata 49”.

Walczył na Woli, Muranowie, Starym Mieście,

15 września 1944 r. ranny na Czerniakowie.

Od października 1944 do maja 1945 r. więziony

w stalagach X-B Sandbostel i XVIII-C Markt-Pongau.

Wiceprezes Zarządu Głównego Związku Powstańców Warszawskich,

Prezes Rady Fundacji „Warszawa Walczy 1939-1945”,

Sekretarz Generalny Fundacji „Polsko-Niemieckie Pojednanie”,

Członek Rady Powierniczej Muzeum Powstania Warszawskiego.

Autor i recenzent publikacji o tematyce powstańczej.

Uchonorowany Krzyżem Walecznych,

Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski

oraz wieloma innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

RZECZY POSPOLITE

Kapitolińskie narzędzia

W wydarzenia na amerykańskim Kapitolu przejdą do historii. Z jednej strony mamy tu bowiem kwestię olbrzymich wątpliwości co do tego, czy w wyborach w Stanach Zjednoczonych nie doszło do fałszerstw, a z drugiej strony wdarcie się tłumy zwolenników Donalda Trumpa do budynku, by przeszkodzić w zatwierdzeniu przez Kongres wyniku wyborczego. Tak czy inaczej będzie to miało daleko idące skutki.

Oto na plan dalszy zejdą w światowych mediach analizy, fachowe komentarze i artykuły, a na plan pierwszy przebiją się szokujące obrazy, które zresztą w przestrzeni medialnej pozostaną na długo: zwolennik Trumpa siedzący na fotelu spikera Izby Reprezentantów, czyli sprawującej obecnie tę funkcję Nancy Pelosi, agenci mierzący z broni krótkiej do ludzi widocznych przez wybite szyby, facet przebrany za szamana, z czapką z rogami bizona etc. Żyjemy w świecie obrazka, a nie treści. Żyjemy w świecie niepogłębianych analiz, które pokazują przyczyny i uwarunkowania, lecz w świecie Instagrama (Facebook to już narzędzie dla ramoli) – a tam króluje właśnie obrazek, który gra sam w sobie, bez kontekstów i bez tła.



**Tomasz
Łysiak**

Kto wie, jak bardzo zaogni to polityczną przyszłość samej Ameryki – takie wydarzenia czasem mogą wywoływać nie dobrą falę, jak kamień wrzucony do jeziora. Z pewnością będą teraz doskonałym pretekstem dla całej lewicy – i to zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i na świecie – do walenia medialną pałką po głowie republikanów, prawicy, konserwatystów. Teraz każdy obrazek lewicowej dzicy profanującej świątynie czy pomniki środowiska lewicowe będą z miejsca kontrować obrazkami z „profanowania świątyni demokracji”.

Cóż tu zresztą daleko szukać? Nad Wisłą zaczęło się tak praktycznie w chwili, gdy stacje telewizyjne transmitowały dramatyczne wydarzenia z Waszyngtonu. Politycy opozycji zareagowali natychmiast, wieszcząc, że takie zdarzenia zapewne zobaczylibyśmy w Polsce, gdyby PiS przegrało wybory. A tymczasem... jedyny w historii Polski po 1989 r. przypadek tak ostrego, związanego wręcz z okupacją Sejmu, negowania wyborczego wyniku, negowania tego, co przynosi nam demokracja, dali właśnie oni. Któż, jak nie opozycja podpala Polskę, dokonując zamachu na demokrację i usiłując przemocą, na ulicy, zmienić to, co przyniosły głosy Polaków wrzucane do urn?



Wyjątkowi nauczyciele

Z Przemkiem Kossakowskim, dziennikarzem telewizyjnym i podróżnikiem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

I znów wyruszył pan w „Down the Road”. Z jakim tym razem przesłaniem?

Przemek Kossakowski: Pierwszy sezon absolutnie nie wyczerpał tematu. Pojawilo się więcej pytań i tematów do rozpoznania, chociaż niektórzy widzowie, mam takie wrażenie, doszli do wniosku, że o zespole Downa wiedzą już wszystko. A to nieprawda. Chcieliśmy za sprawą kolejnych bohaterów pokazać siebie i nasz świat z zupełnie nowej perspektywy.

Dokąd dotarliście?

Geograficznie do Grecji – zdjęcia były realizowane w Chorwacji i Grecji – ale tak jak w pierwszym sezonie, również teraz podróż była jedynie pretekstem, by być razem, budować bliskość, poznawać się i dowiadywać bardzo wielu rzeczy, czasem zaskakujących,

o samym sobie. Już po pierwszym sezonie powtarzałem, że nasi bohaterowie to wyjątkowi nauczyciele. Potrafią bardzo wnikliwie patrzeć na świat. I to my zyskujemy dzięki nim więcej niż oni za naszą sprawą. Dostajemy wiedzę i wzruszenia, których się nie spodziewaliśmy, a oni są po prostu sobą.

Gdzie można obejrzeć drugi sezon „Down the Road”?

Najwcześniej na platformie Player.pl i myślę, że warto wybrać się w tę podróż, bo drugi sezon wnosi wiele nowego, m.in. za sprawą uczestników dużo młodszych od bohaterów pierwszej edycji. Z racji wieku są o wiele bardziej spontaniczni i radośni. Oczywiście przeżywalismy też sytuacje kryzysowe, więc na ekranie oprócz radości będą też emocje i wzruszenie, ale w zupełnie nowym wymiarze, z młodzieńczą energią.

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWÓRNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANEKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ZYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTODYSCJA: ANNA ŁABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁYKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYŻA, MARCIN WIKŁO

TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI,
MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN
PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI,
WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR
ŚWIELIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK
ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

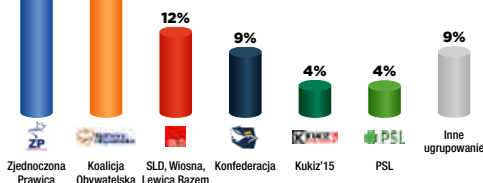


FOT. NA OKŁADCE: BEATA ZAWRZEL / REPORTER / EASTNEWS, VIPHOTO / EASTNEWS, JAN BIELECKI /
EASTNEWS, BARTEK KOŚCISKO / JEFFERY EDWARDS / SHUTTERSTOCK, SHUTTERSTOCK (K)



pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

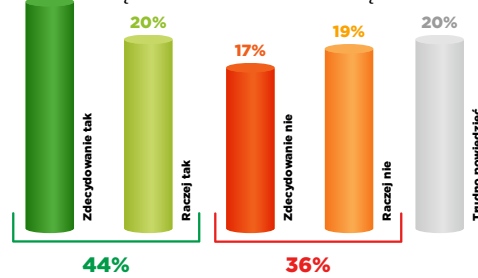
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddalby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



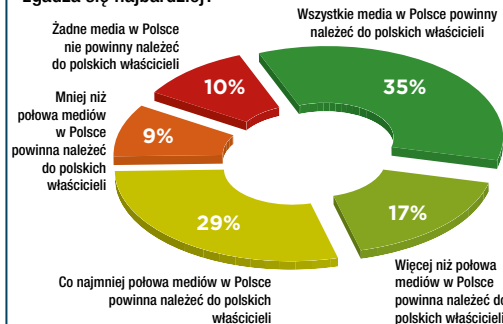
Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddalby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



Czy zaszczepi się Pani/Pan przeciwko COVID-19, jeśli szczepionka będzie dostępna i będzie Pani miała/Pan miał taką możliwość?



Z którym z poniższych stwierdzeń Pani/Pan zgadza się najbardziej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: pici, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1090.

Zakres czasowy badania 1-5 stycznia 2021 r.



Żałosny spektakl

Celebrycko-biznesowa klika III RP pokazała swoją prawdziwą twarz. Wnioski są przygnębiające – nawet najlepsza organizacja szczepień, nawet najbardziej sprawiedliwe i jasne zasady nic nie dadzą, jeśli rozmaite elity i elitki wciąż będą się stawiać ponad innymi



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

To oni zazwyczaj szafują opowieściami o potrzebie wspólnoty w obliczu rzekomo zagrożonej demokracji. Pozują na filantropów

zatraskanych o słabszych i ochotczo rozliczają politycznych przeciwników z „miary człowieczeństwa” wobec potrzebujących. W rzeczywistości okazują się małymi ludźmi, którzy w momencie prawdziwego sprawdzianu z solidarności poszli utartym jeszcze w PRL szlakiem tych, którym wolno więcej. Pragnienie równości prysło wraz z możliwością wepchnięcia się w kolejkę po szczepionkę przeciwko SARS-CoV-2. Bardzo trafnie ujął to Wiktor Zborowski, jeden z aktorów zaszczepionych w Centrum Dydak-

tycznym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego: „Wyszło koszmarnie”. A jeszcze gorzej jest po tłumaczeniach, którymi uraczyli nas zainteresowani. Kłamstwo goniące kłamstwo, wykluczające się wersje, zaprzeczenia, wykręty. „Byłem zaskoczony”. „Myślałam, że była jakaś specjalna transza dawek dla aktorów”. „Nie prosiłem się, to mnie poproszono”. Dziecinada. A przecież mamy do czynienia z dojrzałymi ludźmi, w niektórych kręgach uchodzącymi nawet za mędrców.



ZNAJOMI ZNAJOMYCH

Ważna jest chronologia zdarzeń. Być może nigdy nie dowiedzieliśmy się o pozakolejkowej akcji szczepień, gdyby nie studenci warszawskiej uczelni prowadzący profil na Facebooku ZUM na WUM. 30 grudnia 2020 r. ok. godz. 15 pojawił się wpis informujący o „ewentualnych nieprawidłowościach na WUM-ie dot. szczepień”. Sprawa zaczyna się robić głośna i ma wydźwięk raczej aferalny, a jednak jeszcze tego samego dnia (nieco później) na oficjalnej witrynie uczelni opublikowany zostaje komunikat, w którym z satysfakcją stwierdza się, że „akcja szczepień została już odnotowana w licznych mediach”.

Jeszcze później – również 30 grudnia, ale o godz. 23.14 – Krystyna Janda pisze na FB: „Tak, jestem jedną z osób zaszczepionych w ramach propagowania szczepień. Jestem z tego powodu szczęśliwa i czuję się świetnie.

Od początku czuć fałsz w tej historii. Przede wszystkim ze względu na grono, którego dotyczy. Powiązań, mniej lub bardziej formalnych, jest sporo. Prof. Gaciong, rektor WUM, był konsultantem medycznym serialu TVN „Lekarze”. Do dziś jest wiceszefem Rady Fundacji TVN, a kieruje nią Edward Miszczak

Dziękuję za tę możliwość, bo jestem w grupie ryzyka”. To ostateczna wersja, kilkakrotnie zmieniana, wcześniej aktorka twierdziła m.in., że jest „królikiem

doświadczalnym”. Konsternacja. Trudno zrozumieć, cóż to za akcja promocyjna, którą zachowuje się w tajemnicy i mówi o niej dopiero wtedy, gdy coś wypłynie?

Studenci od razu zaznaczają, że nie będą ujawniali nazwisk z listy 18 osób spoza grupy „O”, które zaszczepiono na WUM. Liczą na to, że celebryci sami to ogłoszą. W części tak się dzieje, przyznaje się m.in. były premier, a obecnie europoseł Leszek Miller. „Jestem pacjentem placówek WUM, dlatego mogłem skorzystać z dodatkowej puli 450 dawek przekazanych przez ARM. Bardzo zresztą dziękuję kierownictwu za tę inicjatywę. Te placówki dysponowały ponadprogramowymi szczepionkami, które musiały być wykorzystane do końca roku. Ludzi, którzy je podali, trzeba nagrodzić, a nie karać, bo prawdopodobnie uratowali szczepionki przed wylaniem do zlewu”. To próba podtrzymania narracji, którą w swej obronie wysuwa kierownictwo

WUM. We wspomnianym komunikacie uczelni czytamy także, że akcję promocyjną przeprowadzono „zgodnie z sugestią NFZ” i że „450 szczepień Agencja Rezerw Materiałowych przekazała do CM WUM jako dodatkową pulę dawek, odrębną od puli szczepionek przeznaczonych dla etapu zerowego akcji”. To akurat nieprawda, ARM stanowczo zdementowała, że „nie było żadnych dodatkowych dawek dla WUM”. Prezes agencji Michał Kuczmierowski na antenie telewizji wPolsce.pl obalił jeszcze jedną linię obrony WUM. „Rzeczpospolita” napisała, że uczelnię zmuszono do przyjęcia większej liczby szczepionek i stąd miała zachodzić obawa, że się zmarnują. Kuczmierowski mówił wprost, że „wydano dokładnie tyle dawek, o ile wnioskowano i są na to dokumenty”.

Ze studenckich i medialnych doniesień wyłania się obraz zaprzyjaźnionego towarzystwa, które postanowiło rozdysponować szczepionkę kosztem uprawnionych medyków. Opowiadanie o rzekomej akcji promocyjnej z wykorzystaniem artystów (zaszczepieni także: Andrzej Seweryn, Maria Seweryn, Olgierd Łukaszewicz, Magda Umer, Wiktor Zborowski, Krzysztof Materna, Michał Bajor, Radosław Pazura) można włożyć między bajki, w uprzywilejowanym gronie znaleźli się bowiem założyciel telewizji TVN Mariusz Walter („Nie czuję się na tyle winny, żebym rozważał, jak się powinienem zachować”) i jej dyrektor programowy Edward Miszczak. „Mam 65 lat i wiele chorób współistniejących” – uzasadniał swoje szczepienie w „Faktach” TVN. Nie wspomniał wówczas, że preparat podano także jego 40-letniej partnerce, aktorce Annie Cieślak. Z jakiego powodu?

ELASTYCZNOŚĆ DLA ELITY

„Z całą pewnością możemy stwierdzić, że doszło do celowego złamania zasad Narodowego Programu Szczepień; osoby, które zostały zaszczerpione poza kolejnością, zostały zarejestrowane jako personel niemedyczny pracujący w szpitalu” – ujawnił minister zdrowia Adam Niedzielski. Ten fakt burzy już całkowicie narrację o (utajnionej w przedziwny sposób) akcji promocyjnej i wyjaśnia, jakiego manewru dokonano, by szczepienia przeprowadzić.

Chodzi zapewne o pismo, które 29 grudnia 2020 r. NFZ wysłał do dyrektorów szpitali z informacją, że KPRM oraz Ministerstwo Zdrowia wyraziły zgodę na „elastyczne podejście” w kwalifikowaniu do szczepień – oprócz szczepienia pracowników dopuszczono także szczepienie „członków ich rodzin oraz pacjentów [...], wykorzystując dawki, które mogłyby się zmarnować, bo wcześniej zgłoszone osoby nie mogły się stawić w świąteczno-noworocznym terminie”. I tak się zdarzyło, że dawki przed „zmarnowaniem” uratowali aktorzy, dziennikarze i politycy z żoną. Także zaprzyjaźniona z nim trenerka fitness wraz mężem.

Od początku czuć fałsz w tej historii. Przede wszystkim ze względu na grono, którego dotyczy. Powiązań, mniej lub bardziej formalnych, jest sporo. Prof. Zbigniew Gaciong, rektor uczelni, kilka lat temu był konsultantem medycznym serialu TVN „Lekarze”, zagrał też w jednym z odcinków. Do dziś jest wiceprzewodniczącym Rady Fundacji TVN, a kieruje nią Edward Miszczak. Partnerka Miszczaka Anna Cieślak jest aktorką w Teatrze Polskim, gdzie dyrektorem jest Andrzej Seweryn. To były mąż Krystyny Jandy i ojciec 45-letniej Marii Seweryn. Ta ostatnia kajała się w internetowym nagraniu za wepchnięcie się w kolejkę do szczepień, ale dopiero po jakimś czasie. Gdy po raz pierwszy zadzwonił do niej dziennikarz Polsatu i zapytał, czy została zaszczerpiona, odpowiedziała: „Nie, a co?”.

Telewizja TVN to ich przyjazna przystań. Tak się składa, że wielu z nich było częstymi gośćmi Marcina Meller w programie „Drugie śniadanie mistrzów”. To pogadanka osób, których widom przedstawia się jako nadzwyczajne autorytety tłumaczące rzeczywistość i klarujące, jak należy żyć. Janda, Umer, Seweryn, Zborowski, Materna... Internauci są dziś bezlitośni i przypominają ich „mądrości”. Krystynie Jandzie wypominany jest brzmiały dziś wyjątkowo zabawnie tytuł jej książki z 1992 r. „Tylko się nie pchaj”, a także niedawny wywiad dla Interii: „Ja myślę, że stosunek do zwierząt, stosunek do słabszych, stosunek do chorych, stosunek do wielu ludzi, którzy potrzebują pomocy – jest miarą poziomu społeczeństwa. A z tym jest naprawdę źle”. To akurat prawda. Po tym, co zrobili, to nie autorytety.

REKTOR W TOWARZYSTWIE

W kuriozalny sposób sprawę próbował tłumaczyć prof. Zbigniew Gaciong. Najpierw twierdził, że o szczepieniach nie wiedział, potem, że wiedział „tak jak wszyscy”, a potem... Krystyna Janda wystąpiła w TVN i powiedziała, że sama przekazała rektorowi listę aktorów swojego teatru. Gdy poczuła, że go wyspała, poprawiła się, że listę przekazała po szczepieniu.

Rektor powołał komisję, która po niespełna dobie „stwierdziła liczne nieprawidłowości w organizacji szczepień przez Centrum Medyczne WUM sp. z o.o.”. W skrócie ustalono, że dobór osób spoza grupy „0” rzeczywiście był nieprawidłowy, ale prof. Gaciong nie wywierał żadnych nacisków, a w ogóle na szczepienia osób z zewnątrz zdecydowano się z obawy przed zmarnowaniem szczepionek, które miały dotrzeć do WUM już rozmrożone, i to w okresie świątecznym, gdy personelu było mniej. Edward Miszczak przyznał, że gdy dostał telefon, polecono mu pojawienie się w placówce w ciągu godziny. Wywołało to istną burzę na profilu WUM, medycy i studenci byli zbulwersowani wyjaśnieniami rektora i ustaleniami jego komisji. Mnożą się wypowiedzi, że gdyby tylko ktoś o tym poinformował, chętni na uczelni pojawiliby się nawet szybciej niż w 60 minut. Gdyby tylko...

W odpowiedzi na zapytanie ministra zdrowia prof. Gaciong w końcu przyznał: „Ze względu na znaczenie Narodowego Programu Szczepień wielokrotnie wizytowałem Centrum Dydaktyczne, w którym odbywały się szczepienia, zarówno 30, jak i 31 grudnia 2020 r. Potwierdzam, że wśród oczekujących rozpoznałem tylko kilka znanych postaci ze świata kultury”. Opublikowane przez portal tvp.info fotografie nie pozostawiają złudzeń, rektor witał dostojnych gości w drzwiach i odprowadzał na szczepienie. Wcześniej, w specjalnym filmie, zachęcał wszystkich studentów, lekarzy i pracowników uczelni do udziału w szczepieniach. Żadna szczepionka się nie zmarnowała, ale dla niektórych medyków jej zabrakło.

Kilka postępowań wyjaśniających w NFZ wciąż się toczy, po dotychczasowych ustaleniach wiemy, że uczelnia ma zapłacić ćwierć miliona złotych kary, ale stanowisko straciła tylko dr Ewa Trzepla,

szefowa Centrum Medycznego WUM, które szczepiło celebrytów poza kolejnością. Głównodowodzący na uczelni prof. Gaciong, jak dotąd, zachował stanowisko. Nikt nie kwestionuje jego kompetencji lekarskich, to wybitny specjalista chorób wewnętrznych, ale powiązania biznesowe rzucają ciekawe światło także na kwestię obecnej afery ze szczepieniami. Poza wspomnianą Fundacją TVN rektor był blisko związany także z podmiotami kierowanymi przez współpracowników Bartosza Arłukowicza czy Janusza Palikota. W 2008 r. Palikot kwestionował zdrowie prezydenta Lecha Kaczyńskiego i domagał się od niego przedstawienia badań lekarskich. W roli prymusa wystąpił wówczas premier Donald Tusk. O jego doskonałym zdrowiu zaświadczał w euforycznej opinii... prof. Gaciong.

To polityczne usytuowanie, niestety, pozwala wierzyć, że w sprawie tak poważnej jak walka ze śmiertelnym wirusem prymat wzięły towarzyskie koneksje. W tym przypadku zabranie dawki szczepionki naprawdę potrzebującym i do tego uprawnionym to chyba nawet coś więcej niż kolesiostwo. Jak to się ma do etyki lekarskiej i odpowiedzialności za wychowanie przyszłych medyków?

STAROSTA PRZEKONA NAJLEPIEJ

Jednym z efektów afery z celebrytami zaszczepionymi na WUM jest niechęć części artystów do zbyt szybkiego zaszczepienia się w obawie przed gniewem społecznym. Producent „Leśniczówki” w TVP między świętami a Nowym Rokiem wysłali do agencji reprezentujących aktorów występujących w serialu e-mail z propozycją dopisania się na listę chętnych do szczepień. Jak dowiadujemy się u producenta „Leśniczówki”, zdjęcia do kolejnych odcinków rozpoczynają się 11 stycznia (cztery dni przed otwarciem zapisów do Narodowego Programu Szczepień), więc – szczególnie ze względu na senioralny wiek części obsady – zaproponowano artystom grupowe dopisanie do kolejki oficjalnych szczepień. Choć początkowo chciało z tego skorzystać ok. 50 osób, po skandalu na WUM część się wycofała. Woli poczekać nieco dłużej,

ale za wszelką cenę uniknąć posądzenia o pychanie się do kolejki.

Szybko się przekonał, że takich oporów nie mają ani duże elity, ani lokalne elity. Andrzej Kruczkiewicz, starosta nyski z PiS, został zawieszony w prawach członka partii po tym, jak przyjął szczepionkę 29 grudnia w powiatowym szpitalu. Jak później tłumaczył, do zaszczepienia zaprosił go dyrektor szpitala, by samorządowiec dał przykład mieszkańcom, że nie ma się czego bać. Wydarzenie sfotografowano i jeszcze tego samego dnia zdjęcia pojawiły się na lokalnych portalach. Nikt niczego nie ukrywał, a jednak polityk może wylecieć z PiS.

Jednym z efektów afery z celebrytami zaszczepionymi na WUM jest niechęć części artystów do zbyt szybkiego zaszczepienia się w obawie przed gniewem społecznym

Inny starosta PiS, Tomasz Staniek z Opatowa, już stracił partyjną legitymację. Okręgowe władze partii nie przyjęły argumentu, że chciał on zachęcić lokalną społeczność do szczepień, a otrzymał dawkę po tym, jak w opatowskim szpitalu podano ją wszystkim chętnym medykom. Jeden z najbliższych współpracowników Jarosława Kaczyńskiego europoseł Joachim Brudziński komentował ten przypadek: „Żeby była sprawa jasna, jeżeli ktoś z obozu obecnej władzy w sposób nieetyczny, wykorzystując swoją pozycję czy stanowisko, z naruszeniem procedur i kolejki zaszczepił się przed personelem medycznym czy osobami z grupy szczególnego ryzyka, powinien wylecieć ze stanowiska na zbity pysk”.

29 grudnia zaszczepił się starosta śremski Zenon Jahns (kiedyś w PSL, później w PO, dziś bezpartyjny). Jak tłumaczył, zaszczepił się, by promować szczepienia (też w błysku reporterskich fleszy), a poza tym zrobił to „zgodnie z wytycznymi

rządu”. Jak to możliwe? Samorządowiec uznał, że skoro powiat jest właścicielem szpitala, a on sam jest przewodniczącym zgromadzenia wspólników lecznicy, to trzeba go zakwalifikować do pracowników szpitalnej administracji, która może się szczepić w pierwszej kolejności. NFZ nie podzielił tej interpretacji i wszczął kontrolę.

Kolejna bliźniacza historia dotyczy Lecha Janickiego, starosty ostrzeszowskiego z PSL. Ludowcy nie wyciągną wobec niego żadnych konsekwencji. Partia przyjęła tłumaczenia, że samorządowiec skorzystał z zaproszenia dyrekcji szpitala, w którym zaszczepiono już personel medyczny (obecny tego dnia w pracy), a polityk chciał w ten sposób popularyzować szczepienia wśród lokalnej społeczności.

To ciekawe, że dyrektorzy szpitali w różnych regionach kraju najlepszych ambasadorów akcji szczepionkowej widzą w politykach, od których zależą ich posady. A politycy ci są święcie przekonani o swoim wpływie na decyzje zdrowotne mieszkańców.

Podobnie rzecz się miała z Marcinem Piwnikiem, starostą sandomierskim z PSL. On jednak poza argumentem „ambadorskim” miał na swą obronę jeszcze jeden – jego żona pracuje w aptece, więc znajduje się w grupie „O”, a zatem jako jej małżonek mógł dać się ukłuć.

Burmistrz Płońska nie ma medyków wśród najbliższych. Ale jest burmistrzem, więc to mogło zdecydować, że właśnie do niego zadzwoniono z Centrum Medycznego „Grupa Zdrowie”, którego jest pacjentem, by szybko przyjechał, bo inaczej zmarnuje się dawka szczepionki. W czwartek Andrzej Pietrasik przeprosił i zarzekł się, że nie zabiegał o priorytetowe traktowanie. Jednak kilka dni wcześniej odmówił reporterowi Polsat News odpowiedzi na pytanie, czy się szczepił. Szef Grupy Zdrowie Bogdan Kołodziejczyk stanowczo zaś odparł: „Jestem pewny, że w poradni nie doszło do szczepienia pana burmistrza. Znam osobiście pana burmistrza i wiem, jaki to jest praworządny człowiek i uczciwy. Nie wydaje mi się, na pewno nie. Nie, nie, nie”. A jednak: tak, tak, tak. Co więcej, do szczepienia miało dojść w placówce

grupy oddalanej o 30 km od Płońska. Oznaczałoby to, że – wbrew przepisom – szczepionkę wywieziono ze szpitala węzłowego. Lokalni radni zapowiadają wniosek o kontrolę do NFZ.

KADRY PRZED LEKARZAMI

Do ilu podobnych przypadków doszło w całej Polsce? Być może nigdy się tego nie dowiemy. Podobnie jak trudno określić skalę innej praktyki – szczepienia zgodnego z przepisami, lecz wątpliwego etycznie. Rządowe wytyczne pozwalają na podanie antydum na SARS-CoV-2 w ramach grupy „0” osobom z personelu szpitala oraz ich rodzinom. I nie ma tu rozróżnienia na lekarzy, salowe, pielęgniarki czy pracowników kadr.

W ubiegłym tygodniu otrzymaliśmy sporo sygnałów o korzystaniu z tej furtki przez niemedycznych pracowników szpitali. Rzecz dotyczyła m.in. jednego ze szpitali w południowej części Warszawy. Dopiero po tym, jak zaszczepiono w nim pracowników administracji wraz z rodzinami, do zabiegowego zaproszono medyków z oddziału covidowego (w święto Trzech Króli). Dziś szpital twierdzi, że zaszczepił już wszystkich pracowników, którzy wyrazili taką chęć. Podobnie rzecz się miała w innej placówce, pod Warszawą.

Pewne jest jedno. Powszechna stała się świadomość, że szczepionka jest dobrem deficytowym, którego nie każdy szybko się doczeka. Badania pokazują, że wśród Polaków – w jakiejś mierze pewnie również wskutek afery z celebrytami – wzrosła chęć do jej przyjęcia. Dlatego niektórzy za wszelką cenę próbują dostać się do kolejki.

Szefostwo produkującego kosmetyki koncernu Ziaja po naradzie z prawnikami uznało, że ich pracownicy mieszczą się w grupie „0”, do której zalicza się pracowników podmiotu produkującego oraz transportującego leki. Do 7 stycznia kierownicy poszczególnych działów mieli więc przygotować listy chętnych do szczepień, które miałyby się odbyć w jednym z pomorskich szpitali.

OBROŃCY GORSI OD SPRAWCÓW

„[...] ta historyczna środowiskowa obrona wystawia broniącym – zarówno samych siebie, jak i innych – świadectwo

znacznie gorsze niż sam fakt zaszczepienia się poza kolejnością. Motywacja, aby się zaszczepić poza kolejnością, jest zrozumiała: strach przed chorobą i śmiercią. Nie jest to godne pochwały, ale zaiste zrozumiałe. Dopiero obrona, w moich oczach przynajmniej, staje się haniebna, bo opiera się na w ich opinii niewymagającym uzasadnienia przekonaniu, iż są ludzie, których istnienie jest ważniejsze i cenniejsze niż innych i są to oczywiście ludzie z ich klasy, dzielący ich habitus i pochodzenie społeczne” – napisał na Facebooku Szczepan Twardoch, pisarz, którego trudno pośądzić o sympatyzowanie z obecną władzą, wszak sam nieraz zasiadał w „Drugim śniadaniu mistrzów”. Nie może dziwić jego oburzenie w obliczu licznych kuriozalnych wypowiedzi.

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak: „Uważam, że artyści są naszym dobrem narodowym. Dajemy im order, robimy sobie z nimi zdjęcia, dokonujemy wpisów na Facebooku. A może warto o nich zadbać bardziej konkretnie, póki żyją? Gdyby to ode mnie zależało, w pierwszej kolejności zaszczepiłbym honorowych obywateli Miasta Poznania, w tym Agnieszkę Duczmal czy Andrzeja Wituskiego. Naród powinien dbać o swoje elity. W Polsce, gdzie władza, mentalnie tkwiąca w socjalizmie systemowo je niszczy, wciąż mamy z tym problem”.

Jerzy Sawka w „Gazecie Wyborczej” boleje, że artyści będą drugą dawkę przyjmować na oczach kamer: „Będą zdecydowanie bardziej na widelcu niż niemieccy oprawcy w procesach norymberskich, gdyż technika dokumentacyjna dzisiaj jest niebotycznie doskonalsza. [...] Artyści są jak sarny zagonione na ogrodzony teren. Siedzący w myśliwskich ambonach propagandyści niespiesznie palą papierosy, piją gorącą herbatę z termosów i czyszczą obiektywy kamer. Lud kocha upadki niedawnych idoli, więc z satysfakcją przykłaśnie z odwiecznym komentarzem: »a wydawało się, że tacy wspaniali, tacy uczciwi, tacy lepsi od nas«”.

Były i spiskowe teorie. Jacek Nizinkiewicz, „Rzeczpospolita”: „A może ktoś wmanewrował popularne osoby do wzięcia udziału w akcji zachęcającej do szczepienia, żeby zdyskredytować popularnych przedstawicieli kultury o wyrazi-

stych poglądach, którzy po prostu chcieli dać przykład? I skończyło się na glanowaniu ich z każdej strony”. Tomasz Lis, „Newsweek”: „Wygłąda na to, że jedni zaoferowali przywilej, by wkręcić i skopać, a innym zabrakło pokory i przyzwoitości, by podziękować i dodać »poczekam«”.

Były prezydent Bronisław Komorowski w Onecie powątpiewał we wrodzoną uczciwość rodaków: „Łatwo się mówi, że »ja bym odmówił«, a w praktyce wiele osób skorzystałoby z takiej możliwości”. Zupełnie jak w hipotetycznym przypadku przywłaszczania wyposażenia np. kancelarii po demokratycznej wymianie pewnego wysokiego urzędnika.

KLUCZOWY MOMENT

Jakie będzie tempo szczepienia w Polsce? Kiedy osiągniemy tzw. odporność zbiorową? Na te pytania nikt nie zna dziś odpowiedzi. Fundamentalną kwestią pozostaje liczba dawek, jaka zostanie do Polski dostarczona. Na razie zatwierdzona przez Europejską Agencję Leków jest już druga szczepionka, firmy Moderna. Czekamy na dopuszczenie kolejnej, koncernu AstraZeneca. A później na sprawne dostawy od producentów.

Rząd szacuje, że w pierwszym kwartale otrzymamy blisko 6 mln dawek, co pozwoli zaszczepić prawie 3 mln pacjentów. W sumie zakontraktowanych mamy na razie 60 mln dawek w ramach unijnej puli. Ale to nie koniec. W części krajów Unii pojawiają się wątpliwości, czy wspólnota zabezpieczyła z producentami wystarczającą liczbę dawek. Dlatego polskie władze na własną rękę szukają możliwości dokupienia antydum na koronawirusa.

To jednak nie najpilniejszy problem. W tej chwili wszystkie osoby w rządzie zaangażowane w Narodowy Program Szczepień martwią się jednym: czy uda się zapewnić odpowiednią przepustowość infolinii 989. Pod tym numerem od piątku osoby z grupy „1” (seniorzy, nauczyciele, podopieczni DPS, służby mundurowe) będą mogły rejestrować się na wizytę w jednym z ponad 8 tys. punktów. To 4,5 mln ludzi, którzy stanowią ogromne wyzwanie dla organizatorów szczepień. Zapchanie infolinii, a więc niemożność umówienia się na szczepienie, byłoby dla rządu sporym kłopotem. 

OD 10 LAT WSPIERAMY PIŁKĘ RĘCZNĄ



GRAMY Z WAMI OD LAT

PGNiG od 2010 roku jest sponsorem strategicznym polskiej piłki ręcznej. Nieprzerwanie już kolejny rok wspiera seniorskie reprezentacje Polski kobiet i mężczyzn, reprezentacje młodzieżowe, a także jest sponsorem tytularnym Superligi oraz Pucharu Polski kobiet i mężczyzn.



Sprawdzimy, czy amantadyna może leczyć COVID-19

Według aktualnej wersji protokołu badania będziemy sprawdzać wpływ leku na pacjentów ze świeżo potwierdzoną infekcją COVID-19, u których wystąpiły już objawy kliniczne

Z prof. dr. hab. n. med. Konradem Rejdakiem, prezesem elektą Polskiego Towarzystwa Neurologicznego oraz kierownikiem Katedry i Kliniki Neurologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie, rozmawia Dorota Łosiewicz

Panie profesorze, wraz z prof. Pawłem Griebem z PAN pierwsi na świecie opisałeś w artykule naukowym możliwe działanie ochronne amantadyny przeciwko infekcji COVID-19 u pacjentów z chorobami neurologicznymi. Co pan jako neurolog zaobserwował?

Konrad Rejdak: Jako neurolog stosuję amantadynę u moich pacjentów od lat, gdyż jest to lek występujący w schemacie leczenia np. choroby Parkinsona. Amantadyna pierwotnie była stosowana jako lek przeciwwirusowy m.in. u pacjentów z grypą typu A. Ponad dziesięć lat temu u jednej z pacjentek, która miała jednocześnie chorobę Parkinsona, zaobser-



wowano bardzo pozytywne efekty neurologiczne. To dało podstawę do dalszych badań i zastosowania tego leku na szerszą skalę u pacjentów neurologicznych. Teraz mamy sytuację nieco odwrotną. Zauważyliśmy, że lek stosowany u pacjentów neurologicznych może działać na COVID-19.

Skąd to przypuszczenie?

Zaobserwowałem u grupy moich pacjentów neurologicznych, z potwierdzoną infekcją COVID-19, że przechodzili tę chorobę bardzo łagodnie lub bezobjawowo. To nas zainspirowało i wspólnie z prof. Griebem opublikowaliśmy pierwszy kliniczny raport na świecie. Równolegle pojawiały się na świecie pojedyncze komentarze i opinie dotyczące amantadyny i tego, że może to być ciekawa substancja w leczeniu COVID-19. Taką opinię wyraził również neurolog światowej sławy prof. Zbigniew Wszolek, od lat pracujący w USA. Trzeba pamiętać, że w obliczu pandemii cały świat naukowy szukał nowych zastosowań dla starych leków, które już są na rynku, by móc ich użyć w leczeniu COVID-19. Wszyscy działaliśmy pod presją czasu i na tworzenie czy syntetyzowanie nowych leków nie było czasu. Efekt ochronny amantadyny został potwierdzony przez nas szczególnie wśród osób dodatkowo obciążonych chorobowo, m.in. chorobą Parkinsona czy stwardnieniem rozsianym. Przecież to bardzo poważne choroby, które teoretycznie podnosiłyby ryzyko ciężkiego przebiegu infekcji wirusem SARS-CoV-2. Okazało się jednak, że pod wpływem kuracji amantadyną te osoby przechodzą infekcję bardzo łagodnie lub całkiem bezobjawowo.

Czyli mógłby to być lek, którego poszukuje cały świat?

To hipoteza, którą oczywiście trzeba potwierdzić badaniem klinicznym.

Jak pan się dowiedział o tym, że pana wniosek uzyskał finansowanie?

W kwietniu 2020 r. złożyliśmy wniosek do Agencji Badań Medycznych o grant zgodnie z konkursem COVID-19. W owym czasie nie udało się pozyskać środków na badanie, ale pojawiające się kolejne doniesienia z różnych stron niewątpliwie zwiększyły zainteresowanie tym tematem. Otrzymaliśmy w grudniu propozycję z ABM, aby podjąć ten temat badawczy w zmodyfikowanej formule, dostosowanej oczywiście do bieżącej sytuacji epidemicznej. Traktujemy to jako wyróżnienie i podjęliśmy intensywne prace, aby rozpocząć projekt.

I tak się złożyło, że choć projekt takiego badania przygotował pan w kwietniu, teraz na fali medialnego zainteresowania – mam na myśli wypowiedzi dr. Włodzimierza Bodnara z Przemysła czy wiceministra sprawiedliwości Marcina Warchoła, który przyznał, że ten lek postawił go na nogi – dostał pan środki na zrealizowanie tego badania. Takie badanie zapowiedział zresztą minister zdrowia Adam Niedzielski na konferencji prasowej. Jak będzie ono wyglądało?

W propozycji, jaką otrzymaliśmy, była mowa o dwóch ośrodkach, które przeprowadzą to badanie w ramach jednego projektu. Ostatnio trwają nawet rozmowy, by poszerzyć to badanie i zaprosić więcej ośrodków do współpracy, by zrealizować projekt. Jeśli chodzi o nasz projekt, który już ma uzgodniony protokół, to ustaliśmy szczegóły z zespołem szpitala MSWiA w Warszawie. Bardzo się z tego cieszę, bo to niezwykle prestiżowy ośrodek naukowy i kliniczny, ale także mam nadzieję na współpracę z podobnymi ośrodkami ze Śląska i z Podkarpacia. Jest taka idea, by przeprowadzić jedno duże badanie, które da odpowiedź na pytanie, czy amantadyna jest skuteczna w leczeniu COVID-19.

Czy to więc możliwe, że w tym badaniu wzięliby udział wszyscy naukowcy i lekarze, którzy sygnalizowali opinii publicznej potencjalną skuteczność amantadyny? Mam na myśli dr. Włodzimierza Bodnara.

Wystosowałem takie zaproszenie, jesteśmy po wstępnych rozmowach, ale oczywiście, czy będzie chęć do współpracy wszystkich zainteresowanych, jeszcze nie wiem. Cała idea badania opiera się na podaniu tej substancji w bardzo wczesnym stadium choroby. W ten sposób najprawdopodobniej unikniemy jej eskalacji w postaci zapalenia płuc i niewydolności oddechowej, gdyż na tym etapie choroba staje się bardzo trudna do leczenia. Wtedy wymaga zazwyczaj leczenia wielodyscyplinarnego

REKLAMA

**RADIO
Warszawa
106,2 FM**

**DOBRE SŁOWO
NA FALI**

**SŁUCHAJ NAS
ONLINE**

www.radiowarszawa.com.pl

z użyciem obecnie zaakceptowanych procedur postępowania. Wraz z moimi współpracownikami w tym miejscu, we wczesnym stadium, widzimy największą szansę na pozytywne działanie tego leku. Amantadyna jest lekiem znanym od lat, miała pierwotnie działanie przeciwwirusowe, ale dość słabe. Jednak okazuje się, że możliwości tego leku mogą być szerokie. Wywiera on działanie ośrodkowe na układ nerwowy. Pojawiły się też doniesienia, że może blokować mechanizm zakażenia kolejnych komórek przez wirusa SARS-CoV-2. Tym samym lek może chronić pacjentów przed poważnymi powikłaniami. Pamiętajmy, że jesteśmy pod presją czasu. Trzeba działać dla dobra ludzi.

Jakich pacjentów obejmie pana badanie? Jest pan neurologiem, ale mówi pan o maksymalnie szerokim badaniu, więc – jak rozumiem – nie ograniczy się pan wyłącznie do pacjentów neurologicznych?

Według aktualnej wersji protokołu badania będziemy sprawdzać wpływ leku na pacjentów ze świeżo potwierdzoną infekcją COVID-19, u których wystąpiły już objawy kliniczne. Pamiętajmy, że objawy kliniczne są wpisane w obraz infekcji ogólnoustrojowej. Pojawiają się bóle głowy, nudności, wymioty, senność. Są to objawy encefalopatyczne. Nie ma więc tu żadnej sprzeczności, jeśli chodzi o zastosowanie leku. Będziemy badać nowe wskazanie dla starego leku. Nie będzie więc on podawany wyłącznie osobom z chorobą neurologiczną, ale po prostu osobom dotkniętym infekcją, tak by chronić je przed eskalacją infekcji i nasilaniem się objawów.

Jaki będzie schemat postępowania?

Spodziewamy się, że większość pacjentów będzie pozostawała w domu pod naszą obserwacją, i mamy nadzieję, że nie wystąpi potrzeba hospitalizacji – ale oczywiście w takich sytuacjach pacjenci będą zabezpieczeni. Wiadomo też, że część pacjentów przyjmowanych jest do szpitala w związku z chorobami współistniejącymi, które stanowią czynnik ryzyka dla progresji COVID-19. Oni też będą mogli skorzystać z programu.

Mówi pan o poszukiwaniu nowego zastosowania dla starego leku. Nie jest to w medycynie nic zaskakującego. Skąd więc taki opór i niechęć środowiska znanych ekspertów zajmujących się COVID-19 wobec tego starego i taniego leku?

Generalnie istniało, jak wiadomo, wiele kontrowersji od początku pandemii, i to w wielu aspektach. Ogłaszano już wiele cudownych kuracji, które potem trzeba było odwołać. Myślę, że to wpływało dodatkowo na te emocje i opór środowiska eksperckich. Też uważam, że wyniki badań naukowych trzeba publikować i poddać dyskusji na łamach prasy fachowej w gro-

nie ekspertów. Jednakże musimy odbierać sygnały i reagować na deklaracje samych pacjentów, którzy opisują swój stan – to powinna być właśnie motywacja do podjęcia badań.

Wspaniale, że mamy dostępną szczepionkę. Szczepienie jest jedyną skuteczną metodą prewencji w skali populacyjnej, ale wciąż jest miejsce dla poszukiwania leków wspomagających.

Kiedy, pana zdaniem, poznamy wynik tego badania? Kiedy będzie można potwierdzić skuteczność amantadyny w leczeniu COVID-19?

Potwierdzić lub zaprzeczyć. Takie jest bowiem ryzyko badania klinicznego. Plan jest taki, by w pierwszych tygodniach stycznia dopiąć wszelkich formalności. Takie badanie musi

być zarejestrowane w Urzędzie Rejestracji Leków, trzeba uzyskać dodatkowe zgody, badany produkt, czyli lek, oraz placebo. Uściśnię tylko, że badaną substancją jest amantadyna, która dostępna jest w różnych formach generycznych, z różnymi dodatkami, ale przedmiotem badania jest aktywna cząsteczka amantadyny. Od lutego będziemy rekrutować pacjentów do badania, pamiętając, że musimy im zapewnić pełne bezpieczeństwo. Idea jest taka, by zadziałać na tak wczesnym etapie, że pacjent bę-

dzie mógł być monitorowany w domu, by uchronić go przed trafieniem do szpitala. Pacjenci muszą mieć zapewnione maksimum bezpieczeństwa.

Czyli już w końcówce lutego możemy coś wiedzieć?

Wszystko zależy od tempa rekrutacji pacjentów. Chcemy badaniu poddać kilkaset osób.

Czy nos naukowca podpowiada panu, że będzie sukces?

Absolutnie, nie traktuję tego leku jako panaceum na COVID-19. Jest to bardzo złożona i podstępna choroba i terapia jest wielokierunkowa. Wierzę, że lek będzie wywierał efekt wspomagający na układ nerwowy i ma szansę zahamować powikłania neurologiczne albo przynajmniej je łagodzić. W badaniu będziemy obserwować pacjentów do sześciu miesięcy po przebyciu infekcji, aby ocenić ich funkcjonowanie i jakość życia.

Jeśli się okaże, że ta substancja jest pomocna w leczeniu COVID-19, jakie mogą być skutki dla świata?

Wiem o zainteresowaniu takimi badaniami w innych krajach, więc bardzo możliwe, że takie projekty też zostaną wdrożone. Pamiętajmy, że potrzebujemy zwykle dwóch, trzech niezależnych badań na różnych populacjach, aby w pełni udokumentować działanie konkretnego leku – tak było w przypadku obecnie zarejestrowanych leków i one też dawały niejednoznaczne rezultaty. A więc wiele pracy przed nami.

Donald Tusk nigdy nie utożsamiał własnego interesu z interesem politycznym partii, którą kierował. I ten stosunek do własnej partii ma dziś kluczowe znaczenie w ocenie hipotetycznych przyszłych planów Tuska dotyczących polskiej polityki

Między trollingiem a emeryturą



JAN ROKITA

Były premier Donald Tusk jest dziś figurą niezbyt wiele znaczącą w polskiej polityce. Przesądziły o tym dwie podjęte przezeń kluczowe decyzje. Pierwsza – z roku 2014 – której sensem była odmowa poprowadzenia Platformy Obywatelskiej do kolejnych wyborów, w sytuacji gdy realna (choć wtedy wcale jeszcze

niekonieczna) zaczęła się wydawać perspektywa porażki w rywalizacji z Jarosławem Kaczyńskim. Druga – z roku 2020 – była aktem rezygnacji z wyczekiwanego z utęsknieniem przez zwolenników Platformy startu w wyborach prezydenckich przeciw Andrzejowi Dudzie. W obu przypadkach Tusk uznał, że skoro jego obóz polityczny jest

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

wystawiony na ryzyko klęski, to w żadnym razie on sam nie powinien dzielić tego ryzyka razem ze swoją partią.

Nie miałoby większego sensu swoje psychologizowanie, aby dociec, jakie prawdziwe motywy przesądzały w jednym i drugim przypadku o tych decyzjach. Bez zbędnej psychologii jedną rzecz można stwierdzić z obiektywną pewnością. Tusk nigdy nie utożsamiał własnego interesu z interesem politycznym partii, którą kierował. I ten stosunek do własnej partii nie tylko różnił go zawsze od swoście miłosnej relacji prezesa PiS wobec stworzonej przez niego partii. Ale także ma dziś kluczowe znaczenie w ocenie hipotetycznych przyszłych planów Tuska dotyczących polskiej polityki. W zasadzie nie ma dziś w Polsce publicysty czy analityka skłonnego przypuszczać, iż Tusk próbuje wzmocnić Platformę Obywatelską, z jej przyszłym zwycięstwem wyborczym wiążąc swoje plany i nadzieje.

TRZY RAZY „BYŁY”

Rok 2014 przesądził o tym, że choć Platforma pod mało poradnym kierownictwem premier Kopacz straciła wkrótce władzę, Tusk znalazł się na ważnej pozycji w Unii Europejskiej. W Polsce dość powszechnie spekulowano wtedy na temat wyjątkowo sprzyjającego Tuskowi kalendarza politycznego, wedle którego kolejne wybory prezydenckie w roku 2020 miały się odbyć w pół roku po zakończeniu przezeń drugiej kadencji w Radzie Europejskiej, czyli w terminie idealnym do rozpoczęcia kampanii prezydenckiej. Jak wiadomo, Tusk zwlekał z decyzją, wprowadzając Platformę w stan wewnętrznego rozchwiania, po czym zrezygnował z kandydatury, którą partia gotowa była mu ofiarować, wraz z homagium całkowitego poddania co najmniej do czasu rozstrzygnięcia wyborów. Jak wiadomo, o mały włos nie skończyło się to katastrofą dla Platformy, którą z sytuacji rozkładu przywództwa i utraty elektoratu uratował... przypadek. A w zasadzie Jarosław Kaczyński, który przy zmianie terminu głosowania rzucił tonącemu przeciwnikowi koło ratunkowe w postaci prawa do zmiany kandydata w środku kampanii wyborczej. Do tej pory nie jest jasne,

czy było to skutkiem chaosu, jaki przy tej okazji zapanował także na szczytach PiS, czy też poczyniona z rozmysłem lista sztuczka prezesa, kalkulującego, iż opłaca mu się ustabilizować dotychczasowy bipolarny model polskiej polityki, zamiast ryzykować wyłonienie się jakiejś nowej, nieznanej antypisowskiej opozycji.

W każdym razie po trudnym zwycięstwie Dudy Tusk znalazł się w sytuacji byłego premiera, byłego przywódcy partii i byłego ważnego funkcjonariusza Unii Europejskiej, któremu jego obóz zawdzięcza wiele kłopotów i który pozabawiony jest politycznego przydziału oraz misji.

Nieuchronnie w wątpliwość podana została także jego przyszła lojalność wobec jakiegokolwiek kierownictwa Platformy. Zgodnie ze swym starym zwyczajem życiowy komfort, biuro i elementarny prestiż zapewniła mu „rodzina” chadecka, czyli europejska międzynarodówka EPP, oddając mu po Francuzie Josephie Daulu funkcję swego przewodniczącego. Tyle tylko, że wbrew swej formalnej nazwie jest to funkcja plasująca się gdzieś w trzeciej dziesiątce politycznej hierarchii EPP, za szefami Komisji Europejskiej, Rady Europejskiej i frakcji parlamentarnej, za komisarzami, za liderami partii członkowskich (przynajmniej tych, z których wywodzą się aktualni kanclerze czy premierzy, jak np. w Niemczech, Austrii, Grecji), jak również za co bardziej wpływowymi europosłami. Nie jest to skutkiem jakiejś „słabej pozycji” Tuska, ale obiektywnego usytuowania jego funkcji w strukturze władzy EPP. Terenem politycznej aktywności międzynarodówki jest bowiem w pierwszym rzędzie Parlament Europejski, a zatem to frakcja parlamentarna i jej lider (Manfred Weber) kształtuje de facto na co dzień partyjną politykę.

Warto przy tym pamiętać, iż w dotychczasowej praktyce utarło się, iż liderzy partyjni i przywódcy państw, którzy obejmowali posady kluczowych funkcjonariuszy unijnych, po zakończeniu swych kadencji skazani byli zazwyczaj na polityczną emeryturę. Były luksemburski premier, a potem szef Komisji Juncker jest dziś „wesołym emerytem” (co wynika z jego usposo-

bienia). Jego poprzednik – były portugalski premier, a potem szef Komisji Barroso – w poszukiwaniu dobrze płatnego zajęcia załatwił sobie posadę w banku Goldman Sachs, co skłoniło Komisję do przyjęcia ostrzejszych rygorów, gdy idzie o zatrudnienie emerytowanych liderów unijnych. Poprzednik Tuska na funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej i były premier Belgii Van Rompuy dostał od króla tytuł hrabiowski oraz (jako profesor) prezesurę rady nadzorczej College of Europe w Brugii. Z kolei poprzednik Tuska w biurze EPP, jowialny Francuz Daul, chętnie teraz opowiada o swojej farmie pod Strasburgiem, która – jak mówi – „zajmuje mu życie od 7.30 rano do 6 albo 7 wieczorem”.

W ROLI MEDIANTA

W Polsce niestety nie ma tytułów hrabiowskich, a Tusk nie ma farmy ani nie jest profesorem. Ma za to nadal posadę i biuro w Brukseli oraz nie chce przyjąć roli politycznego emeryta. Ponieważ nie ma już pola gry w Europie, próbuje za wszelką cenę stworzyć je dla siebie w Polsce. Jego kłopot polega jednak na tym, że właśnie to polskie pole gry zamknął sobie już wcześniej owymi rezygnacjami, gdy dwukrotnie poddał się, zostawiając swoją partię na lodzie. W tej paradoksalnej sytuacji, w której ani nie odważył się podjąć walki, mimo dość sprzyjających warunków, ani nie jest obecnie gotów uznać swej roli politycznego emeryta, Tusk skazany jest na swoistą polityczną szamotaninę, której jak dotąd głównym efektem jest sianie zamieszania w mediach społecznościowych.

Odchodząc w 2019 r. z funkcji szefa Rady Europejskiej, Tusk deklarował w mowie pożegnalnej, iż „ma dość” (is fed up) biurokracji unijnej, a teraz zamierza „przystąpić do walki”. I tu właśnie tkwi problem. Chodzi o to bowiem, jak wyobraża on sobie ową walkę i do czego ma go ona dalej prowadzić. Przeszło rok, jaki minął od końca unijnej kadencji Tuska w Radzie, wskazuje na to, iż jedyną widoczną formą owej „walki” jest wymyślanie i publikowanie w sieci coraz to nowszych złośliwych grepsów i psot, które intencjonalnie

mają się przyczyniać do ośmieszenia rządzącej prawicy. W końcu roku głośno było o jego planie „ukłucia Pana Prezesa” oraz o analogii sylwestra i pasterki roku 2020 i... 1981 (na korzyść tego ostatniego roku). Wiadomo, że istotą sieci jest to, iż rezonuje w niej każda psota co bardziej znanej publicznie osoby, więc Tusk za każdym razem korzysta z przywileju rozgłosu. A internetowa publika czeka na jakąś reakcję wyczekujących na wpisy Tuska europosłów Tarczyńskiego lub Mazurek, w nadziei, że ci wymyślą jakiś lepszy greps, który licznym w sieci wrogom „Rudego” pozwoli skonstatować, iż ów znów „został zmiażdżony”.

Oczywiście cała ta internetowa gra nie jest całkiem pozbawiona politycznego znaczenia, gdyż wpływa na kształtowanie masowych politycznych emocji. Ale trudno nie zauważyć, iż redukuje ona polityczną rolę Tuska do poziomu (jak mawia prof. Rutkowski) „medianta”, czyli polityka bez realnego wpływu, wykorzystywanego do małostkowych internetowych przepychanek.

Od czasu do czasu Tusk przybiera pozę dramatyczną i to jest druga forma prowadzonej przezeń „walki”. Wtedy z kolei stara się obudzić wśród swoich fanów uczucie grozy, oznajmiając na przykład, iż: „jesteśmy w punkcie dramatycznym, niebezpiecznym dla Polski [...] i w najbliższych miesiącach zdecyduje się nasza rzeczywistość” (to było w grudniu 2020 r.). Autor korzysta wtedy z nagromadzenia przymiotników w stopniu najwyższym, sugerując straszne rzeczy w nieodległym terminie. To też w gruncie rzeczy typowa gra medianta, gdyż jeśli komuś zechce się tylko sekundę zastanowić, łatwo dojdzie do wniosku, iż ani nie wiadomo, dlaczego akurat dziś zrobiło się tak dramatycznie, ani tym bardziej, co takiego miałoby się wydarzyć za chwilę.

Ale polityczna słabość dzisiejszego Tuska obnaża się chyba najmocniej wtedy, gdy nagle próbuje on swymi wpisami mocno wkroczyć w prawdziwą politykę. Tak było właśnie przed grudniowym kompromisem unijno-polsko-węgierskim w kwestii budżetu, gdy

tuż przed ogłoszeniem ustępstw obu stron Tusk wystąpił z wpisem, który z emfazą nazwał: „moją wiadomością dla prezydentów i premierów”. Nawoływał tam europejskich przywódców do „twardego i jasnego stanowiska, które skończy politykę ustępstw wobec tych, którzy podważają fundamenty naszej wspólnoty”. Kilkanaście godzin później sprawy w Brukseli potoczyły się w odmiennym kierunku.

Polityczna słabość dzisiejszego Tuska obnaża się chyba najmocniej wtedy, gdy nagle próbuje on swymi wpisami internetowymi wkroczyć mocno w prawdziwą politykę

W POTRZASKU

Taki koncept „walki” z rządzącą prawicą naraża Tuska nie tylko na rolę politycznego polemisty europosłów Tarczyńskiego i Mazurek, lecz także na zdarzające się od czasu do czasu akty jawnego lekceważenia ze strony (nazwijmy to tak) jego politycznej „bliskiej zagranicy”. I znów, taka jest medialna natura współczesnej polityki, że tego rodzaju przypadki nie tylko same z siebie nabywają rozgłosu, lecz ów rozgłos jest jeszcze podsycany z premedytacją przez pisowską propagandę. Tak było wtedy, gdy Rafał Trzaskowski (co nie bez znaczenia, uważany przecież za protegowanego Tuska w PO) ni stąd, ni z owąd uznał go za kogoś, kogo realnie „nie ma już w polskiej polityce”, podczas gdy „trzeba patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość”, po czym jeszcze kilkakrotnie powtórzył to sformułowanie w różnych miejscach.

Podobną karierę zrobiła niedawno opinia Andrzeja Olechowskiego, niegdyś jednego z „trzech tenorów” zakładających Platformę, iż „marzenia o powrocie Tuska to mrzonki”. Ole-

chowski dodawał przy tym, że „śledzi uważnie wypowiedzi Tuska w ostatnim czasie i ten nie powiedział nic ważnego”. Olechowski oczywiście ma rację. Tyle tylko, że można zapytać: a cóż ważnego Tusk miałby teraz mówić, skoro postanowił „walczyć” z PiS głównie w sieci jako mediant, starający się najzręczniejszym, jak potrafi, strollować obecną władzę? Owszem, mógłby zacząć mówić rzeczy „ważne”, ale dopiero wtedy, gdyby wyszedł z roli internetowego harcownika i zaczął używać swego znanego (a więc przykuwającego uwagę) nazwiska dla celu poważnej czy nawet błyskotliwej analizy polityki albo problemów państwa.

Ale tu właśnie tkwi sedno paradoksu obecnej roli Tuska. Zdaje się on święcie wierzyć (zresztą nie tylko on), że samą esencją dzisiejszej „politycznej opozycyjnej roboty” jest umiejętne trollowanie PiS. Bo to od siły i zaciekleści owego trollowania pewnego dnia rozpadnie się pisowska forteca, tak jak od trąb oblegających rozpadły się niegdyś mury Jerycha.

Tusk nie ma dziś żadnego racjonalnego powodu, aby wierzyć, iż poprzez trollowanie buduje sobie w opozycji jakąś przyszłą pozycję albo powrót do realnego przywództwa. Raczej można odnieść wrażenie, że jest to po prostu jego jedyny pomysł na utrzymanie się przez jakiś czas w grze, na niewyście z obiegu, na nieutrącenie rozgłosu nazwiska. Niewykluczone, że jakąś rolę odgrywa tu także zamiar budowania sobie na wszelki wypadek alibi „politycznego odwetu”, gdyby okazało się, że były premier zostałby uwikłany w coraz poważniej wyglądający proces jego niegdyśszego ulubieńca Sławomira Nowaka.

Ale Donald Tusk, w końcu jeden z najbardziej doświadczonych polskich polityków, musi być świadom tego, iż nie jest to dlań korzystny sposób podtrzymywania swej publicznej obecności, jak również, że płaci za tę obecność sporą cenę. Jednak sytuacja, w jakiej się znalazł, nieco przypomina potrzask. A jedyną zeń ucieczką jest ta, przed którą Tusk broni się rękami i nogami: wyleczenie się z polityki i polityczna emerytura.

Mapa polityczna Unii wykuwa się na nowo

Sprawa praworządności powinna być rozwikłana w ramach zwykłych, a nie politycznych procedur. Dziś dżin z butelki uciekł i nie wiem, czy ktokolwiek ma pomysł, jak go tam z powrotem wsadzić. Bardzo wielu polityków w Unii zainwestowało w to swoją wiarygodność i nie wie, jak z tego wyjść. Ta komedia pomyłek już dziś przynosi koszty całej UE

Z Konradem Szymańskim, ministrem ds. Unii Europejskiej, rozmawia Edyta Hołdyńska

Czy groźba polskiego weta wobec budżetu Unii Europejskiej była realna, czy może była to tylko taktyka negocjacyjna?

Konrad Szymański: Weto powracało jako realna groźba ze strony Polski, ale także Węgier, Holandii czy Parlamentu Europejskiego przez całe dwa lata negocjacji budżetowych. Wiązało nad negocjacjami w lipcu i grudniu. Na ostatniej prostej, mimo rozwiązania wielu polskich problemów, w tym kluczowej alokacji finansowej dla Polski, było wciąż najbardziej

prawdopodobnym scenariuszem. Gdyby Polska nie uzyskała gwarancji właściwego stosowania, proces uzgadniania wieloletniego budżetu zostałby zablokowany.

Zgadza się pan, że lipcowe porozumienie było błędem, jak mówili politycy Solidarnej Polski?

W lipcu nie wykluczaliśmy weta, ale w momencie uzgodnienia bardzo wysokiej pozycji finansowej dla Polski oraz kierunkowych wskazań w sprawie zasady praworządności było

jasne, że byłby to ruch przedwczesny. Na własny rachunek polityczny wykonalibyśmy robotę użytecznego idioty, który dałby wygodny pretekst do odłożenia decyzji finansowych, które były najsilniej krytykowane przez kraje północne. One tylko czekały na sprowokowanie Polski do takiego ruchu, by się za plecami Warszawy skryć i dalej obniżać wielkość funduszu odbudowy. W lipcu zabezpieczyliśmy interesy finansowe Polski i nie wypuściliśmy z rąk kontroli nad dalszym ciągiem procesu.

Fot. Andrzej Wiktor

Co pan odpowiadał, gdy mówiono: weto albo śmierć?

Powiedziałem wyraźnie w Sejmie podczas tej burzliwej debaty przed szczytem Rady Europejskiej, że weto ma sens tylko wtedy, gdy prowadzi do lepszego porozumienia dla Polski, i tej zasady się trzymałem do końca. Weto miało też granice swojego oddziaływania. Rozporządzenie w sprawie budżetu i praworządności mogło być bez trudu przyjęte nawet w sytuacji braku porozumienia w sprawie budżetu. Było związane z pakietem budżetowym tylko politycznie, nie prawnie. Nikt nie chciał wstrzymania budżetu ani upadku wspólnotowej koncepcji funduszu odbudowy i dlatego prace wstrzymano, szukając porozumienia. Gdyby jednak nie było wyjścia, rozporządzenie mogło być przyjęte. Popierały je wszystkie państwa UE z wyjątkiem Polski i Węgier.

Czy to reforma wymiaru sprawiedliwości była błędem?

Polska ma prawo prowadzić działania naprawcze państwa. Wymiar sprawiedliwości nie jest tu wyjątkiem. Członkostwo w Unii Europejskiej niczego tu nie zmienia. Sami, bez pomocy UE, powinniśmy oceniać sens naszych działań pod kątem nie tylko takiego lub innego rozumienia zasady praworządności, lecz przede wszystkim efektów działań dla polskich obywateli i polskich przedsiębiorców.

Jakie znaczenie miało to, że polski rząd poparł w groźbie weta węgierski premier? Dlaczego inne kraje nie zgadzały się na mechanizm praworządności, ale tylko zakulisowo?

Powiedzmy sobie to wyraźnie. Poza Węgrami kraje Unii – szczególnie naszego regionu – nie są skore do konfrontowania się w tej sprawie z Komisją Europejską czy Parlamentem Europejskim. Czas pokaże, czy robią błąd, czy też nie, ale dziś ten poważny spór o rolę i kształt integracji spoczywa na barkach Polski i Węgier. Rola premiera Orbána jest w tej sprawie trudna do przecenienia. Bardzo dobrze rozumiemy swoje racje i swoje interesy w tej kwestii. Dlatego współpraca układa się tak

harmonijnie. Wbrew zakłębom, które słyszę od pięciu lat, tam gdzie się na coś umawiamy, tam jest pełna lojalność i współpraca ze strony Budapesztu. Dlatego premier Morawiecki mógł zakończyć oba szczyty Unii wspólnymi konferencjami z premierem Orbánem, który był współtwórcą naszej wspólnej taktyki w lipcu i w grudniu, zakończonej porozumieniem.

Jak wyglądały negocjacje za kulami? Premier Mateusz Morawiecki mówił, że były najbardziej mordercze od lat.

Bez wątpienia jest to najtrudniejszy spór polityczny od 16 lat naszego członkostwa w UE. Premierzy Morawiecki i Orbán musieli stawić czoła nie tylko wielu możliwym stolicom Unii, lecz także zmasowanej akcji naciskowej w swoich krajach i w całej UE. Do tego dochodzi polska specyfika – znaczna część opozycji z zasady przyznaje rację każdemu oponentowi rządu własnego kraju.

Jakim negocjatorem jest premier Morawiecki?

Mateusz Morawiecki ma nieograniczone zasoby opanowania i zimnej krwi. Są sprawy, które toczą się w cztery oczy, których nie znam, ale spędzamy sporo czasu w takich dniach razem. Nigdy nie widziałem, by komuś udało się narzucić mu niepokój, a to podstawowa technika kruszenia oporu. Można to robić dobrze dobranymi argumentami, ale także środkami brukselskimi, zwykłym spinem, mediami. Można to też robić prowokowaniem niepokoju w kraju, co niestety często się zdarza w przypadku Polski. Jesteśmy jako kraj dość podatni na takie gry i inni to wiedzą. Premierowi w UE pomaga międzynarodowe i finansowe doświadczenie sprzed pracy w rządzie, które jest znane rozmówcom. Potrafi oceniać, kwantyfikować, odróżniać fakty poważne, średniego znaczenia od mało znaczących. To nie jest regułą w polityce.

Jak unijni przywódcy odbierają polskich polityków przy takich rozmowach?

Architekci rozszerzenia, którzy byli czynni, kiedy upadała żelazna kurtyna i komunizm, odchodzą. Oni zwykle widzieli procesy unijne szerzej, w planie historycznym, który dawał im szerszą perspektywę. Zmiana pokoleniowa zeszła się z czasem kryzysowego niepokoju o przyszłość Europy. To oznacza poważną zmianę, jeśli chodzi o sytuację wewnątrz UE. Europa Środkowa przestała być chodzącym dowodem na doniosłość zjednoczenia Europy. Staliśmy się zwykłymi konkurentami, którzy swoim rozwojem depczą po piętach wielu krajom Unii. To generuje nerwowość polityczną. Nie powinniśmy tych napięć wzmacniać, ale też nie ludźmy się, że one same miną, jak będziemy się grzecznie zgadzali z każdym w każdej sprawie. Mapa polityczna UE wykuwa się na nowo. Musimy konstruktywnie, ale też świadomości własnych interesów i podmiotowości brać w tym udział. Część krajów, polityków wołałaby, byśmy 16 lat po wejściu do Unii nadal byli krajem działającym w logice państwa akcesyjnego, jak biorcy norm. To już niemożliwe. Stąd czasem ostre napięcia. Gniewne odwracanie się od Europy też nie jest rozwiązaniem. W gruncie rzeczy to spełnianie oczekiwań części Zachodu – byśmy zniknęli z gry i sami stanęli w kacie.

Przeciwnicy zarzucają, że z Polską na arenie międzynarodowej trudno znaleźć wspólny język.

Polska w Unii nie ma sztywnych, stałych sojuszy ani sztywnej, stałej listy oponentów. Znaczna część interesów powoduje, że łatwiej nam ustalić wspólne oczekiwania z Europą Środkową. Tak się dzieje w sprawach transformacji klimatycznej, relacji z Rosją czy praw obywateli. Ale nawet w przypadku krajów, z którymi ostatnio różnimy się spektakularnie – Holandii czy Szwecji – podejmujemy działania w sprawie wspólnego rynku czy polityki handlowej. W Niemczech, mimo różnic w sprawie Nord Stream 2, dostrzegam większe zainteresowanie obroną spójności UE niż w przypadku Paryża. Takie przeciwdziałanie podziałom jest ważne dla Polski. Z Paryżem mamy wspólny język w sprawie

polityki rolnej czy energii nuklearnej. UE to bardzo gęsta sieć powiązań. Nie ma tu miejsca na uprzedzenia.

Polsce udaje się negocjować duże pieniądze, jesteśmy unijnym prymusem, jeśli chodzi o ich wydawanie. Skąd zatem groźba odebrania środków?

Wielu krajom się wydawało, że jak narzucą bardzo zasadniczy język wartości, w tym praworządności, to pozbawią nas jakichkolwiek racji w tej sprawie. Tak się nie stało. Nikt w Polsce przecież nie podważa wartości, jaką jest praworządność. Problem jest bardziej skomplikowany i dotyczy tego, kto ustala zakres tego pojęcia w UE. Na takich dywagacjach upłynęły nam cztery lata. Cała sprawa zbiegła się z negocjacjami budżetowymi, które dla krajów północnych zawsze były bardzo trudne. Mimo znacznych zysków tych krajów płynących z integracji umacnia się tam populistyczny opór wobec finansowania UE, taki sam jak w Wielkiej Brytanii. Politycy zamiast trzymać spór o praworządność w odpowiedzialnych ryzach, pozwolili mu się rozlewać bez granic. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Przecież nikt nie zaprzeczy, że pieniądze podatników europejskich powinny być wydawane skrupulatnie i uczciwie. Sprawa praworządności powinna być rozwikłana w ramach zwykłych, a nie politycznych procedur. Ze wszystkimi tego ograniczeniami. Dziś dżin z butelki uciekł i nie wiem, czy ktokolwiek ma pomysł, jak go tam z powrotem wsadzić. Bardzo wielu polityków w UE zainwestowało w to swoją wiarygodność i nie wie, jak z tego wyjść. Ta komedia pomyłek już dziś przynosi koszty całej Unii.

Może ci unijni politycy zdają sobie sprawę z tego, że polska opinia publiczna boi się takich oskarżeń, jak to łamanie zasad praworządności?

Polska opinia publiczna – latami namawiana przez znaczną część opozycji, by to UE zmieniała rządy w Warszawie – znosi to wciąż z dużą

dozą zdrowego rozsądku. Jednak i tu widać koszty. Europejski konsens, zamiast stać się podglebiem pod dojrzałą politykę Polski w UE, zaczyna być rozszarpywany dla partyjnych korzyści. Unia musi być współwłasnością wszystkich nurtów politycznych. Dziś sprawa integracji staje się narzędziem politycznego szantażu.

Polska w Unii nie ma sztywnych, stałych sojuszy ani sztywnej, stałej listy oponentów. Znaczna część interesów powoduje, że łatwiej nam ustalić wspólne oczekiwania z Europą Środkową. Tak się dzieje w sprawach transformacji klimatycznej, relacji z Rosją czy praw obywateli

Jeśli ten plan się powiedzie, poparcie dla UE w Polsce spadnie. Powodem jednak nie będą wątpliwości stygmatyzowanej Konfederacji, ale partyjna krótkowzroczność sił, które chcą być najbardziej prounijne na całym podwórku.

Nasze relacje międzynarodowe na takich oskarżeniach nie ucierpiały?

Ta sprawa zatruwa procesy polityczne, które muszą się opierać na zaufaniu. Wszyscy odpowiedzialni politycy starają się trzymać ją w swoich granicach, tak aby współpraca w innych dziedzinach nie ucierpiała, ale życie jest bardziej spontaniczne. Każdy, kto podgrzewał bez opamiętania tę sprawę na forum Unii, powinien brać to pod uwagę. Ale różnie z tym bywa, także z powodu zmian pokoleniowych, o których mówiliśmy przed chwilą.

Jak się uchronić przed podobnymi groźbami w przyszłości, skoro dokument jest, są wytyczne co do jego stosowania, ale zacięcie unijnych europarlamentarzystów pozostaje duże?

Parlament Europejski w tej sprawie od początku zachowuje się bardzo agresywnie i w dużej mierze odpowiada za eskalację tego sporu. Ale to nie europarlament będzie stosował to prawo. Prawo ma być stosowane przez Komisję Europejską, a ta zobowiązała się na piśmie do realizowania rozporządzenia w granicach ustalonych przez Radę Europejską. Parę dni później usłyszeliśmy, że KE nigdy nie myślała o tym rozporządzeniu inaczej. To bardzo miło, ale wolimy mieć to na piśmie, ściśle w dokumentach Rady.

Jakie wyzwania w polityce europejskiej przed nami?

Najważniejsze wyzwania stoją przed całą Unią, nie tylko Polską. Przede wszystkim odbudowa po pandemii. Dzięki porozumieniu z lipca i grudnia mamy instrumenty, które realnie mogą pomóc. Polska krytycznie odnosiła się do małych ruchów KE z marca czy jedynie pożyczkowych działań z kwietnia. Mamy duży mechanizm grantowy i trzeba go szybko wdrożyć w życie. Musimy przy tym zadbać o równe reguły gry na wspólnym rynku, by nierówne zasoby pomocy publicznej nim nie zachwiały. Potrzebujemy transformacji klimatycznej, która będzie dostosowana do uwarunkowań państw takich jak Polska. W dziedzinie migracji nasze ustalenia wykluczające przymus azylowy powinny być wdrożone prawem. Unia powinna się bardziej efektywnie angażować na naszych granicach zewnętrznych – wobec Białorusi musi być realizowany plan Morawieckiego, plan zachęt gospodarczych, trzeba reagować na agresywną politykę Rosji, otworzyć politykę rozszerzenia wobec Bałkanów Zachodnich, uspołnić z USA politykę wobec Chin. Sporo zajęć przed nami.

Wilk w owczej skórze



Siedziba w kurialnej kamienicy i przymiotnik „katolicki” w podtytule to od wielu lat jedynie symboliczne nawiązanie do źródeł „Tygodnika Powszechnego”. Katolickość pisma jest dziś jedynie pustym pojęciem, a poglądy wyrażane przez redakcję zdecydowanie bliższe są Strajkowi Kobiet i „Margot” niż Marszom dla Życia i nauczaniu św. Jana Pawła II. Skąd więc to zdziwienie decyzją krakowskiej kurii?

Tygodnik Powszechny” musi szukać nowej siedziby. Archidiecezja krakowska wypowiedziała redakcji umowę najmu lokalu przy ul. Wiślniej 12. Wielu pyta, dlaczego tak późno? Bo od lat trudna do zniesienia była sytuacja, w której gazeta określająca się mianem „katolickiej” i korzystająca z gościnności krakowskiej kurii, bez umiaru atakuje Kościół, promuje obce mu ideologie, szerzy skrajnie szkodliwy dla wiary relatywizm i piętnuje własnego arcybiskupa. Dziś kreuje się na ofiarę i powołuje się na dorobek kard. Karola Wojtyły. Ale na obronę św. Jana Pawła II przed manipulacją i kłamstwem nie znalazła miejsca na swoich łamach. Opublikowała wręcz odmowę obrony. Ks. Adam Boniecki, który stał murem za Nergalem i „Margot”, oświadczył w jednym z numerów wprost: „Nie podpiszę listu w obronie JP2. Nie będę walczył o nazwy ulic, co zaś do pomników, to ich niegdyś wysyp musiał się źle skończyć”.



MARZENA NYKIEL

KONIEC CYNICZNEJ GRY?

Od dawna widać, jak cynicznie wykorzystywany jest tytuł z niemal 80-letnią tradycją do propagowania treści coraz bardziej obcych nauczaniu Kościoła. I choć wielu redaktorów „Tygodnika Powszechnego” nie utożsamia się z katolicką deklaracją swojego pisma, utrzymywano ów przymiotnik, by podpiąć

własne treści pod wiarygodność marki i zatrzymać czytelnika. „Kościół otwarty” rósł dzięki temu w siłę i znajdował „teologiczne” wyjaśnienia dla największych występków. A czytelnik wiedziony był na coraz dalsze krańce relatywizmu.

Trudno znaleźć jedną istotną sprawę, w której „Tygodnik Powszechny” stałby po stronie Kościoła i razem z nim bronił człowieka przed szkodliwymi zmianami cywilizacyjnymi. Niestety. Mącił umysły, gdy ideologia gender ruszyła ze swoim spustoszeniem. Bronił chorych idei skrajnych feministek, szerzył postulaty środowisk LGBT, usprawiedliwiał profanacje,



wspierał uczestników Strajku Kobiet. Tworząc wspólny front z „Gazetą Wyborczą”, atakował polskich biskupów. Ks. Boniecki wziął nawet w obronę satanistę Nergala, który sprofanował Pismo Święte na koncercie, i podpisał list w obronie aktywisty LGBT Michała Szutowicza ps. „Margot”, który pobił działacza pro-life. Niestety, zabrakło mu empatii, by stanąć w obronie św. Jana Pawła II. Lubieżnicy, zdrajcy i gorszyciele mają w „TP” zaszczytne miejsca. Można odnieść wrażenie, że w ostatnich latach główną linią redakcyjną jest propagowanie skrajnego relatywizmu, którego celem jest zmanipulowanie nauczania Kościoła i otwarcie go na zdeprawowaną rzeczywistość.

Walka z polskimi biskupami toczy się w „Tygodniku” od lat. Redakcja gotowa była sięgnąć po każdego, kto ukaże ich w złym świetle, wytknie błędy i nakaże obranie „światłej”, postępowej drogi. Mieliśmy z tym do czynienia w 2015 r., kiedy na okładce pisma objawił się postępowy ks. Krzysztof Charamsa z Watykanu, ganiący działania polskich hierarchów i kapłanów walczących o wierność nauczaniu Kościoła. Nie trzeba było długo czekać na poznanie prawdziwych intencji „bohatera” krakowskiej redakcji. Kilka dni później okazało się, że ks. Charamsa wystąpił z Kościoła, co ogłosił podczas wspólnej konferencji prasowej ze swoim wieloletnim homoseksualnym partnerem. Wypromowany przez „Tygodnik Powszechny” watykański duchowny już po przejściu do stanu świeckiego jeździł po Polsce z wykładami, na których przekonywał, że „Marsz dla Życia i Rodziny to marsz przeciwko prawom człowieka”, Jan Paweł II i Józef Ratzinger są największymi homofobami, którzy zatrzymali Kościół w rozwoju, a „św. Teresa z Avila była biseksualna”.

Warto przy okazji zwrócić uwagę na konsekwentne wspieranie środowisk LGBT i ciągłą próbę przesuwania granic tolerancji dla działań homoseksualnych. „Tygodnik” bronił działaczy LGBT, którzy profanowali wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej i figurę Chrystusa na Krakowskim Przedmieściu. „Dla tych od tęczy Matka Boska jest matką. Tęczowa aureola jest jak przytulenie się do matki. A matka najczulej kocha dziecko przez innych nie lubiane” – pisał ks. Adam Boniecki, redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

W październiku 2019, gdy polski Kościół przeciwstawiał się tęczowej indoktrynacji, a ogromna część rodziców oczekiwiała prawnej ochrony dla swoich dzieci, „Tygodnik” wskazywał na nowe wzorce kulturowe i zachęcał do otwartości na środowiska LGBT w Kościele. Przeprowadził wówczas wywiad z prymaską Kościoła Szwecji abp Antje Jackelén, która opowiadała m.in. o równości płci w Szwecji oraz o otwarciu Kościoła na osoby LGBTQI. „Z perspektywy czasu wszyscy zgadzamy się, że niewolnictwo było słuszne. Teraz nasze oczy zostały otwarte na cierpienia osób homoseksualnych” – mówiła.

W ostatnim czasie „Tygodnik” nie szczędzi ataków wymierzonych w ks. abp. Marka Jędraszewskiego. W momencie gdy w Polsce rozgrywała się batalia o życie dzieci nienarodzonych, tygodnik stanął po stronie Strajku Kobiet. W listopadowym numerze na okładce pojawiła się Dorota Segda ze swoim proaborcyjnym przesłaniem. „To, czego dopuścili się Trybunał Konstytucyjny pod rękę z Kościołem, jest wyrazem pogardy do kobiet i stanowi pogrzeb praw człowieka w Polsce. Pożaluj” – oświadczyła w wywiadzie.

Nie brakuje także tekstów o dziwnej treści, jak tarot, wróżby, rytuały oczyszczające. W lipcu na łamach „Tygodnika Powszechnego” ukazał się artykuł poświęcony wróżbitom i ich pracy w czasie pandemii koronawirusa. Szkoda, że redakcja nie pochyliła się z troską nad niemożnością zarobkowania prostytutki podczas lockdownu.

ROZBIJANIE KOŚCIOŁA

Przykłady można by mnożyć. Od dawna trudno uchwycić katolicki przekaz w piśmie, które wciąż posługuje się tym przymiotnikiem. Zamiast ciekawości poznawczej i dociekliwości, przy zachowaniu jednoznaczności wiary, dominuje w nim skrajny relatywizm. Kościół w publikacjach „Tygodnika” nie jest przedstawiany jako wspólnota ludzi wiary dążąca do zbawienia na drodze Bożych przykazań i Chrystusowego nauczania. Przedstawiany jest raczej jako skostniała przestrzeń hierarchów, zamkniętych na postęp i potrzeby współczesnego

człowieka. Trudno nie przywołać tu opinii śp. ks. bp. Stanisława Stefanka, który w wywiadzie rzece „We wszystkim Chrystus” z 2015 r. niezwykle trafnie ocenił ideę tzw. Kościoła otwartego lansowaną przez autorów tygodnika i inne katolickie środowiska. „Kościół otwarty to jedno z największych kłamstw. To nie jest jakieś drobne przekłamanie. To próba skrótowego uderzenia w samą istotę Kościoła i rozbicia go od środka. To jest wyjęcie nośnego filaru, na którym jest zwornik trzymający całą strukturę Kościoła. Jest to wyjątkowo niebezpieczne środowisko – zadufane w sobie, zadowolone ze swojej aktywności społecznej i oczekujące pokłasku. Rzeczywiście sporo ludzi dołącza do nich w charakterze klakierów, ponieważ jest im to na rękę. Dobrze się w tym czują. Coś tam z tej religii zostało – kościółek, bozia, Jezusek, lilili, obyczaje, prezencik. Książd może przyjść po kołędzie, nawet kopertkę dostanie, bo to taka działalność kulturalno-oświatowa, którą trzeba popierać, niech tam ma. Ale broń Bóg wymagania, Krzyż czy postawienie twardych zasad” – mówi ks. bp Stefanek. Zapytany wówczas, dlaczego tytuł lansujący tezy często sprzeczne z nauczaniem Kościoła nadal bezkarnie używa przymiotnika „katolicki”, odpowiedział: „Słowo »katolicki« podlega władzy biskupa miejsca. Biskup ma prawo odebrać ten przymiotnik tytułowi, który na jego terenie ma swoją siedzibę”.

Dziś, po wielu latach i publikacjach przesuwających kolejne granice, nastąpił pierwszy krok.

PR-OWY SZANTAŻ EMOCJONALNY

Na razie nikt nie zakazał „Tygodnikowi Powszechnemu” używania przymiotnika „katolicki”, choć wielu ludzi Kościoła apeluje o to od dawna. Krakowska kuria wypowiedziała jedynie lokal i nie komentuje całej sprawy. Redakcja ma czas na opuszczenie budynku do kwietnia. Cyniczna gra PR-owa z wykorzystaniem szantażu emocjonalnego już ruszyła.

Na pomoc pierwsza przybiegła redakcja „Więzi”, spójna programowo z „TP”. „Gdy w 1945 roku w Krakowie powstawał »Tygodnik Powszechny«, pod skrzydła wziął go metropolita książę Adam Stefan Sapieha. Potem jednym z autorów pisma i jego przyjacielem został Karol Wojtyła. Dziś metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski po 76 latach wypowiedział redakcji umowę najmu lokalu. Trzeba spakować wspomnienia i przenieść je gdzieś indziej. Jakże symboliczna jest ta przymusowa przeprowadzka. To zamknięcie drzwi przed katolikami otwartymi (jak nazywa się reprezentantów tego środowiska); przed osobami chętnymi do dyskusji o zmianach zachodzących w świecie, o potrzebach i intuicjach wiernych, o powodach, z jakich ludzie odchodzą z Kościoła, osobami doceniającymi rolę sztuki w duchowym rozwoju człowieka. Niestety, ostatnio w polskim Kościele bardzo głośny stał się

nurt wykluczający coraz to nowe grupy ze wspólnoty, zamykający dyskusję, gardzący wyrażającymi wątpliwości” – napisała w rozmocjonowanym tekście Joanna Podsadecka.

Jest więc świadomość korzeni, z których się wyrosło. Szkoda tylko, że redakcja odcinała się od nich z taką premedytacją. Teraz wykorzystuje je wyłącznie po to, by manipulować emocjami i kreować zarzut zaprzepaszczenia przez kurie dziedzictwa historycznego i wieloletniego dorobku pisma, łącznie z dorobkiem Wojtyłowskim. Obrzydliwość, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę milczenie wobec szkalowania św. Jana Pawła II i odmowę wzięcia go w obronę.

Co ciekawe, sam św. Jan Paweł II widział postępujące zmiany programowe w „Tygodniku”. Napomniawszy swoją byłą redakcję w liście na 50-lecie powstania pisma. Już wtedy zarzucał jej niedostateczną obronę wiary i Kościoła. „Rok 1989 przyniósł w Polsce głębokie zmiany związane z upadkiem systemu komunistycznego. Odzyskanie wolności zbiegło się paradoksalnie ze wzmocnieniem atakami sił lewicy laickiej i ugrupowań liberalnych na Kościół, na Episkopat, a także na

Papieża. Wyczułem to zwłaszcza w kontekście moich ostatnich odwiedzin w Polsce w roku 1991. Chodziło o to, ażeby zatrzeć w pamięci społeczeństwa to, czym Kościół był w życiu Narodu na przestrzeni minionych lat. Mnożyły się oskarżenia czy pomówienia o klerykalizm, o rzekomą chęć rządzenia Polską ze strony Kościoła, czy też o hamowanie emancypacji politycznej polskiego społeczeństwa. Pan daruje, jeżeli powiem, iż oddziaływanie tych wpływów odczuwało się jakoś także w »Tygodniku Powszechnym«. W tym trudnym momencie Kościół w »Tygodniku« nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać; »nie czuł się

dość miłowany« – jak kiedyś powiedziałem”.

Jak widać, problem zarysowany przez św. Jana Pawła II w 1995 r. coraz bardziej się pogłębia. Nie może więc dziwić decyzja krakowskiej kurii.

Redakcja „Tygodnika” już przekula ją w działania PR-owe. „Wiosną tego roku, w 76. urodziny, opuścimy redakcję przy ulicy Wiśnej 12. Dziś otrzymaliśmy wypowiedzenie umowy najmu naszego lokalu, należącego do Archidiecezji Krakowskiej” – ogłosiła, prosząc o finansowe wsparcie. W ciągu 24 godzin wpłynęło ponad 100 tys. zł.

Skoro więc czytelnicy „Tygodnika” tak mocno związani są z obecną linią programową i tak hojnie wspierają jego działalność, może czas na transparentność. Z takim mandatem czytelniczym redakcja nie musi już udawać katolickiego pisma. Niech oprócz zmiany siedziby pozbędzie się krępujących ją katolickich etykietek i zacznie nowe, prawdziwe życie wydawnicze. Tak będzie uczciwiej. Bo fałsz w tej tygodnikowej grze narasta od lat. I coraz bardziej gorszy.

Dziś „Tygodnik” kreuje się na ofiarę i powołuje się na dorobek kard. Wojtyły. Ale na obronę św. Jana Pawła II przed manipulacją i kłamstwem nie znalazł miejsca na swoich łamach. Opublikowano wręcz odmowę obrony

Partia perfum

Ugrupowanie, ruch i think tank Szymona Hołowni to pomysły z show-biznesu, a nie z polityki. Celebryta w wyborach prezydenckich może zebrać głosy fanów, ale jego przedsięwzięcia w innych wyborach raczej nie mają szans na sukces



STANISŁAW JANECKI

Mają poparcie na poziomie 10–16 proc. Są traktowani jako realna siła polityczna. Ich lider walczył o prezydencki fotel. W przyszłości chce być premierem. Zasiadają partię prowadząc z nimi rozmowy i negocjacje. Lider ma na wszystko proste recepty, a wyraża je w tempie najlepszych licytatorów bądź aukcjonierów. Jest tylko jeden problem – najbliższe wybory odbędą się dopiero w połowie 2023 r., a polityczne przedsięwzięcia bez wyborów usychają. Czy taki los spotka trzy wcielenia Polski 2050?

Dotychczas partię w Polsce nie miały w nazwach odległej perspektywy czasowej, niczym „2001: Odyseja kosmiczna” – film Stanleya Kubricka z 1968 r. Czy projekt tworzony w 2020 r. może się odnosić do celu oddalonego o 30 lat i czy w związku z tym będzie traktowany serio? Czy poważnie będzie traktowane przedsięwzięcie, które tylko formalnie jest polityczne, a w gruncie rzeczy niczego z klasycznej polityki nie przypomina?

SERCE I GŁOWA

Pierwsze wrażenie jest takie, jakby grupa satyryków chciała sparodiować zakładanie i funkcjonowanie partii w Polsce. Drugie wrażenie to brak poczucia hu-

moru u tych satyryków, choć są chlubne wyjątki. I trzecie – sami satyrycy po pewnym czasie na tyle wciągnęli się w swoją parodię, że zaczynają ją traktować jak rzeczywistość. A nawet trzy rzeczywistości: partię Polska 2050 Szymona Hołowni, ruch społeczny Polska 2050 (funkcjonujący jako stowarzyszenie) oraz think tank Instytut Strategii 2050. I te trzy rzeczywistości funkcjonują w czwartej, czyli w mediach społecznościowych oraz w Dobrym Radiu.

Trzy oblicza Polski 2050 to oczywiście jeden projekt, w dodatku wymyślony przy biurku i na podstawie badań społecznych. Wymyślony tak, jak w 2005 r. Agora wymyśliła dziennik „Nowy Dzień”. I choć owa gazeta spełniała warunki trafnej inwestycji, okazała się kompletną klapą (funkcjonowała od 14 listopada 2005 r. do 23 lutego 2006 r.). Właśnie z tego powodu, że była wymyślona przy biurku i na podstawie badań.

W istocie projekt Szymona Hołowni jest przedsięwzięciem medialnym, rozbudowanym po jego kampanii prezydenckiej. Nieprzypadkowo liderami tego konceptu są dwaj byli dziennikarze: sam Hołownia, jako twarz całości, i Michał Kobosko, jako szef partii oraz wiceprezes stowarzyszenia (w przeszłości redaktor naczelny kilku tytułów, m.in. „Newsweeka” oraz „Wprost”). Obaj komunikują się z wyborcami (społeczeństwem) tak jak dziennikarze, a Szymon Hołownia jeszcze jak konferansjer telewizyjnej rozrywki, czyli także celebryta.

Mimo formalnej powagi trzech filarów Polski 2050 ma ta inicjatywa wiele cech



projektu ze świata show-biznesu, choć nie dysponuje stacją telewizyjną o dużym zasięgu, jak np. „Late Show with David Letterman” w telewizji CBS. No i Hołownia to jednak nie jest Letterman.

Tak jak w show-biznesie gwiazda może być tylko jedna – Szymon Hołownia. Dlatego w projekcie o trzech twarzach (filarach) znana jest tylko jego twarz. Na zapleczu jest zaledwie kilka rozpoznawalnych postaci, choć też raczej z przeszłości: minister w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz – Jacek Cichocki, były dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych Mirosław Różański (wspomniany słubny wyjątek, gdy chodzi o zdolności satyryczne), była wiceminister w MSZ i ambasador w Moskwie Katarzyna Pelczyńska-Nałęcz i od biedy Ryszard Wojtkowski (nierozpoznawalny), jak sam o sobie mówi, „w latach przełomu 1989 roku szef gabinetu czterech kolejnych premierów”.

Na wybory prezydenckie dla Szymona Hołowni przygotowano program, ale był to zlepek banalów. I ten niegdysiejszy program funkcjonuje jako dokumenty programowe ruchu Polska 2050 (i zapewne partii). Tytuły działów zdradzają redakcję byłych dziennikarzy: „Bezpieczeństwo naprawdę, Edukacja dla przyszłości, Gospodarka na pokolenia, Karta samorządowa, Klimat na wzrost, Nasz europejski dom, Pełnoprawni, Program dla praworządności, Recepta na zdrowie, Rodzina 2050, Środowisko – nasze wspólne dobro”. Ten zestaw banalnych też został uzupełniony o kilka artykułów tematycznych oraz kilka debat, wyróżniających się tym, że są równie trywialne.

Najważniejszy tekst programowy wygląda zresztą jak reklama perfum: „Głową i sercem» – to hasło połączyło niemal 3 mln polskich obywateli, którzy w wyborach prezydenckich w 2020 r. oddali głos na Szymona Hołownię. To hasło opisuje także nasz ruch, który wówczas się narodził. »Serce« to oddolna aktywność społeczna. »Głowa« to wiedza ekspertów. Z »głowy« i »serca« wypływa dobra polityka – wrażliwa na potrzeby ludzi i profesjonalna”.

W opisie perfum mamy jeszcze „bazę” – u Hołowni to chyba „reče”, czyli ktoś do pracy. Z perfumami łączy też trójąłową Polskę 2050 ulotność tego, czym jest – niczym zapachowa nuta.

PUDELKOWANIE

Najważniejsze tezy programowe trzyfilarowej Polski 2050 wyglądają jak wystąpienia kandydatek w konkursach miss: „Naszym celem jest budowa Polski na miarę XXI w. Polski demokratycznej, solidarnej, zielonej. Polski bezpiecznej. [...] Chcemy Polski, w której każdy, niezależnie od zamożności i miejsca zamieszkania, ma równe szanse na dobre życie. [...] Walczymy o ratowanie środowiska naturalnego”. Chyba nieprzypadkowo te „odkrycia” nie wybiegają poza to, co Szymon Hołownia „zapowiadał” jako konferansjer programu „Mam talent!” w TVN.

Nieprzypadkowo też swoją kampanię prezydencką rozpoczął w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim, czyli na scenie, choć właściwszy dla treści programowych, które głosił, byłby jakiś teatr letni z wodewilowym repertuarem. Hołownia lubi występować i „zagadywać”. I robi to tak, jakby relacjonował wyścig kolarski, mecz piłkarski bądź zawody lekkoatletyczne, a przy okazji to, że na przykład krowa wspięła się na drzewo i nie potrafi zejść. Bo jak to w konferansjerce musi być żart. Czy udany, to inna sprawa.

Szymon Hołownia komunikuje się ze swoimi sympatykami tak jak klasyczny celebryta. Znacznie częściej opowiada o kolejnych epizodach swego życia niż o polityce. Wiemy już, że mieszka poza miastem i ma blisko do lasu. Że wyprowadza psy na spacer i relacjonuje, jakie inne czworonogi spotkały jego zwierzaki po drodze. Dowiadujemy się, jakim jest ojcem, nie tylko wtedy, gdy odwozi dziecko do przedszkola. Co ma w danym dniu załatwić i z kim się spotkać. Że jeździ elektrycznym autem, więc dba o naturę. Sam sobie zadaje pytania i na nie odpowiada. Sam sobie urządza miniseanse psychoanalityczne i psychodramy. Tak funkcjonują i prezentują się wyłącznie celebryci. Tyle tylko, że na razie Szymon Hołownia nie jest jeszcze Kim Kardashian czy Ozzym Osbourne’em, których życie obserwowały miliony. Większość tego, co przekazuje swoim sympatykom politycznie nie ma najmniejszego znaczenia, a jego życie nie jest tak „pudelkowo” czy choćby „instagramowo” interesujące, żeby je śledzić.

Sposób komunikowania się lidera z wyborcami został wymyślony na pod-

stawie tego, jak młodzież komunikuje się między sobą, ale jako narzędzie polityki to kompletnie nie działa. Tak się kreuje i promuje nie polityka, tylko osobę z show-biznesu. Tylko że ci ze świata rozrywki mają bardziej barwne zaplecze i wiedzą, kiedy coś parodiują, kiedy w coś grają, podczas gdy „eksperci” Szymona Hołowni firmowane przez niego i siebie teksty traktują serio.

PARTIA NIC

Poza aspektami rozrywkowymi są jeszcze polityczne problemy Polski 2050 w trzech odsłonach. Tworzenie partii na trzy lata przed wyborami oznacza przecież słabe rozumienie polityki. Taki projekt ma bardzo małe szanse, żeby dotrzeć do pierwszej wyborczej próby. Tym bardziej że mamy za sobą jednokadencyjne doświadczenia Ruchu Palikota, Nowoczesnej Ryszarda Petru i Kukiz’15. Tamte ugrupowania były tworzone na wybory, a nie między wyborami – jak w wypadku Polski 2050. Różnica jest także programowa: tamte przedsięwzięcia były wyraziste (odpowiednio antyklerykalne, wolnorynkowe bądź odwołujące się do demokracji bezpośredniej). Polska 2050 programowo sprowadza się do życzeń „zdrowia, szczęścia, pomyślności”. Programowo jest partią nic. Ale tak się dzieje, kiedy partię dopasowuje się do wyobrażeń z badań społecznych. Wtedy właściwie nie wiadomo, kogo się reprezentuje i do kogo odwołuje. W praktyce wychodzi, że do nikogo, choć przez pewien czas sympatycy jeszcze tego nie dostrzegają, więc deklarują poparcie. Przez jakiś czas działa przyciąganie ładnego opakowania i tajemnicy, które ono skrywa. Ale szybko się okazuje, że w tym opakowaniu nic nie ma. Jest tylko ktoś, kto to ładne opakowanie reklamuje, ale równie dobrze mógłby prowadzić kampanię innego produktu. I Hołownia w przeszłości to robił, a produkt zbiorczo nazywał się popkatolicyzmem (z elementami discokatolicyzmu).

To wszystko sprawia, że eksperymentalny projekt Polska 2050 raczej wyczerpie się, zanim przejdzie próbę ognia. W wyborach prezydenckich można wystartować jako człowiek z show-biznesu, partia ze świata rozrywki w innych wyborach to już jednak zbytnia ekstrawagancja. Raczej bez szans.



Cztery życia Lidii Lwow-Eberle

Lidii Lwow-Eberle należy się godny państwowy pogrzeb i miejsce w Alei Zasłużonych. Jest bowiem jednym z partyzantów polskiego państwa podziemnego z najdłuższym stażem, bo łącznie sześćioletnim

*Jacek Karnowski rozmawia z **Arkadiuszem Gołębiewskim**, reżyserem, dyrektorem Festiwalu Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci*

Odchodzą od nas ostatni świadkowie czasu wojny, czasu powstania antykomunistycznego. Teraz żegnamy postać naprawdę wyjątkową – Lidię Lwow-Eberle. To koniec pewnej epoki?

Arkadiusz Gołębiewski: Tak, to postać szczególna dla całego środowiska kultywującego pamięć Żołnierzy Wyklętych, i to z wielu względów. Pani Lidia była jednym z pierwszych żołnierzy „odkrytych” przez środowisko warszawskiego NSZ, a potem Fundacji

Pamiętamy Grzegorza Wąsowskiego, już na początku lat 90. XX w. upominające się o pamięć o bohaterach. Wywodziła się z 5 Wileńskiej Brygady AK, a to właśnie od Wileńszczyzny rozpoczął się na szerszą skalę proces przywoływania żołnierzy podziemia niepodległościowego. Dziś wiemy, że właściwie każdy region, powiat miał swoich bohaterów, swoje legendy, ale partyzanci z Kresów mieli chyba największy potencjał w przekazie, aby o nich i ich straceńczym losie opowiadać.

Lidia Lwow była w partyzantce już od 1943 r. Najpierw w oddziale Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”, a kiedy oddział ten został podstępnie rozbrojony i częściowo wymordowany przez sowiecką brygadę, dołączyła do oddziału mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Nie była więc żołnierzem z przypadku.

Lidia Lwow od samego początku była związana z 5 Brygadą – oddziałem bardzo szczególnym, można powiedzieć, że charyzmatycznym,

ale i nazywanym Brygadą Śmierci. Zawsze była obok swojego dowódcy. Jako żołnierz, a po śmierci żony pana majora również stała się wybranką jego serca. Byli z sobą prawie pięć lat. Bardzo chcieli się pobrać i było to bardzo bliskie. Kiedy było wiadomo, że Zygmunt Szendzielarz zostanie zgładzony, władze więzienia obiecywały, że w celi śmierci przy Rakowieckiej będą mogli zawrzeć ten sakrament, ale słowa nie dotrzymały.

Została aresztowana razem z Zygmuntem Szendzielarzem w Osielcu k. Makowa Podhalańskiego 26 czerwca 1948 r. Do stała dożywocie, wyszła dopiero w listopadzie 1956 r.

Życie jej nie oszczędzało, ale ona sprostała wszelkim wyzwaniom, pokonała swoje słabości. Żyła pięknie, godnie do samego końca. Ale była także szczerą wobec siebie samej. W wielu moich filmach występowała jako świadek historii. Opowiadała, że gdy siedziała półtora roku w więziennej izolacie w Inowrocławiu, to straciła wiarę, przestała wierzyć w Boga, w pewnym sensie się załamała. Później jednak, jak wspominała, pozbierała się, odzyskała też wiarę i ma ją do dzisiaj – jak mówiła. Spotkała ją wielka tragedia, przecież zamordowano jej narzeczonego, ukochanego, spędziła najpiękniejsze lata w partyzantce, a potem osiem lat w więzieniu, a jednak potrafiła to w sobie przepracować.

Po wojnie skończyła studia, żyła aktywnie, także w sferze zawodowej.

Tak, po wyjściu z więzienia zaczęła normalnie żyć, a to nie wszystkim się udawało. Skończyła archeologię, wyszła za mąż, urodziła córkę. Znalazła też sobie w PRL, w okresie zniewolenia, własną niszę, bo zajmowała się historią garbarstwa, historią wykorzystania skóry w rzemiośle. Można powiedzieć, że powołała muzeum. Do dziś z tego jej dorobku korzystają naukowcy z całego świata. To bardzo ważne w świetle prób swego rodzaju poniżenia Żołnierzy Wyklętych, po-

przez twierdzenia, że to byli ludzie prymitywni, niewykształceni.

Tego typu tezę promowała niedawno „Gazeta Wyborcza”.

To jest oczywiste zafałszowanie. Prawda jest taka, że kadra dowódcza to była elita. Owszem wojna to nie przedszkole. Proces sowieckiego zniewolenia postępował, masowe represje, mordy sprawiały, że życie

Lidia Lwow to rosyjska księżna, której rodzina w 1921 r. uciekła do Polski. Przed wojną studiowała prawo na uniwersytecie w Wilnie. W okresie wojny była nauczycielem. Poszła do partyzantki, najpierw do oddziału „Kmicica”, a po jego rozbiciu do „Łupaszki”, by walczyć z okupantem

stawalo się brutalne i nie wszyscy wytrzymywali ciężar lat spędzonych w lesie, w ziemiankach, zdarzały się załamania nerwowe, a nawet samobójstwa. Warto pamiętać, że śmierć Józefa Franczaka w 1963 r. to nie koniec historii podziemia niepodległościowego. Wiele żołnierzy do końca życia w obawie przed represjami żyło pod przybranym nazwiskiem, nawet żonom i dzieciom nie opowiadali swojej historii. Pisanie o nich w roku 2021, że szli do lasu, aby zaszpanować dziewczynom lub przeżyć przygodę, to jakaś niepoważna sprawa, niegodna pióra historyka z tytułem profesora. Proszę poczytać, kim był major Łupaszka, pułkownik Olechnowicz czy nasza pani Lidia. Przecież Lidia Lwow to rosyjska księżna, której rodzina w 1921 r. uciekła do Polski. Przed wojną studiowała prawo na uniwer-

sytecie Stefana Batorego w Wilnie. W okresie wojny była nauczycielem. Poszła do partyzantki, najpierw do oddziału „Kmicica”, a po jego rozbiciu do „Łupaszki”, by walczyć z okupantem. To byli ludzie dużego formatu, dużej klasy, świadomi swoich wyborów. Pani Lidia nawet w więzieniu szukała wiedzy, chciała się rozwijać, uczyła się od osadzonych koleżanek języków obcych. Nie chciała tracić czasu. To, że wybrała archeologię, też wiele mówi o jej pasji życia, ciekawości świata.

Była bardzo mocno związana z Festiwałem Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci. Przyjeżdżała tam chętnie i zawsze zwracała uwagę swoją radością życia, dowcipem, optymizmem.

Na 12 edycji festiwalu uczestniczyła chyba w pięciu. Moją uwagę zawsze zwracał jej wielki spokój, nienaganny strój. Nigdy nie widziałem, by się zdenerwowała, wybuchła, okazywała humory albo się jakoś wywyższała. A przecież była człowiekiem o naprawdę niezwykłym życiorysie. Zrobiłem, co mogłem, czy to poprzez swoje filmy, czy poprzez festiwal, by ją pokazać całej Polsce, by szerzyć wiedzę o jej życiu, ale i ja mam poczucie żalu, że tak późno zaczęliśmy tych ludzi naprawdę doceniać. Zrobiliśmy to w momencie, gdy oni już zaczynali odchodzić.

Lidia Lwow była w pewnym sensie rówieśniczką Danuty Siedzikówny „Inki”, obie służyły w tym samym oddziale. Jedną zamordowano, drugą dożyła do naszych czasów.

Tak, służyły w jednym oddziale, choć Lidia Lwow była znacznie wyżej w hierarchii, była w sztabie, przy dowódcy, a „Inka” była sanitariuszką w innym szwadronie. Spotykały się jedynie na odprawach co jakiś czas. Ale były z jednego pokolenia. Często dociekałem, co sprawiło, że poszły do partyzantki, że w niej wytrzymały. I wszystkie, Lidia Lwow, ale także prof. Barbara Otwinowska, moja żyjąca jeszcze 100-letnia ciocia Lucyna Janik, mówiły, że to było coś oczywistego. Jeśli kończysz

szkołę średnią, to nie możesz już być bierny, masz pewne obowiązki. Bo przed tobą byli powstańcy styczniowi, były legiony, byli żołnierze 1920 r., żołnierze Września '39. Gdy przychodzi zniewolenie, nie można się uchylić, schować w jakiejś dziurze. Musisz walczyć o wolność.

A wolność ci ludzie naprawdę rozumieli i cenili.

Tak. W ramach tegorocznych festiwalowych retrospektyw zrobiłem specjalny blok zatytułowany „Pokołnienie 1920”. Umieściłem w nim filmy o takich ludziach, jak gen. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf”, jak Lidia Lwow. Bo stale trzeba pytać: co oni chcieli nam powiedzieć? Co mówią nam ich biografie: te wojenne i te powojenne?

I jaka jest odpowiedź?

Moim zdaniem taka, że trzeba zawsze być aktywnym, zawsze trzeba działać dla świętej sprawy. W kraju, na emigracji, w sprawach wielkich i małych. Nigdy nie można się poddawać, zawsze trzeba dążyć do celu. Ale trzeba też widzieć krzywdę. Lidia Lwow opiekowała się wieloma ludźmi, zarówno kobietami, które straciły mężów w komunistycznych więzieniach, jak i młodymi ludźmi z domów dziecka. A przy tym zawsze była skromna. Nigdy też ze swoich losów nie robiła wielkiego dramatu, nie użalała się nad sobą, nie mówiła, że miała ciężkie życie. Przeciwnie – mówiła, że miała piękne życie. Siadała na balkonie, w tej swojej małej kawalerce w bloku z wielkiej płyty na Bielanach, opierała na ponadmetrowej barierce swoje prawie 100-letnie nogi i radośnie patrzyła na świat, czasem szkicując coś na kartce. Zawsze w wyszukanych koralach, zawsze umalowana swoją ulubioną czerwoną szminką... Prawdziwa dama. Mało kto wie, ale pani Lidia miała wiele talentów. Pięknie malowała, w partyzantce nauczyła się prowadzić samochód, co w tamtym okresie było czym wyjątkowym.

W latach 80. XX w. szukała też informacji na temat okoliczności śmierci „Łupaszki”.



Fot. Andrzej Wiktor

Gdy na fali Solidarności pojawiła się możliwość szukania prawdy, w jej mieszkaniu gromadziły się rodziny żołnierzy z Brygad Wileńskich, śmiejeli zaczęli spotykać się byli więźniowie. Zaczęto zbierać informacje, tworzyć listy pomordowanych i ich rodzin. Pamiętamy, to były czasy, gdy o takiej instytucji jak IPN nie można było nawet marzyć. Ci ludzie przez dekadę wiedzieli tylko, że ich bliscy zginęli, ale nic więcej. Gdy można było szukać, także prawdy o śmierci „Łupaszki”, pani Lidia znów była w pierwszym szeregu. Ale myślę, że nie można ani nie trzeba redukcować pani Lidii do roli kobiety „Łupaszki”, choć był bardzo ważny w jej życiu.

Ich losy są ze sobą tak splecione, że trudno tego uniknąć.

Wracając mi w myślach pewne sceny. Gdy robiłem film „Pan major »Łupaszka«”, zaprosiłem panią Lidie do więzienia przy Rakowieckiej, to była jej może pierwsza wizyta w tym miejscu. Jacek Pawłowicz prowadził

nas do miejsca mordu. Szliśmy tymi zimnymi, oszczędnie oświetlonymi korytarzami, którymi na stracenie szedł Zygmunt Szendzielarz. I ona, zawsze pogodna, radosna, teraz miała twarz niesamowicie skupioną. Podobnie przeżywała chwilę, gdy ogłoszono identyfikację szczątków „Łupaszki”, które odnalazł prof. Krzysztof Szwagrzyk. Byłem wówczas przy niej z kamerą. Pamiętam, jak bardzo długo z namysłem szukała czegoś w torebce, w końcu znalazła. I tym swoim pięknym, dostojnym gestem ręką wyjęła obrazek Archaniola Michała, który położyła na drewnianej, prostej sosnowej trumnie. Major „Łupaszka” całe życie był dla niej bardzo ważny. Potrafiła sobie ułożyć nowe życie, ale o nim nie zapomniwała i myślę, że realizowała jego testament: „Masz wyjść za mąż, masz mieć rodzinę, musisz się uczyć” – takie słowa skierował jako ostatnie major podczas ich wyjątkowego widzenia w więzieniu przy Rakowieckiej tuż przed egzekucją.

Powiedzmy jeszcze parę słów o jej korzeniach rodzinnych, narodowych, bo to ciekawa historia.

Urodziła się 14 listopada 1920 r. w miejscowości Płos w Rosji nad Wolgą. Jej ojciec był agronomek. Musieli uciekać przed bolszewikami. Ukończyła gimnazjum w Święcianach. Studiowała prawo, malowała, była w okresie wojny nauczycielką. W sumie Rosjanka, która w poszukiwaniu wolności przybyła do Polski międzywojennej i Polskę pokochała, Polskę wybrała. Ale jej losy są niesamowite i w innych aspektach. Była przecież zaprzyjaźniona z rodziną Mackiewiczów. Rodzice Marii Kaczyńskiej i Lidii Lwow dobrze się znali, przyjaźnili się ze sobą. To była relacja wywodząca się chyba jeszcze z Wileńszczyzny. Pani Lidia wspominała, że na kolanach trzymała często małą Marię Mackiewicz, później Kaczyńską. Obie panie potem się spotykały.

Niesamowicie splatają się te polskie losy.

Tak. I może jeszcze jeden ważny szczegół: otóż w pewnym okresie swojego życia pani Lidia mieszkała na Cytadeli, na terenie obecnego Muzeum X Pawilonu. Córką pani Lidii, Justyna, często wspomina, że bujała się w dzieciństwie na dyszlu zrekonstruowanej kibitki, która do dziś stoi na dziedzińcu. Teraz, tuż obok, budowane jest piękne Muzeum Historii Polski. Można powiedzieć – wszystko się domyka.

Czy Lidia Lwow miała jakieś wyraźne poglądy na Polskę współczesną? Czy wypowiadała się np. w kwestii sporów politycznych, historycznych?

Była lubiana przez wszystkich, których spotkała na swojej drodze. Lgnęła też do niej młodzież. Na pewno nie obnosiła się ze swoimi poglądami politycznymi, trzymała je dla siebie. Była w pewnym sensie ponad sprawy bieżące. Oczywiście, nie sądzę, by głosowała na postkomunistów czy lewicę, była w sposób

oczywisty związana z obozem patriotycznym, ale w pewien sposób dyskretnie. Żyła w swoim świecie. Była człowiekiem naprawdę nieoczywistym. Wyznania prawosławnego, ale systematycznie do cerkwi nie chodziła. Ona w sumie miała cztery życia, jak to ujął Rafał Mierzejewski. Jedno do wojny, drugie w czasie okupacji, trzecie po wojnie w więzieniu i czwarte po wyjściu na wolność. Z pewnością też lata w więzieniu, w tym długo w pojedynczej

Rodzice Marii Kaczyńskiej i Lidii Lwow przyjaźnili się ze sobą. To była relacja wywodząca się chyba jeszcze z Wileńszczyzny. Pani Lidia wspominała, że na kolanach trzymała często małą Marię Mackiewicz, później Kaczyńską. Obie panie potem się spotykały

celi, zostawiły ślady, za to wszystko płaciło się pewną cenę. Cenę emigracji wewnętrznej.

Czy środowisko żołnierzy ocalałych z 5 Brygady było ze sobą zżyte?

Oni się bardzo lubili, tworzyli pewną wspólnotę. Pamiętam ich poruszenie po tym, gdy w Arizonie odnalazł się Zygmunt Błażejewicz. Chciałem zrobić film pokazujący spotkanie Lidii Lwow, Józefa Bandzy czy Mikołaja Sprudina – żyjących wówczas żołnierzy „Łupaszki”. Już niestety tego nie nakręcę. Lata spędzone z „Łupaszka” miały dla tych ludzi wielkie znaczenie, one ich ukonstytuowały. Losy mieli dramatyczne, życie mocno ich poobijało, często stawiało na krawędzi przetrwania, ale że charaktery mieli mocne, to żyli dalej i starali się to

robić godnie. Rzadko byli doceniani. Zresztą mam już taki nawyk, że gdy widzę kogoś, kto jest za bardzo obwieszony medalami, to zapala mi się lampka w głowie. Środowisku brygad wileńskich trudno było się przebić, w Warszawie na pierwszym planie byli powstańcy warszawscy, oni stali z boku, rozsiani po Polsce, często na ziemiach północnych i zachodnich, bo tam było łatwiej się schować. Nawet w kwestii pochówków byli w drugim szeregu, rzadko było dla nich miejsce na Powązkach. Dopiero Lech Kaczyński w 2008 r. po raz pierwszy naprawił ich uhonorował, godnie odznaczył, docenił w imieniu państwa polskiego.

Co uznalby pan za przesłanie Lidii Lwow dla nas, dla kolejnych pokoleń Polaków?

Myszę, że oni byli wierni sobie samym. Swoim wartościom, swoim pasjom, swoim postawom, swojemu patriotyzmowi. Byli bardzo dalecy od egoizmu, od skupienia na sobie, od życia dla siebie, od jakiejś roszczeniowości. Umieili i chcieli się dzielić tym, co mają. Umieili przechodzić ponad małymi, nieważnymi sprawami. Pani Lidia nigdy nie miała pretensji do świata, miała poczucie, że to były jej wybory, bo przecież po rozbięciu oddziału „Kmicica” mogła wrócić do domu, a jednak poszła do „Łupaszki”. Żyła bardzo skromnie, ale i bardzo godnie, zawsze wolna, nawet w więzieniu, także w PRL. Odniosła prawdziwy sukces.

Zostanie pochowana na Powązkach?

Po przebytych udarach ponad 10 lat temu wykupiła sobie sama miejsce w takiej ścianie na cmentarzu Powązkowskim. Miejsce, w którym zmieści się urna z prochami. I tam pewnie spocznie, choć powinna zostać pochowana w Alei Zasłużonych, i to na koszt naszego państwa. Jest bowiem jednym z partyzantów polskiego państwa podziemnego z najdłuższym stażem, bo łącznie sześćdziesięcioletnim.

Karykatura czy... epos rycerski

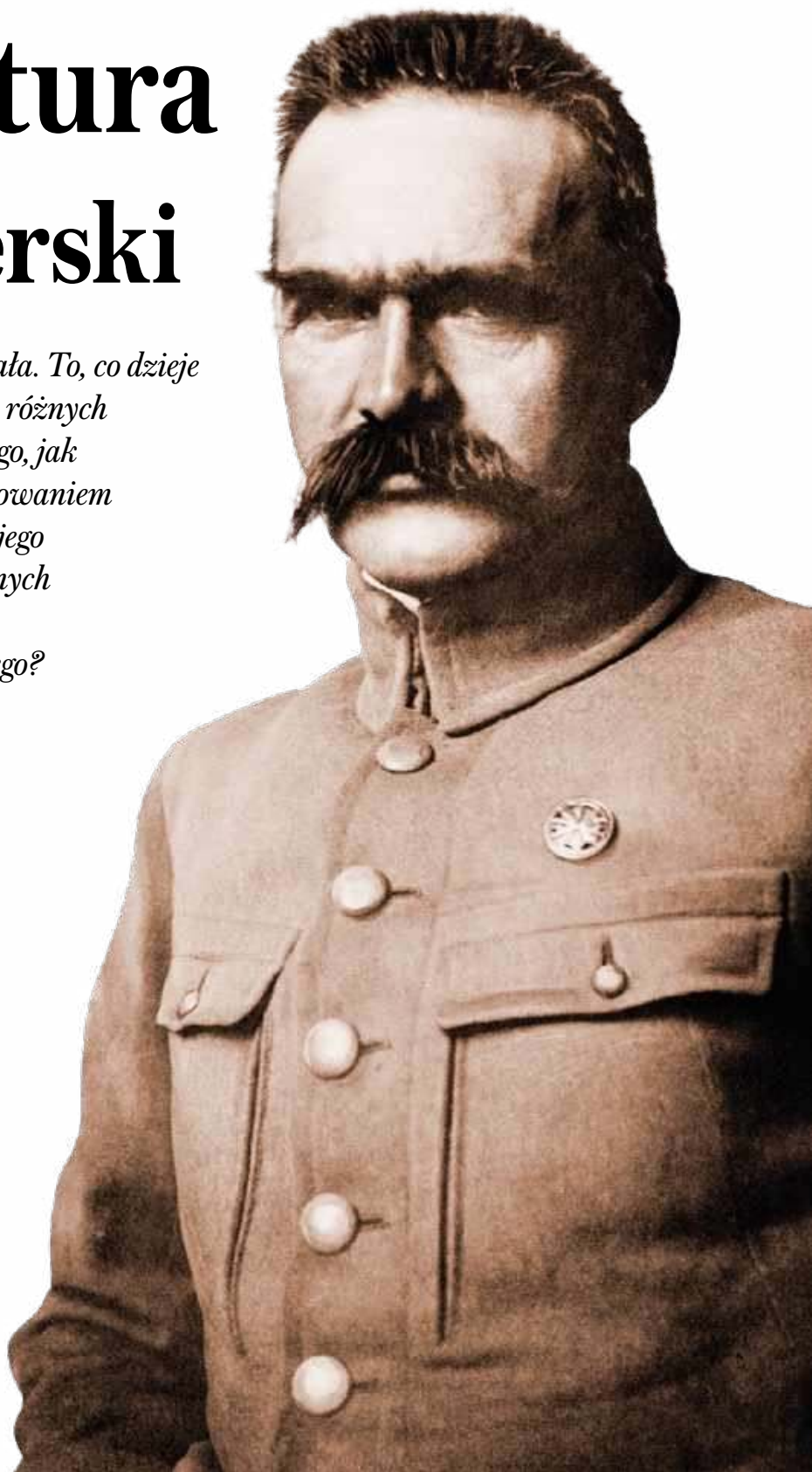
Czara goryczy i irytacji się przelalała. To, co dzieje się w Polsce od lat z obsadzaniem różnych aktorów w roli Józefa Piłsudskiego, jak również ze swobodnym manipulowaniem moralną oceną różnych wątków jego biografii w rozmaitych poświęconych mu serialach, filmach i sztukach – woła o pomstę do nieba. Dlaczego? Już wyjaśniam



JERZY BIERNACKI

Nie chodzi mi przy tym – jak mógłby ktoś pomyśleć – o podobieństwo twarzy czy głowy, lecz o lekceważenie elementarnej wiedzy widzów. Przecież nasze mieszkania pełne są fotografii Marszałka, a różne telewizje często pokazują zdjęcia archiwalne i każdy wie, jak on wyglądał.

Zatem nie ma możliwości, by w jego rolę mogli się wcielić tacy aktorzy jak Borys Szyc, Daniel Olbrychski czy śp. Zbigniew Zapasiewicz, a właśnie oni byli w tej roli obsadzani. W pamiętnym, zresztą interesującym, serialu o krakowskiej rodzinie Biernackich (zbieżność z nazwiskiem autora przypadkowa) postać Piłsudskiego, tak żarliwie broniona przez nestorkę rodu (Anna Polony) wobec podłych napaści



na niego, była najoczywistszą karykaturą. Nawet nie Piłsudskiego, lecz w ogóle polskiego oficera tego czasu. Oszczędzę czytelnikom opisu.

Tymczasem zupełnie niepodobny do Piłsudskiego Ryszard Filipiński potrafił niezwykle wiarygodnie oddać tę postać w filmie Bohdana Poręby „Polonia Restituta”. Nie odnoszę się w tym miejscu do treści filmu nieżyjącego już reżysera, nie lubianego za swój nacjonalizm i jawny, brutalny antysemityzm. To samo tyczy się Filipińskiego, którego talent aktorski predestynował do pozycji aktora światowej marki, lecz w dużej mierze został zmarnowany, nie bez jego winy. Pamiętne też były kreacje w tej roli śp. Janusza Zakrzeńskiego, poległego w katastrofie smoleńskiej. Zakrzeński był jednak aktorem niezwykłym. Wszyscy pamiętamy, jak idealnie wcielił się w postać Benedykta Korczyńskiego w cztero-odcinkowym filmie Zbigniewa Kuźmińskiego „Nad Niemnem” według powieści Elżyny Orzeszkowej, że niepodobna wyobrazić sobie kogo innego w tej roli.

Ale to są rzadkie pozytywne przykłady. W większości ról jest fatalnie. Do irytacji widzów mógł doprowadzić Maciej Wojtyłko, który w Teatrze Telewizji wyreżyserował własną sztukę pt. „Ni z tego, ni z owego”, obsadzając w roli Piłsudskiego... Mariusza Ostrowskiego, aktora o puciołowatej twarzy (wcale niebrzydkiej zresztą), będącej jednak przeciwieństwem magnetycznego oblicza Marszałka, z tymi nastroszonymi brwiami, pod którymi – jak napisał wkrótce po śmierci Piłsudskiego Kazimierz Wierzyński – mógł się schronić cały polski naród... Mógł Mariusz Ostrowski, którego w domu po jego roli włoskiego policjanta w „Ranczu” nazywamy „Bambino”, zagrać przekonująco w innym spektaklu Eugeniusza Kwiatkowskiego, ale nie Piłsudskiego, i to jeszcze naprzeciwko świetnego Dariusza Kowalskiego jako Dmowskiego. Przez chwilę jedynie można się było ludzi, że to Komendant, gdy był fotografowany z dystansu i w półcieniu. Zastrzegam się: to dobry aktor, ale...

Tytuł sztuki Wojtyłki, wzięty ze znanego powiedzonka z tamtych czasów: „Ni

z tego, ni z owego, mamy Polskę na pierwszym”, w moim odczuciu, służy mimo woli lub rozmyślnie do pomniejszenia zasług Józefa Piłsudskiego i jego ponad 30-letniej walki o odzyskanie niepodległości Polski. Jak to więc ni z tego, ni z owego?

Tytuł sztuki Wojtyłki, wzięty ze znanego powiedzonka z tamtych czasów: „Ni z tego, ni z owego, mamy Polskę na pierwszym”, w moim odczuciu służy mimo woli lub rozmyślnie do pomniejszenia zasług Józefa Piłsudskiego i jego ponad 30-letniej walki o odzyskanie niepodległości Polski

Wydaje się zresztą, że Wojtyłko być może przyświecała myśl, by tę historię osobistego i politycznego konfliktu dwóch polskich przywódców opowiedzieć w stylu Francuzów, którzy, jak wiadomo, potrafią się śmiać i z pogrzebu. Gdyby jednak tak było, to nie wybrzmiałyby tak mocno słowa zgorszona i schorowanej Marii Juszkiewiczowej, która nazywa Piłsudskiego terrorystą, mordercą i dyktatorem, a Dmowskiemu wypomina jego ukrywane wizyty w domach wiadomych uciech. Wybrzmiały one tak silnie, że zagłuszyły niejako szlachetne postępowanie obu panów, którzy odłożyli na bok swoje wzajemne anse i współpracowali zgodnie, gdy tylko na horyzoncie pojawiła się szansa niepodległej Polski.

Z tym że uważam, iż nadawanie takiej rangi owemu konfliktowi, to nietrafna perspektywa i niezbyt odpowiednia w rocznicowym spektaklu..., no i przecież po prostu nieprawdziwa. Ów konflikt wcale nie był bowiem tak ważny ani zwłaszcza tak historiotwórczy, jak wydało się to autorowi scenariusza spektaklu. Szkoda ról drugoplanowych,

szczególnie znakomitej w roli Juszkiewiczowej Moniki Buchowiec. Ogólne wrażenie: kolejna niewykorzystana szansa, by pokazać Piłsudskiego prawdziwego, ale bez hagiografii. To się ciągle nikomu prawie nie udaje. A jednak...

MOŻNA INACZEJ

Chciałbym zwrócić uwagę na dwa wydarzenia. Jedno to książka, w opracowaniu Krzysztofa A. Jędrzejewskiego, „W blasku legendy” (Editions Spotkania, Paryż 1988). O ile mi wiadomo, nigdy nie została wydana w wolnej Polsce. Rok temu widziałem się z jej twórcą, powiedział mi, że będzie wznowienie, ale nie wiem kiedy. Jest to obszerny wybór wierszy i publicystyki o Piłsudskim.

Marian Hemar w wierszu powstałym w latach 60., którego lejt-motywytem są słowa: „Nie zostawił po sobie żadnego dziedzica”, pisał:

*Jeszcze wiernych poetów idzie
za nim lament
Oni jedni go zbawią od polskiej
amnezji,
By mógł, wprawiony w wiersze jak
ognisty diament
Pozostać tam, gdzie jego miejsce jest
– w Poezji.*

A Bruno Schulz w zadziwiającym tekście opublikowanym w „Tygodniku Ilustrowanym” (nr 22/1935) pt. „Powstają legendy”, przeciwstawiwszy go egotycznemu Napoleonowi, który, w przeciwieństwie do Piłsudskiego, wszedł do historii znikąd, konkluduje: „Ale ten Wielki był większy od swych czynów. [...] Siła moralna, która trwała za czynem, była dlań ważniejsza [od czynu]. Ciulał ją w narodzie. Gruntował kapitał żelaznej mocy [...]”. I Schulz, i Lechoń (tym razem prozą dyskursywną) uznali, że jego rola dopiero się zaczyna. Teraz, po śmierci...

„Uroda tej twarzy.

Uroda tego nazwiska.

Uroda tej legendy.

Legendy czy rzeczywistości? Rzeki rzeczywistości tak niezwyklej, iż, aby zostać przyjętą, a raczej udźwigniętą przez rzeszę, musi jawić się w kształcie



Wielokrotnie w postać Marszałka Józefa Piłsudskiego wcielał się śp. Janusz Zakrzeński, poległy w katastrofie smoleńskiej. Ale Zakrzeński był aktorem niezwykłym. Wszyscy pamiętamy jak idealnie zagrał Benedykta Korczyńskiego w czteroodcinkowym filmie Zbigniewa Kuźmińskiego „Nad Niemnem” według powieści Elżyny Orzeszkowej

Fot. Tomasz Paczos/FOTONOWA

legendy? W swoim znakomitym, proroczym eseju Bruno Schulz odpowiedział na to pytanie. Dla nas żyjących w końcu XX stulecia z perspektywy ponad pół wieku, postać Józefa Piłsudskiego nie przestaje promieniować zupełnie wyjątkowymi cechami charakteru, myśli i czynu. To przecież polski epos rycerski, najpiękniejszy, bo prawdziwy” (podkr. moje – J.B.).

Krzysztof A. Jeżewski – „Polski Uliseses” (Posłowie do książki „W blasku legendy”).

* * *

Drugie wydarzenie to inscenizacja w Teatrze Telewizji sztuki Wojciecha Tomczyka pt. „Marszałek”. Jej premiera odbyła się w 2017 r., ale spektakl (jakże słusznie) powtórzono wiosną 2020 r.

Jest rok 1933. Już pierwsze poczynania Hitlera i polityków niemieckich po objęciu przez niego władzy mogą budzić niepokój, mimo zręcznego kamuflażu i zachowywania pozorów, zwłaszcza wobec Polski. Polacy in gremio, przeżywający intensywnie swoją odzyskaną niepodległość i wolność, pod miłą dyktaturą Marszałka, niczego niepokojącego nie dostrzegają, wyłączając jednostki w rodzaju Ignacego Matuszewskiego, Walerego Sławka czy Romana Dmowskiego, który zawsze Niemcy uważał za największego wroga Polski. Niebezpieczeństwo widzi

jasno Józef Piłsudski i zgodnie ze swoją naturą postanawia działać.

W sztuce wygląda to tak, że Marszałek zaprasza do siebie do Belwederu kilku byłych premierów, głównie (poza Bartłem) dawnych towarzyszy z czasów walki o niepodległą Polskę, kiedy to – jak powiada do Aleksandra Prystora (Andrzej Grabowski) – „byliśmy terrorystami, napadając na pociągi i zabijając wrogów”. Najpierw trwają przygotowania do obiadu, widzimy, jak pracuje (nader skromne) zaplecze belwederskiego gospodarstwa i jaką rolę pani domu i gospodyni w tej pracy gra Aleksandra Piłsudska. Jednocześnie widzimy obrazki sielsko-anielskie atmosfery życia rodzinnego w tym domu, ciepłej przystani, łagodności stosunków ze służbą, miłości Marszałka do dziewczynek, do Jagódki i starszej Wandy, niewinnych oszustw, związanych z niechęcią Piłsudskiego do przestrzegania diety (ziółka wylewa do kwiatów, dietetyczny obiad zjadają lojalnie Lepecki i Wieniawa). Brakuje tylko słynnego stawiania pasjansa. Ten nastrój sielanki tchnie prawdą i jest wywołany przez autora nie bez kozery. Kontrastuje z nim bowiem ciężar sprawy, dla jakiej zwołano tę naradę.

W ekspozycji dramatu mamy jeszcze zabawny wic Marszałka, który udaje, że wezwał tych panów, by orzekli, czy może się starać o koronę królewską. Nastę-

puje konsternacja, zebrani podchodzą do tego ostrożnie, ale z powagą, ktoś, zdaje się Sławek, wykrzykuje: „Przecież ty już jesteś królem”. Marszałek, zadowolony z udanego psikus, przyznaje, że ich nabrał, dowcipnie puentując tego rodzaju perspektywę.

Wreszcie, gdy obiad się kończy, dowiadujemy się, o co naprawdę chodzi. Piłsudski mówi o zagrożeniu ze strony „nowych” Niemiec i proponuje, ni mniej, ni więcej, tylko wojnę prewencyjną prowadzoną wspólnie z Francją przeciwko Niemcom, która z naszej strony zaczęłaby się w Gdańsku, gdzie władze niemieckie i bojówki SS robią wszystko, by w krótkich abugach przemienić Wolne Miasto Gdańsk w neue deutsche Stadt Danzig. Marszałek oczekuje właśnie na powrót swego wysłannika do władz francuskich.

Temat planowanej przez Marszałka wojny prewencyjnej z Niemcami stale jest w Polsce żywy, mimo że historycy nie są zgodni co do tego, czy taki plan w ogóle istniał, wielu temu zaprzecza, gdyż brak jakichkolwiek dokumentów w tej sprawie. Dlaczego? Bo zapewne był to zaledwie wstępny zarys planu, którego realizacja zależała w od stowiska Paryża. Miał więc prawo dramaturg, jak sądzę, wedle własnej wyobraźni podjąć ten wątek, zresztą spektakl miał trzech konsultantów, z prof. Janem Żarynem na czele.

Mariusz Bonaszewski, co prawda zupełnie niepodobny do Piłsudskiego z tego okresu życia, tak jak był podobny do młodego Ziuka przed laty w dokumencie Trzosa-Rastawieckiego, jednak swym kunsztem aktorskim w pełni przekonuje do granej przez siebie postaci. Warto wracać do inscenizacji sztuki Wojciecha Tomczyka pt. „Marszałek” w Teatrze Telewizji. Jej premiera odbyła się w 2017 r., ale spektakl powtórzono wiosną 2020 r.

Fot. Ireneusz Sobieszczuk/Typ SA

Wreszcie Wieniawa-Długoszowski, ów wysłannik Marszałka do Francji, przywozi decyzję odmowną reprezentantów władz francuskich, ocenia, że Francja stała się krajem tchórzów, po hekatombie ofiar wielkiej wojny, jaką okupiono zwycięstwo. Marszałek zresztą od dawna powtarzał, że Francja jest „parszywieńka”, to samo mawiał o całej Europie Zachodniej. W ten sposób dramatyczne napięcie narastające w spektaklu zapewnia sama historia (a nie tylko konstrukcja sztuki), widzowie wiedzą bowiem, że taka interwencja zapewne zmieniłaby bieg historii, a tak się nie stało. Polska pozostaje śmiertelnie zagrożona.

Na koniec Marszałek mówi mniej więcej tak: – „Zawrzemy z Niemcami pakt o nieagresji, a potem mnie już nie będzie, a wy będziecie mieli za cztery lata wojnę”. Pomylił się jedynie o dwa lata.

Warto jeszcze wspomnieć o wątku ogrodnika belwederskiego, dalekiego potomka Piotra Wysockiego, przywódcy sprzysiężenia podchorążych i inicjatora powstania listopadowego. Marszałek przywiązuje wagę do tego pokrewieństwa (portret Wysockiego wisi na ścianie w Belwederze), zaprasza młodego człowieka do stołu, podnosi jego pozycję w tym gronie, co tamten, nieśmiały i nieco zaskoczony, przyjmuje niezbyt radośnie, nieprzyzwyczajony do bycia w centrum uwagi. Odgrywa on pewną rolę symboliczną, gdyż poproszony przez panią

domu o zreperowanie dużego stojącego zegara, który przestał chodzić, znajduje tam szablę Marszałka, która blokowała mechanizm zegara, i podaje ją właścicielowi. Dzieje się to w momencie, gdy jeszcze nie upadły nadzieje na udział Francji w planie Marszałka. Potem, gdy już te nadzieje spełzły na niczym, Marszałek, po wygłoszeniu przytoczonego wyżej proclama, ciężko wstaje i idzie w kierunku zegara, by ponownie schować w nim swoją broń... Spektakl się kończy i wtedy otrzymujemy informacje o losach jego bohaterów: Marszałek, wiadomo, umiera 12 maja 1935 r., Walery Sławek popełnia samobójstwo, aby zwrócić uwagę na to, jak daleko spadkobiercy Piłsudskiego odeszli od jego idei i od jego testamentu, Bartel ginie rozstrzelany przez Niemców, Prystor zgładzony przez NKWD...

Wstajemy od telewizora przeświadczeni, że należy słuchać wielkich ludzi.

Spektakl miał świetną obsadę aktorską. Mariusz Bonaszewski, co prawda zupełnie niepodobny do Piłsudskiego z tego okresu życia, tak jak był podobny do młodego Ziuka przed laty w dokumencie Trzosa-Rastawieckiego, jednak swym kunsztem aktorskim w pełni przekonuje do granej przez siebie postaci. Zarówno w ciepłych relacjach z rodziną, ze swoim adiutantem, do którego zwraca się per „dziecko” (chodzi o Mieczysława Lepeckiego granego przez Macieja Zakościelnego), jak i w momentach, że tak

rzeknę, pełnych nawisłej troski o państwo. Dorota Landowska jako Aleksandra Piłsudska, z lekka oschła, świadoma wagi swojej roli w Belwederze, rozświetlona w momentach (wcale licznych) okazywanej jej przez męża uwagi i grzeczności. Poza tym wystąpili: Władysław Baka (Sławek), Adam Woronowicz (Bartel), Wojciech Zieliński (Beck), Rafał Królikowski (Wieniawa). Reżyser Krzysztof Lang w największym stopniu zdawał się dbać o to, by idee i intencje autora sztuki nie uległy zniekształceniu, co jest godne najwyższej pochwały.

NIEBEZPIECZNY SCHEMAT

A więc można inaczej. Od czego to zależy? Upieram się, że wcale nie od hagiograficznych intencji autorów czy reżyserów. Lecz od głębokości spojrzenia, oglądu całościowego tej biografii, którą można by obdzielić kilku ludzi. Błędem wielu realizatorów tego rodzaju przedsięwzięć artystycznych jest to, że bojąc się jak ognia pomnikowości postaci, szukają jakichś poważnych wad i skaz na sylwetce bohatera, jakiegoś sposobu odbrażowania go. Taki jest schemat, od którego trzeba odejść, bo oddala od prawdy. Mamy do czynienia z wielkością, nie chcimy jej więc podważać, lecz po prostu z głębokim zrozumieniem spróbujemy opisać i opowiedzieć. Efekt będzie lepszy, z większym pożytkiem dla odbiorcy.

Ocalić Amerykę

Mimo że przegrał wybory i przekazanie władzy już się rozpoczęło, narracja o fałszerstwach przy urnach może pozwolić Trumpowi zachować popularność wśród prawicowej bazy oraz trwały wpływ na Partię Republikańską. Bez względu na to, czy w 2024 r. ponownie stanie do wyborów, czy nie



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Rozumiem, że są ludzie, którzy bardzo mocno przeżywają te wybory. Ale w pewnym momencie musimy się zmierzyć z faktami” – tak John Thune, senator z Dakoty Południowej i jeden z liderów republikańskiej większości senackiej, skomentował w połowie grudnia decyzję Kolegium Elektorów, które wybrało demokratę Joego Bidena na prezydenta USA stosunkiem głosów 306:232. „Elektorzy przemówili” – wtórował mu najwyższy rangą republikańsin w amerykańskim Senacie Mitch McConnell.

Obaj uznali porażkę Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich oraz przekonywali, że nadszedł czas, by „pójść dalej” oraz „utorować drogę dla nowej administracji”.

Kilka dni wcześniej Sąd Najwyższy odrzucił kolejną skargę o unieważnienie wyborów, złożoną przez stan Teksas. Pozew miał na celu unieważnienie wyników głosowania w Georgii, Michigan, Pensylwanii i Wisconsin. Była to przedostatnia nadzieja Trumpa na odwrócenie wyniku wyborów. Ostatnią był Kongres. Przez całą drugą połowę grudnia prezydent USA wywierał presję na republikańskich senatorów oraz członków Izby Reprezentantów, by 6 stycznia 2021 r. nie zatwierdzili głosów oddanych przez Kolegium Elektorów. Podobną presję wywierał także na wiceprezydenta Mike’a Pence’a, który jego zdaniem powinien „zatrzymać tę fałsz” i odrzucić głosy elektorские. Pence odmówił, twierdząc, że nie posiada takich konstytucyjnych uprawnień, choć, jak

dodał, „podziela obawy Amerykanów dotyczące uczciwości wyborów”.

Podczas posiedzenia Kongresu część republikańców (w tym senatorzy Jeff Hawley i Ted Cruz) rzeczywiście zgłosiła obiekcje wobec głosów elektor-



skich z Arizony, Pensylwanii i Georgii. Posiedzenie zostało jednak nagle i brutalnie przerwane, gdy grupa zwolenników Trumpa wdarła się do Kapitolu. Zwolennicy prezydenta chodzili po korytarzach parlamentu, pozowali do zdjęć z posągami i obrazami i krzyczeli: „USA, USA”, „Zatrzymać oszustwo!” oraz „Nasza izba!”. Ci, którzy pozostali na zewnątrz, wybijali szyby w budynku i rzucali w straż Kapitolu butelkami. Ewakuowano członków Kongresu oraz wiceprezydenta Pence’a. Zanim udało się wyprzeć protestujących z Kapitolu, cztery osoby straciły życie, z czego co najmniej jedna zginęła od kul. Kongres wznowił swoje obrady i o czwartej nad ranem za-
twardził ostatecznie zwycięstwo wyborcze Joeego Bidena.

Wstrząśnięci wydarzeniami republikanscy członkowie Izby Reprezentantów nie mieli już ochoty kontestować wyniku wyborów. Nawet Kelly Loeffler, republikańska polityk ubiegająca się o senacki mandat w toczących się jednocześnie wyborach w Georgii, nie zgłaszała już obiekcji. Można powiedzieć, że posiedzenie Kongresu nie potoczyło się po myśli Trumpa. Prezydent, który wciąż odmawia uznania swojej porażki, wezwał swoich zwolenników do przestrzegania prawa, podkreślił, że „ich kocha” i obiecał, że w sposób „uporządkowany” przekaze władzę, choć nadal uważa, że

Joe Biden ma przed sobą bardzo trudną prezydenturę: będzie musiał się zmierzyć z brakiem zaufania co najmniej połowy Ameryki i żądaniami postępowców we własnej partii, by ideologiczne obsesje przekuć w polityczną rzeczywistość

wybory zostały mu „skradzione”. Następnego dnia wielu współpracowników Trumpa złożyło rezygnacje.

WROGIE PAŃSTWO

Liberalne media, ale także część tych konserwatywnych, natychmiast oskarżyły Trumpa o to, że podlegał swoich zwolenników do przemocy, że krytykując „brak odwagi” swojego wiceprezydenta, zachęcił ich do dokonania „próby zamachu stanu”. Ale to jest dość powierzchowna diagnoza. W rzeczywistości spora część Amerykanów na prawicy uważa, że amerykańskie normy oraz instytucje ich już nie chronią. Wręcz przeciwnie: reguły są dyktowane

(oraz naginane, jak w przypadku wyborów) przez coraz bardziej zuchwałego wroga. Polityczna poprawność, forsowanie zasad gender, które mieliśmy okazję zobaczyć choćby 3 stycznia, gdy Emanuel Cleaver – amerykański polityk, członek Izby Reprezentantów z ramienia demokratów – poprowadził modlitwę w Kongresie. Zakończył ją, prosząc o pokój w izbie ustawodawczej. Potem wygłosił zdanie: „W imię monoteistycznego Boga Brahmy i Boga znanego pod wieloma imionami, przez wiele różnych wyznań. Amen i A-women”. To ostatnie miało być ukłonem w kierunku kobiet i brzmieć bardziej poprawnie, ale wyszło groteskowo.

Ta postępową groteskę wdarła się przez ostatnie lata do niemal każdej dziedziny życia za oceanem. Jeśli prawda ich nie obroni, a kłamstwo nie stanowi handicapu dla ich wrogów, to po co w ogóle dalej w to grać? – tak właśnie rozumują zwolennicy Trumpa. Amerykańskie instytucje zostały skorumpowane przez wrogą ideologię, a gdy ludziom – jak podkreślił jeden z ekspertów w telewizji Fox News – nie udaje się odsunąć wrogich struktur od władzy, „tracą panowanie nad sobą”. A po czterech latach bezustannej nagonki na Donalda Trumpa i jego zwolenników, w mediach, na poziomie politycznym i kulturowym, określania przywiązanych do wiary, tradycji i zdrowego rozsądku ludzi jako rasistów, ksenofobów i zacofanych troglodytów, wielu Amerykanów uważa dziś demokratyczne serce USA, czyli Kongres, i pozostałe instytucje polityczne, za zepsute do cna. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Jak powiedziała w rozmowie z „Detroit News” członkini komisji wyborczej w Detroit i zwolenniczka Trumpa Karen Ostin: „Widziałam sfalszowane karty wyborcze. Jeśli teraz nie ujawnimy tego oszustwa, to już nigdy w tym kraju nie będzie wolnych i sprawiedliwych wyborów”. Ostin była 6 stycznia, wraz z innymi zwolennikami Trumpa, przed Kapitołem. Jak podkreśliła, „Jesteśmy gotowi przegrać wybory, ale w sposób uczciwy”. Ten podstawowy brak zaufania do instytucji stanowi podatny grunt dla teorii spiskowych różnych maści oraz pole do popisu dla podżegaczy.

Brak zaufania panuje jednak nie tylko po prawej stronie politycznego



spektrum. Równie wrogo nastawiona do instytucji jest skrajna lewica, co aż nader widocznie pokazały protesty Black Lives Matter i Antify, które przetoczyły się przez USA latem zeszłego roku. Prezydent elekt Joe Biden obiecał, że scali Amerykę, że odbuduje zaufanie do instytucji. Jako polityczny weteran i starszy pan ma oczywiście prawo do swoich złudzeń. A są to złudzenia, bo jeśli spojrzymy na pierwsze reakcje na szturm Kapitolu po stronie liberalnej, to proponowane przez nią lekarstwo: więcej cenzury prawicowych treści w internecie, zwiększony nadzór nad prawicowymi ugrupowaniami, tylko pogorszy chorobę. Obóz liberalny w USA wyciągnął niewłaściwe wnioski z pogłębiającego się kryzysu amerykańskiej demokracji: Donald Trump nie jest jego przyczyną, lecz skutkiem, a więc przyczyn należy szukać gdzie indziej. W rosnącej frustracji białej klasy średniej, która ma wrażenie, że o niej zapomniano, że stała się niewidoczna, oprócz sytuacji, gdy potrzeba kozła ofiarnego – wtedy pali się ją na stosie antyrasizmu oraz pozostałych lewicowych obsesji. Trump ją dostrzegł, docenił i dlatego jest wobec niego tak lojalna. Trudno także nie dostrzec hipokryzji lewicowych mediów, gdy nagle oburzają się na zamieszki w Kapitolu, podczas gdy z wielkim entuzjazmem usprawiedliwiali palenie całych miast oraz ataki na policjantów podczas protestów Black Lives Matter.

FUNDAMENTALNE ZMIANY?

W czasie gdy Kongres zatwierdzał zwycięstwo Bidena, w stanie Georgia toczyła się druga tura wyborów do Senatu. Zwyciężyli w niej obaj kandydaci demokratów. Oznacza to, że w wyżej izbie Kongresu demokraci zrównali się liczbą miejsc z republikanami, ale dzięki głosowi przewodzącej pracom tej izby przyszłej wiceprezydent Kamali Harris, będą kontrolowali Senat. W Izbie Reprezentantów demokraci mają większość. To oznacza, że kontrolują zarówno egzekutywę, jak i legislatywę, a tym, co może stanąć na drodze przejęcia Ameryki przez lewicę, jest 78-letni prezydent elekt, który słynie z tego, że nie ma poglądów, oraz Sąd Najwyższy, w większości obsadzony przez republikanów. Demokraci już zapowie-

dzieli, że planują wybranie kolejnych sędziów, żeby zlikwidować tę przewagę.

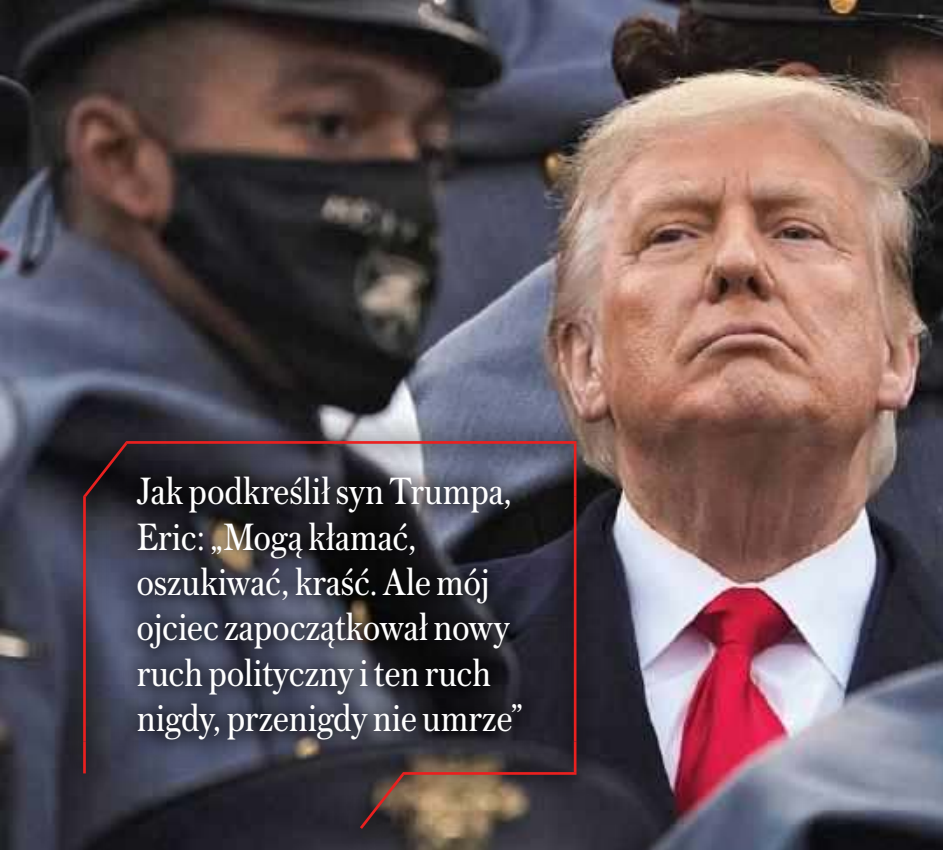
Już teraz zacierają ręce, mówiąc o „potrzebie rewolucyjnych zmian” za oceanem. Zapowiadają zwiększenie wydatków publicznych, poluzowanie przepisów imigracyjnych, podwyżkę podatków i osiągnięcie ambitnych celów klimatycznych. Prawda jest jednak taka, że większość Amerykanów wcale nie chce głębokich zmian, szczególnie w dziedzinie podatków, a Partia Demokratyczna jest podzielona – na stary establishment w postaci Bidena czy Nancy Pelosi – oraz na młodsze, bardziej postępowe skrzydło, reprezentowane choćby przez członka Izby Reprezentantów Alexandrię Occasio-Cortez. Jak dotąd starzy wyjadacze zawsze wskazywali na republikanów, by wytłumaczyć brak radykalnych reform tego wielkiego lewicowego przebudzenia. Teraz, gdy opanowali obie izby Kongresu i pozbyli się Trumpa, nie będą mogli się już zasłaniać „enfant terrible” amerykańskiej polityki ani niechęcią republikanów. A to oznacza, że Biden ma przed sobą bardzo trudną prezydenturę: będzie musiał się zmierzyć z brakiem zaufania co najmniej połowy Ameryki i żądaniami postępców we własnej partii, by ideologiczne obsesje przekuć w polityczną rzeczywistość. Jeśli tego nie zrobi, grozi mu wojna domowa we własnej partii, a jeśli to zrobi, grozi mu społeczne niezadowolenie, a co za tym idzie, utrata Kongresu w 2022 r., gdy odbędą się wybory uzupełniające.

Tymczasem Trump może skanalizować swoją furę w coś bardziej produktywnego. I wszystko wskazuje, że właśnie to robi. Już w listopadzie ruszyła procedura przekazania władzy Bidenowi i jego ekipie. Trump tymczasem nadal zbiera fundusze, które nie zostaną już wykorzystane na procesy, lecz na podtrzymanie jego kariery politycznej po odejściu z Białego Domu. Trump będzie mógł je też wydać na kosztujące setki tysięcy dolarów wiece oraz promowanie lojalnych wobec niego kandydatów i przekazywanie datków na ich kampanie.

MOCNY FUNDAMENT

Narracja o sfalszowanych wyborach służy mu przy tym do podtrzymania poparcia wśród prawicowych wyborców. Jak pokazuje sondaż uniwersytetu Quinnipiac, aż 77 proc. z nich uważa, że wybory nie były ani wolne, ani uczciwe. Duża część tych wyborców popiera nie tyle Partię Republikańską, ile samego Trumpa. „Ludzie są wściekli, szczególnie partyjna baza. Są sfrustrowani przebiegiem tych wyborów” – zaznaczył kongresmen republikanów z Georgii Earl „Buddy” Carter. Ta baza jest absolutnie lojalna wobec Trumpa i to ona pozwoliła mu, jak pisze „Washington Post”, przejąć kontrolę nad Partią Republikańską na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Jest to fundament, na którym Trump może zbudować swój ewentualny powrót do Białego Domu w 2024 r., eliminując





Jak podkreślił syn Trumpa, Eric: „Mogą kłamać, oszukiwać, kraść. Ale mój ojciec zapoczątkował nowy ruch polityczny i ten ruch nigdy, przenigdy nie umrze”

konkurencję ze strony innych potencjalnych kandydatów. Trump może i przegrał wyborczy wyścig, ale tak naprawdę wygrał, bo zdobył 72 mln głosów, więcej niż którykolwiek inny kandydat republikański, oraz powiększył swoją wyborczą bazę, zdobywając m.in. nowych zwolenników wśród mniejszości. Okazał się także znakomitym wiecowym mówcą, a republikanie uzyskali dzięki niemu nowe mandaty w Izbie Reprezentantów.

Zdaniem ekspertów nawet nie będąc prezydentem, Trump będzie dominował Partię Republikańską przez najbliższe lata. „Trump wyhodował sobie własne zaplecze i ono jest mu teraz jeszcze bardziej oddane niż przed wyborami. To znaczy, że Trump i trumpizm dominują i jeszcze długo będą dominować w partii. Jak powie, że będzie kandydował w 2024 r., to zablokuje wszystkich innych kandydatów. To jego głos będzie decydujący. Jeśli zaś ktoś inny stanie do wyborów za cztery lata, to będzie on przez Trumpa namaszczone i będzie nosił jego sztandar” – przekonuje były republikański kongresmen z Illinois Joe Walsh. Po szturmie na Kapitol syn Trumpa Don Jr. tweetował: „Powiedźcie im, że to nie jest już Partia Republikańska. To jest Partia Republikańska Trumpa”. Urzędujący jeszcze prezydent wygrał w 2016 r. dzięki głosom białej Ameryki, zwłaszcza

klasy średniej, zatroskanej o swój los. Jeśli zdoła utrzymać tę wyborczą bazę, to rzeczywiście może zachować trwały wpływ na Partię Republikańską.

Nie wszyscy jednak są przekonani, że tak będzie. Niektórzy eksperci twierdzą, że Trump ostatecznie wycofa się z polityki, by grać w golfa, jak inni byli prezydenci przed nim, że wydarzenia w Kapitolu „raz na zawsze zakończyły jego polityczną karierę”. Może zamiast tego użyć swoich wpływów oraz ubieganych funduszy jako lewara, by stworzyć nowe, prawicowe imperium medialne, włącznie z telewizją. Były doradca Mitta Romneya Lanchee Chen uważa, że choć jedna z książek Trumpa nosi tytuł „Sztuka powrotu” (The Art of the Comeback), jego polityczna agenda może się okazać bardziej trwała niż on sam. „Jego stanowisko wobec Chin, nowy amerykański protekcyjizm zapewne zostanie podchwyczone przez innych. To już się dzieje. A co do niego samego, to część republikanów bardzo chciałaby się go pozbyć, szczególnie teraz, więc za cztery lata sytuacja może wyglądać dla niego o wiele mniej korzystnie” – uważa Chen.

PIENIĄDZE = WŁADZA?

Trump tymczasem stworzył kolejny komitet akcji politycznej (PAC) pod nazwą Ocalić Amerykę. Przed Joem

Bidenem i Nancy Pelosi, oczywiście. Jak pisze dziennik „New York Times”, właśnie tam trafiło 75 proc. darowizn przekazywanych na tzw. Oficjalny Fundusz Obrony Wyborów, przeznaczony na ponowne liczenie głosów. Pozostałe 25 proc. środków trafiło do centrali Krajowego Komitetu Republikańskiego (RNC), m.in. w celu pokrycia długu wyborczego oraz kosztów wyborczej batalii sądowej. Według ekspertów pokazuje to, że Trump przygotowuje sobie finansowy grunt pod dalsze działania polityczne po 20 stycznia. „On zawsze rozumiał, że pieniądze to władza, a teraz chce mieć do dyspozycji mnóstwo pieniędzy, co da mu miejsce przy stole. On właśnie to robi” – powiedział w rozmowie z portalem Politico Richard Painter, prawnik, który doradzał George’owi W. Bushowi. Według „NYT” Trump od dnia wyborów zebrał ponad 250 mln dol. w darowiznach. Każdy dolar, który udało się Partii Republikańskiej uzyskać w ostatnich czterech latach, trafił do niej dzięki Trumpowi. Popularność i pieniądze to największe atuty prezydenta, które dają mu możliwość dalszego dominowania Partii Republikańskiej.

Co jednak ustępujący prezydent ostatecznie zrobi, tego nie wie nikt. Pojawiły się doniesienia, że będzie chciał urządzić wielki wiec w dniu inauguracji Bidena, ale te plany zostały według „NYT” na razie zamrożone. Wiadomo tylko, że Trump zamierza zainstalować się na Florydzie, w swojej posesji w Mar-a-Lago, i zabrać ze sobą kilku swoich najbliższych doradców. Jak dotąd nie ogłosił oficjalnie swojej kandydatury w 2024 r., tylko dyskretnie udzielił poparcia swojej bliskiej współpracownicy Ronnie McDaniel, która ponownie kandyduje na stanowisko przewodniczącej Komitetu Krajowego Partii Republikańskiej.

Jak przekonuje Whit Ayres, szef sondażowni North Star Opinion Research, „trudno sobie wyobrazić, by Trump poszedł w ślady Busha czy Obamy i po prostu zniknął”. „On odegra jeszcze jakąś rolę, na dobre czy na złe” – twierdzi Ayres. Jak podkreślił syn Trumpa, Eric: „Mogą kłamać, oszukiwać, kraść. Ale mój ojciec zapoczątkował nowy ruch polityczny i ten ruch nigdy, przenigdy nie umrze”.

Teolog asenizator

Czy najbardziej znany rosyjski teolog prawosławny, który naraził się lobby homoseksualnemu w Cerkwi, zostanie wykluczony ze stanu duchownego?



GRZEGORZ GÓRNY

Diakon Andriej Kurajew to najbardziej znany, wpływowy i poczytny rosyjski teolog prawosławny po upadku komunizmu. Jego książki od lat ukazują się w olbrzymich nakładach. Wychowały się na nich we współczesnej Rosji dwa pokolenia prawosławnych duchownych i świeckich. Jest też jednym z pionierów ewangelizacji w internecie.

DYPLOMOWANY ATEISTA

Wszystko zmierzało do tego, by został ateistą – i to nie byle jakim, bo dyplomowanym. Urodził się w rodzinie całkowicie ateistycznej, jego ojciec Wiczesław był osobistym sekretarzem głównego ideologa sowieckiego ateizmu – Piotra Fiedosiejewa. Sam Andriej jeszcze jako uczeń wydawał w szkole gazetkę pod nazwą „Ateista”, a w wieku 16 lat został studentem na wydziale historii i teorii naukowego ateizmu na uniwersytecie w Moskwie. W 1984 r. ukończył studia jako dyplomowany ateista.

Dwa lata wcześniej doszło jednak do wydarzenia, które odmieniło jego życie – młodzieniec nawrócił się na chrześcijaństwo i przyjął chrzest w prawosławnej Cerkwi. Zrezygnował z robienia doktoratu w Akademii Nauk ZSRS i rozpoczął naukę w moskiewskim seminarium duchownym, które ukończył w 1988 r. Przez kolejne dwa lata kontynuował formację w Instytucie Teologicznym w Bukareszcie, gdzie w 1990 r. został wyświęcony na diakona. Jego powrót do kraju zbiegł się

z upadkiem komunizmu. Przed ludźmi wierzącymi otworzyła się przestrzeń wolności. Młody diakon szybko dał się poznać jako błyskotliwy autor wielu książek oraz publikacji prasowych, uznany wykładowca akademicki na kilku uczelniach, a także jako niestrudzony misjonarz podróżujący po całym terytorium byłego Związku Sowieckiego z przesłaniem Ewangelii. Kurajew znany jest szeroko również poza kręgami prawosławnymi, gdyż nie stroni od udziału w programach telewizyjnych czy koncertach rockowych. W 2006 r. przyznano mu w Polsce nagrodę im. Brata Alberta, w 2008 r. zaś otrzymał nagrodę Człowieka Roku w Federacji Rosyjskiej.

WOJNA Z „LAWENDOWĄ MAFIĄ”

Jego kariera kościelna załamała się gwałtownie w 2013 r., gdy zaczął walczyć z „lawendową mafią” w rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Podczas swoich podróży zetknął się bowiem w kilku seminariach z przypadkami molestowania seksualnego kleryków przez duchownych, a nawet z przypadkami pedofilii. Uznał, że wiara nie pozwala mu milczeć w obliczu tak skandalicznego grzechu. Nie spotkał się jednak ze zrozumieniem i wsparciem przełożonych. Mało tego, w trybie nagłym został zwolniony z posady profesora w Moskiewskiej Akademii Duchownej i Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego. Z dnia na dzień przestały też przychodzić do niego zaproszenia na wykłady z poszczególnych diecezji. Jeden z najwybitniejszych i najbardziej błyskotliwych umysłów w rosyjskiej Cerkwi prawosławnej nagle stał się outsiderem.

Po zmarginalizowaniu przez hierarchię diakon Kurajew w większym stopniu przeniósł swoją aktywność do internetu. Na prowadzonym przez siebie blogu zaczął krytykować negatywne

zjawiska w rosyjskim prawosławiu, np. sojusz patriarchatu moskiewskiego z reżimem Władimira Putina, postsowiecką mentalność kleru czy działalność lobby gejowskiego wśród tamtejszego duchowieństwa. Z jego tekstów (i zamieszczanych przez niego fotografii) wynika, że „lawendowa mafia” głęboko zapuściła



korzenie także w Kościele wschodnim, mimo że nie ma tam obowiązkowego celibatu.

W swojej publicystyce diakon Andriej Kurajew porównuje współczesną Cerkiew, zżeraną zepsuciem i skandalami, które są ukrywane i tuszowane, do domu, w którym zamiata się brudy pod dywan i upycha śmieci w szafach. Po jakimś czasie nieczystości zaczynają gnić, wylega się robactwo i dom pogrąża się w smrodzie. Jeśli gospodarz upiera się, by nie robić porządku, wówczas fetor staje się nie do zniesienia, tak że nikt nie jest w stanie wytrzymać w środku. Dlatego konieczne jest oczyszczenie domu z brudów, bo inaczej nikt nie chce w nim przebywać. W tym kontekście diakon Kurajew pisze, że odkrył swoją misję w Kościele, którą jest charyzmat asenizatora – kogoś, kogo zadaniem jest usuwanie nieczystości. Pierwszym krokiem ku temu powinno być wydobycie brudu na powierzchnię i ujawnienie źródła zgnilizny. Ponieważ diakon jest w tym bezkompromisowy (potrafi zamieszczać na swoim blogu np. fotografie rozneglizowanych biskupów), szybko zyskał wielu wrogów.

KARA DLA CZYŚCICIELA

Diakon Kurajew naraził się tak wielu wpływowym osobom, że w końcu jego sprawa trafiła do sądu cerkiewnego eparchii moskiewskiej. Warto wyjaśnić, czym jest ów sąd. Otóż jest to instytucja powstała zaledwie 15 lat temu. W każdej eparchii jest ona podporządkowana lokalnemu biskupowi. To biskupi wyznaczają do niej sędziów spośród podległych sobie księży, przy czym kadencja sędziowska trwa trzy lata. Do sprawowania tej funkcji nie jest wymagana znajomość prawa kościelnego. Członkowie owego gremium pełnią równocześnie funkcję śledczych, prokuratorów, obrońców i sędziów, a oskarżeni nie mają prawa korzystać z pomocy adwokata. W rzeczywistości sędziowie wykonują polecenia biskupów, a ci ostatni zawsze mogą powiedzieć, że wyroki nie są ich decyzjami, lecz niezawisłego sądu.

Po rozpatrzeniu sprawy diakona Andrieja Kurajewa 29 grudnia 2020 r. sąd

cerkiewny rekomendował usunięcie go ze stanu duchownego, tzn. pozbawienie niższych święceń, czyli diakonatu. Wyrok zapadł pod nieobecność podsądnego.

Jakie zarzuty postawiono Kurajewowi? Pierwszy z nich związany był z wydaną przez niego w 2020 r. 1000-stronicową książką pt. „Bizancjum kontra ZSRR. Wojna fantomowych imperiów o Cerkiew ukraińską”. Autor postawił w swej pracy tezę, że patriarchat moskiewski popełnił błąd, nie godząc się na autokefalię dla ukraińskiego prawosławia, gdyż w ten sposób zraził do siebie Ukraińców i utracił wpływy w tym kraju. Zdaniem Kurajewa patriarcha Cyryl powinien się zgodzić na niezależność ukraińskiego prawosławia i ułożyć z nim stosunki na bardziej partnerskich zasadach. Niestety, patriarchat moskiewski

W swojej publicystyce diakon Andriej Kurajew porównuje współczesną Cerkiew, zżeraną zepsuciem i skandalami, które są ukrywane i tuszowane, do domu, w którym zamiata się brudy pod dywan i upycha śmieci w szafach

realizował polityczną wolę Kremla i postąpił inaczej.

W tym kontekście diakon Kurajew ocenił pozytywnie działania patriarchy Konstantynopola Bartłomieja, który nadał tomos ukraińskiemu prawosławiu. Stało to w radykalnej sprzeczności ze stanowiskiem rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, która z tego powodu zerwała wszelkie stosunki z patriarchatem Konstantynopola. Ta różnica zdań wystarczyła, by sąd wydał wyrok na Kurajewa.

Diakon nie został więc ukarany za czyny sprzeczne z wiarą lub moralnością chrześcijańską ani za nieposłuszeństwo wobec przełożonych, ale za to, że miał inne zdanie na temat polityki patriarchatu moskiewskiego na Ukrainie.

Drugim zarzutem wobec Kurajewa było oszczerstwo pod adresem zmarłego na COVID-19 proboszcza moskiewskiej katedry ks. Aleksandra Agiejkina. Diakon nazwał go na swoim blogu „tępym karierowiczem, który zrobił karierę dzięki obsłudze VIP-ów”. Kurajew tłumaczył, że po pierwsze – zgodnie z prawem kościelnym nie można pociągać do odpowiedzialności karnej za zniesławienie osoby zmarłej, a po drugie – został już za to ukarany przez patriarchę Cyryla zawieszeniem w czynnościach duszpasterskich na osiem miesięcy (prawo kościelne mówi zaś, że nie można ukarać kogoś dwa razy za ten sam czyn).

PRZECIW SOJUSZOWI CYRYLA Z PUTINEM

Mimo to sąd cerkiewny rekomendował suspendowanie Kurajewa. Sami sędziowie nie mają władzy, by usunąć diakona ze stanu duchownego, mogą natomiast dać taką rekomendację patriarche Cyrylowi, który jako jedyny ma prawo udzielić mu suspensy.

Ukarany diakon przypuszcza, że tak właśnie się stanie. Jego zdaniem o wyroku przesądza różnica między nim a patriarchą w rozumieniu misji Cerkwi. Tak mówi o tym sam zainteresowany: „Ja rozumiem prowadzenie misji jak uczciwy dialog, w którego trakcie wolny człowiek powinien otrzymać szansę, by zakochać się w Ewangelii. Patriarcha Cyryl zaś widzi misję tak, by przez maksymalne

scalenie się z władzą państwową wykorzystywać jej policyjno-administracyjne zasoby »dla dobra Cerkwi« [...] Patriarcha Cyryl pozbawił rosyjską Cerkiew podmiotowości. Przestała być ponadpartyjnym i ponadpolitycznym głosem sumienia. [...] Nie jestem prorokiem i nie mogę przewidzieć, jaka jeszcze będzie Rosja za Putina i po Putinie. Ale jestem pewien, że kiedyś za to utożsamienie się patriarchatu z Kremlenem trzeba będzie odpokutować”.

Kurajew zapowiada, że jeśli zostanie suspendowany, nie zorganizuje żadnego ruchu dysydenckiego. Jeśli nadal będzie pełnił jednak misję asenizatora, wówczas rodzi się pytanie: jaki będzie następny ruch tych, którym nie podoba się takie czyszczenie?

Prezydent Białorusi dysponuje co prawda nadal wystarczającą siłą, aby stłumić protesty, ale nie może już zrealizować żadnego pozytywnego scenariusza – tak twierdzi wielu rosyjskich obserwatorów. Kruszeje też poparcie dla Łukaszenki wśród przedstawicieli resortów siłowych, na których oparty jest reżim. Nadciąga kryzys gospodarczy. Czy wiosną nastąpi na Białorusi przesilenie?



Przygotowania do przełomu



MAREK BUDZISZ

Aleksander Łukaszenka zmienia zdanie, kluczcy, zaciera tropy. Najpierw pod koniec roku podpisał specjalny dekret zwołujący na 10–11 lutego kolejną sesję Ogólnobiałoruskiego Zgromadzenia Ludowego. To niekonstytucyjne ciało, przypominające nieco znane z czasów ZSRR Zgromadzenie Delegatów Ludowych lub podobne fasadowe zebrania przedstawicielskie w Chinach, ma zostać w świetle ostatnich deklaracji białoruskiego dyktatora obdarzone nowymi kompetencjami, dziś przypisanymi urzędowi prezydenckiemu. Zdaniem niektórych komentatorów to na jego czele miałby stanąć Łukaszenka, formalnie odchodząc w funkcji prezydenta, faktycznie zachowując pełnię władzy. Ta wersja transferu władzy w stylu Kazachstanu do niedawna wyglądała na

bardzo prawdopodobną, bo kilkanaście dni wcześniej, 8 grudnia, Łukaszenka powiedział, że Zgromadzenie powinno się stać organem konstytucyjnym, który będzie stabilizował sytuację w kraju.

Jednak już trzy dni po podpisaniu dekretu zwołującego posiedzenie Zgromadzenia, przy okazji spotkania w jednym ze szpitali onkologicznych, białoruski dyktator oznajmił, że nie będzie zmieniało ono konstytucji kraju, a w tym celu przeprowadzone zostanie referendum. Spekulacje na temat tego, że chce stanąć na czele Zgromadzenia i w ten sposób przedłużyć swoją władzę, nazwał „wielkim głupstwem”. „Posłuchajcie. Jeśli chce przedłużyć swoją władzę, to mam wszelkie środki, aby pozostać prezydentem” – rozwił przy okazji wszelkie wątpliwości.

Jednak już 5 stycznia w trakcie kolejnego spotkania, tym razem z pracownikami holdingu Horyzont, Łukaszenka powiedział: „Jeśli nie podoba się wam obecny prezydent, to tylko wybory mogą rozwiązać tę kwestię, tylko wybory”. Aleksander Klaskouski, polityczny komentator niezależnego portalu naviny.by, zwrócił uwagę, że Łukaszenka

nie powiedział o przedterminowych wyborach, co wcześniej czynił. Miałby one nastąpić po referendum zatwierdzającym nową białoruską konstytucję i być elementem stopniowego rozstawiania się dyktatora z władzą. W zgodnej opinii białoruskich i rosyjskich komentatorów do takiej sekwencji działań sprowadzało się uzgodnione w połowie września w Soczi porozumienie z Putinem. Ale teraz wygląda na to, że Łukaszenka, otwarcie mówiąc o wyborach, a nie o ich przedterminowym ogłoszeniu, wysłała do Moskwy czytelny sygnał, że chce dotrwać do końca kadencji, czyli rządzić krajem co najmniej do 2025 r.

Rosyjskie kanały informacyjne na platformie Telegram, które często są narzędziem komunikowania nieoficjalnego stanowiska moskiewskich elit albo przynajmniej niektórych frakcji w obozie rządzącym, są pełne spekulacji, że Łukaszenka po raz kolejny ograł Putina i albo w ogóle nie ma zamiaru oddać władzy, albo zrobi to w taki sposób, że Rosja niewiele na tym skorzysta. Spekuluje się, że jeśliby nastąpiła roszada na stanowisku prezydenta Białorusi, to fotel ten mógłby zająć ktoś w rodzaju Władimira Makieja,



obecnego szefa Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a w przeszłości kierującego m.in. prezydencką administracją, człowieka lojalnego wobec Łukaszenki, a przy tym uchodzącego za nieformalnego lidera rzekomej frakcji prozachodniej w białoruskim establishmentie. Taki tandem Makiej-Łukaszenka mógłby rozgrywać zarówno Rosję, jak i Zachód.

Ta łukaszenkowska strategia kluczowa i ciągłego zmieniania stanowiska ma być, w opinii niektórych komentatorów, obliczona na oswojenie Moskwy z myślą, że w Mińsku zmian nie będzie.

WYSYP NAGRAŃ

Wydaje się jednak, że kraj wiosną czeka polityczny przełom, o czym świadczy wiele sygnałów, w tym te dochodzące z białoruskich służb specjalnych – obecnie fundamentu, na którym opiera się władza Łukaszenki. Mamy bowiem w ostatnich tygodniach do czynienia z upublicznieniem całej serii nagrań rozmów wysokich rangą funkcjonariuszy reżimu. Najpierw ujawnione zostały nagrania Natalii Ejsmont, rzeczniczki Łukaszenki, z szefem związku hokeja Dmitrijem Baskowem, z których wynika, że bojówka złożona z przedstawicieli reżimu, w skład której wchodził rozmawiający, stała za śmiertelnym pobiciem Romana Bondarenki. Potem ujawniono nagranie

rozmowy z 2016 r. ówczesnego prezydenta Armenii Serża Sarkisjana z samym Aleksandrem Łukaszenką, w trakcie której Łukaszenka, przyjaciel Ilhama Alijewa, proponuje Armenii, by ta przekazała Azerom siedem regionów Górskiego Karabachu, wskazując, że Azerbejdżan jest gotowy zapłacić za to „5 miliardów dolarów na pierwszym etapie”. Na początku grudnia niezależny kanał informacyjny NEXTA opublikował kolejne nagranie rozmowy telefonicznej Natalii Ejsmont, która tym razem rozmawiała z Nikołajem Łatyszenkiem, który jest doradcą ds. ogólnych nadzorującym wszystkich innych doradców białoruskiego dyktatora. Z tej rozmowy wynika, że postępują demoralizacja i wewnętrzny rozkład na najwyższych urzędniczych szczeblach władzy. Ihar Sierhienka, kierujący administracją głowy państwa, jest chory na COVID-19. Jego stan jest ponoć poważny, co sprzyja procesom wewnętrznej destabilizacji władzy. Wkrótce po ujawnieniu tego nagrania Stiepan Putiło, twórca i właściciel kanału NEXTA, powiedział mediom, że źródło, z którego ono pochodzi, dysponuje jeszcze znaczną liczbą zarejestrowanych tego rodzaju konwersacji i raczej jest to osoba związana z władzami, a nie haker, który je przechwycił.

Arsen Siwicki z białoruskiego think tanku Centre for Strategic and Foreign Policy Studies jest zdania, że zarówno re-

jestacja rozmowy, jak i jej treść świadczą o wewnętrznych pęknięciach w obozie władzy. Ale również, jak zauważa Siwicki, przecieki pozwalają przyjąć hipotezę, że obecnie administracja, zarówno gospodarcza, jak i ogólna w gruncie rzeczy sabotuje pracę i biernie czeka na rozwój wydarzeń, przyglądając się, która siła polityczna ma szansę na sukces.

W ostatnich dniach belgijski portal euobserver ujawnił tekst rozmowy Wadima Zajcewa, szefa białoruskiego KGB, z funkcjonariuszami supertajnej grupy Alfa funkcjonującej w ramach tego resortu. Nagranie nie jest nowe, pochodzi z 2012 r., ale jego opublikowanie dziś może zadziałać niczym wybuch miny, bo w istocie jest to mina, na którą nadział się Aleksander Łukaszenka. Zajcew w rozmowie, zresztą w bardzo niecenzuralny sposób, na co już zwrócili uwagę obserwatorzy, komentując, że takim językiem posługują się gangsterzy, mówi o specjalnym tajnym funduszu, który Łukaszenka utworzył, aby opłacać morderstwa polityczne oraz planuje zamordowanie przeciwników reżimu, w tym spektakularny zamach bombowy na dziennikarza Pawieła Szaramietę, który zresztą w 2016 r. zginął w wybuchu własnego samochodu w Kijowie. Nie tylko treść, ale również to, że udało się nagrać rozmowę na taki temat i na takim szczeblu, jest kolejnym dowodem na to, że białoruscy siłowicy już zaczynają pozycjonować się „pod nowe rozdanie”, wykorzystując broń, jaką są kompromitujące ekipę Łukaszenki nagrania.

O tym, że kruszeje poparcie dla Łukaszenki wśród przedstawicieli resortów siłowych, mogą też świadczyć dane ujawnione na łamach amerykańskiego „The Foreign Policy” przez ekspertów think tanku iSANS. Ich zdaniem z kluczowych komórek aparatu siłowego, zarówno w Mińsku, jak i w centrali resortu, po sierpniowych wyborach ub.r. odeszło 18–28 proc. pracowników, a proces erozji kadr nie spowalnia.

ROSYJSKIE SCENARIUSZE

Jednak najciekawszy, przynajmniej z politycznego punktu widzenia, przeciek zdarzył się ostatnio w Rosji. Skupiający dziennikarzy śledczych portal The Insider ujawnił wiele dokumentów przygotowanych przez komórkę kremlowskiej

administracji, formalnie zajmującą się związkami kulturalnymi, na czele której stoi generał Służby Wywiadu Zagranicznego Federacji Rosyjskiej Władimir Czernow. W przeszłości rosyjscy dziennikarze śledczy ujawnili inne materiały, z których wynikało, że Czernow i jego zespół mieszały się w wewnętrzne sprawy Armenii, Gruzji, Mołdawii i innych państw przestrzeni postsowieckiej i to zaangażowanie wcale nie było związane z kwestiami kultury.

Aleksandr Feduta, w przeszłości współpracownik Łukaszenki, obecnie związany z opozycją, napisał o tych rewelacjach, że w ten sposób „Kreml daje do zrozumienia, iż gwarancje, jakich udzielił Łukaszenko, się kończą”.

Czego można dowiedzieć się po lekturze dossier gen. Czernowa? Otóż z analizy opublikowanych materiałów wynika, że Rosja realizuje na Białorusi dwa równoległe scenariusze. W świetle pierwszego opowiada się za demokratyzacją i reformami rynkowymi, w tym szybką i głęboką prywatyzacją, a nawet zaproszeniem, oczywiście w kontrolowany sposób, Zachodu do inwestowania. Rosyjscy emisariusze już mieli przystąpić do konstruowania prorosyjskiej formacji na Białorusi, ale bynajmniej nie złożonej z zawodowych rusofilów. Rozmawiają z przedsiębiorcami i organizacjami ich reprezentującymi. Infiltrują oficjalnie działające quasi-opozycyjne formacje w rodzaju Partii Liberalno-Demokratycznej. Chcą zresztą mieć swoich ludzi we wszystkich partiach oraz ruchach politycznych i społecznych, również tych, które będą prezentowały antyrosyjski punkt widzenia. Dodatkowo Moskwa będzie chciała zbudować kontrolowaną przez siebie sieć mediów i zdobyć wpływ w organizacjach niepolitycznych lub kontrolowanych przez władze, takich jak Biała Ruś. Generał Czernow bez ogródek napisał w jednym z opublikowanych dokumentów, iż celem tego działania „jest umożliwienie krytycznie nastawionym wobec rządu, a pozytywnie wobec Rosji, obywatelom Białorusi uzyskania reprezentacji, a może nawet większości w parlamencie”.

To plan A, ale jest również plan B, który przewiduje innego rodzaju po-

dejście. Otóż jeśli by z jakichkolwiek powodów nie powiódł się plan kontrolowanej demokratyzacji i urynkowania Białorusi, to Moskwa będzie stawiać na pogłębienie integracji. Czernow proponuje „ożywienie” białorusko-rosyjskiego zgromadzenia parlamentarnego, które zaczęłoby odgrywać w ramach wspólnego państwa związkowego rolę nowej, niejako nadrzędnej, reprezentacji demokratycznej. Kolejnym posunięciem miałyby być ogłoszenie stolicami Związku Rosji i Białorusi, Witebska i Smoleńska, a przynajmniej Witebska. Takie posunięcie, obok wcześniejszych porozumień zawartych między resortami siłowymi obydwu krajów, pozwoliłoby mocniej związać, zdaniem rosyjskiego generała, Białorusinów z Rosją.

Z ostatnich badań białoruskiej opinii publicznej wynika, że do grupy zwolenników protestu zaliczyć można 34 proc. Białorusinów, „bastion Łukaszenki” to 28 proc. społeczeństwa, pozostali to obserwatorzy

Kreml snuje plany, co zrobić z Białorusią, bo jak się uważa, nie wierzy, iżby Łukaszenka był w stanie pchnąć kraj do przodu. Dysponuje co prawda nadal wystarczającą siłą, aby stłumić protesty, ale nie może już zrealizować żadnego pozytywnego scenariusza. Aleksandr Feduta napisał, że „to już jest oczywiste: siła nie działa. Oznacza to, że z jej pomocą można zmusić ludzi do emigracji, przegnać ich z ulic (...), ale nie można ich zmusić do zmiany zdania i innego myślenia”. A to jest równoznaczne z faktem, że w świetle pogarszającej się sytuacji białoruskiej gospodarki siły reżimu będą słabły. Rosja zresztą, co już zauważyli obserwatorzy, wspiera Łukaszenkę, ale dozuje pomoc kropłomierzem. Z obiecanego 1,5 mld dol.

kredytu na początku grudnia uruchomiła drugą transzę 500 mln, co nie zmienia perspektyw Mińska, bo środki te poszły na spłatę długów wobec Moskwy. Zakończono niedawno rokowania w sprawie tegorocznych cen na rosyjską ropę naftową i gaz ziemny też nie przyniosły przełomu. Z przecieków wiadomo, że ceny pozostały na zeszłorocznym poziomie, a to oznacza, że „premia”, którą Białoruś czerpała, taniej kupując w Rosji ropę i po przeróbce odsprzedając ją za granicę, będzie się kurczyła, bo Moskwa konsekwentnie realizuje swój „manewr podatkowy”, który ma takie właśnie skutki.

PODZIELONE SPOŁECZEŃSTWO

Ostatnie badania białoruskiej opinii publicznej przeprowadzone przez brytyjski Chatham House pokazują, że społeczeństwo jest nadal podzielone. Do grupy zwolenników protestu zaliczyć można 34 proc. Białorusinów, „bastion Łukaszenki” to 28 proc. społeczeństwa, pozostali to obserwatorzy. Ale jak zauważył Artyom Schreibman, białoruski politolog, komentując te badania dla Moskiewskiego Centrum Carnegie, 46 proc. ankietowanych mówi o tym, że ich opinia na temat Rosji w ostatnich tygodniach uległa pogorszeniu (wśród zwolenników protestów to już 80 proc.). Potwierdzają się wyniki wcześniejszych sondaży przeprowadzonych przez zespół prof. Wardomackiego, które pokazywały narastający sceptycyzm Białorusinów wobec Rosji i wzrost liczby zwolenników orientacji europejskiej. Dziś Łukaszenka pozycjonuje się w ich oczach jako gwarant prorosyjskiego kursu Białorusi i lider tej części opinii publicznej, która zainteresowana jest bliskimi związkami z Rosją. To powoduje, że Putin stoi przed niełatwym dylematem. Usunięcie lub upadek białoruskiego dyktatora może oznaczać antyrosyjski zwrot tamtejszych elit politycznych, jego podtrzymywanie erozję sympatii społeczeństwa. Chyba że zmiana będzie kontrolowana, uzgodniona z Zachodem i w tym sensie dla Moskwy bezpieczna.

Co dalej? W opinii wielu obserwatorów białoruskiej rewolucji wydarzenia mogą przyspieszyć na wiosnę. 

K

ULTURY

Rozgrywka
na oceanie

*Na dobry filmowy
początek roku
– gdy kina jeszcze
zamknięte,
a podróże dopiero
w planach
– Meryl Streep.
W doborowym
towarzystwie
na pokładzie
luksusowego
transatlantyku
„Queen Mary 2”,
czyli „Niech
gadają” w HBO.
Polecamy*





JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Meryl Streep to bez dwóch zdań ekranowy znak jakości. Nawet w słabszych produkcjach, a film Stevena Soderbergha, który trafił właśnie do widzów kanału HBO, do nich nie należy. „Niech gadają” to kawałek ciekawego kina. Z oceaniczną perspektywą i klimatem, których tak nam dzisiaj brakuje, oraz intrygująco zestawioną obsadą.

Głównej aktorce partnerują tu równie obyte z ekranem Dianne Wiest (dwukrotnie nagrodzona Oscarem za role w filmach Woody’ego Allena „Hannah i jej siostry” oraz „Strzały na Broadwayu”) i Candice Bergen, w której karierę na dobre wpisała się Murphy Brown.

Doborowy „gang trzech dinozaurów” – jak z dystansem mówią o sobie bohaterki, które (podobnie, jak grające jej gwiazdy) znalazły się już w przedziale wiekowym 70+ – potrafi jeszcze nieźle nakręcić filmową narrację. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi nie tylko kobiece, lecz i pisarskie rozliczenia, gdy odnajdujący się w fabułach bestsellerów ludzie ponoszą konsekwencje twórczej inwencji lub reinterpretacji autora.

DAMY NA POKŁADZIE

Steven Soderbergh, który od czasu swego reżyserskiego debiutu (nagrodzonego Złotą Palmą 1989 filmu „Seks, kłamstwa i kasety wideo”) podąża drogą kina autorskiego, tym razem postawił na kontrolowaną gwiazdorską improwizację. Wpisał ją w niespieszny rytm wyznaczany przez miejsce, w jakim znalazły się trzy bohaterki, a wraz z nimi trzy damy kina.

Meryl Streep przyjęła w filmie „Niech gadają” rolę poczytnej autorki, która wyrusza ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii. Z obawy przed lataniem środkiem jej transportu staje się luksusowy transatlantycki statek



„Queen Mary 2”. Tygodniowy rejs to rodzaj motywacji ze strony wydawcy, który liczy, że w końcu uda mu się zmobilizować pisarkę do oddania tak oczekiwanej przez czytelników kontynuacji jej najbardziej znanego tytułu.

Tymczasem autorka, być może szukając inspiracji, zabiera w podróż dwie przyjaciółki, z którymi poróżniła się jakiś czas temu, oraz siostrzeńca i nową agentkę. W godnej pozazdroszczenia scenerii i aurze przypominającej nieco filmy Woody’ego Allena między tą piątką toczyć się będzie swoista gra.

REJS NA FINAŁ

Zdjęcia do „Niech gadają” powstawały pod koniec 2019 r., tuż przed światową pandemią. Meryl Streep, która 22 czerwca tego roku skończy 72 lata, zamknęła tym filmem kolejną dekadę przebogatej i niezwykle różnorodnej filmografii.

Nie sposób wymienić wszystkich znakomitych ról aktorki. Nominowanej rekordową liczbę razy do najważniejszych nagród: 21 razy do Oscara (trafiły do niej raptem trzy statuetki – ostatni raz za pierwszy plan w „Żelaznej damie” w 2012 r.), a także 33 razy do Złotego Globu (odebrała dziewięć nagród, w tym, w 2017 r., za całokształt twórczości).

Na początku kariery – kiedy dla niej jednego widza stała się objawieniem filmu „Łowca jeleni” z 1978 r. (choć w założeniu cała uwaga była tu skoncentrowana na postaci skądinąd genialnie zagranej przez Roberta De Niro), a potem, gdy za „Sprawą Kramerów” (1979) zgarnęła pierwszego Oscara i gdy „Ko-

chanica Francuza” (1981) przyniosła jej drugi Złoty Glob, a „Wybór Zofii” (1982) drugiego Oscara (tym razem za pierwszoplanową rolę) – Meryl Streep była doceniana za... pracowitość. Nazywano ją „mulicą ekranu” tak ciężko i wytrwale gotowa była dążyć do najlepszej aktorskiej wersji swojej roli. Dziś widzimy w niej mistrzowskiego aktorskiego kameleona, który każdej postaci daje to, co najważniejsze w roli – prawdę.

PRAWDA POSTACI

Taką prawdę ma w sobie manipulująca losami bliskich pisarka z „Niech gadają”, jak również emerytka Ellen, której los zmanipulowali nieuczciwi prawnicy (w filmie „Pralnia” zrealizowanym w 2019 r. dla Netflixa przez Stevena Soderbergha).

Wierzmy ekranowej postaci brytyjskiej premier z filmu „Żelazna dama” (trzeci Oscar i ósmy Złoty Glob dla Streep, walczącej o swoje małżeństwo Kay („Dwoje do poprawki”, 2012) i apodyktycznej Violet („Sierpień w hrabstwie Osage”, 2013), a także tytułowej „Boskiej Florence” (2016) i Katharinie Graham w „Czwartej władzy” (2017). Tak jak wielu kibicuje Donnie z kontynuacji musicalowego przeboju „Mamma Mia! Here We Go Again” (2018). I czeka na drugi plan zagrany tak jak w „Sufrażystce” (2015), „Małych kobietkach” (2019) czy serialowych „Wielkich kłamstewkach”.

Meryl Streep z pewnością „wielką aktorką jest”, ale też zwyczajną żoną (od 30 września 1978 r.), matką czworga dzieci, a od lutego 2019 r. także babcią.

Teatr wepchnięty do sieci

Dziś nie o telewizji, ale o internecie, który tak nas zdominował podczas pandemii. To oczywiste, że artyści, nie mogąc się z nami spotkać, szukają kontaktu w „trybie online”. Minister Gliński przeznaczył na „kulturę w sieci” stosowne pieniądze. Nie wszędzie odbywa się to bez rozterek.

Warszawski Teatr Narodowy już podczas pierwszej fali pandemii krzepił nas na swojej stronie wierszami czołowych poetów. To było podtrzymanie i artystycznej wrażliwości, i kontaktu z tym zespołem. Ale teraz, kiedy przepadły kolejne premiery, dyrektor artystyczny Jan Englert nie zgodził się, aby je przenosić do sieci, co owocuje sporem z częścią zespołu.

Englert uważa, że to nie jest prawdziwy teatr, bo pozbawiony kontaktu żywych ludzi z żywymi ludźmi. Godzi się tylko na pokazanie zapisów dawnych przedstawień robionych na scenę, takich jak „Dziady” czy „Kordian”. Dyrektor ma sporo racji – spektakle robione online to wyrób czekoladopodobny. Ale można zrozumieć buntujących się aktorów. Chcą zarobić, ale i ćwiczyć się w swoim zawodzie. Nie wiadomo, ile to jeszcze potrwa.

Inne teatry nie mają takich oporów. Ateneum miało mieć w listopadzie premierę „Ławy przysięgłych”, sztuki czeskiego pisarza Ivana Klímy. Przeniesiono ją do internetu – przez dwa świąteczne dni można było oglądać spektakl po wykupieniu wirtualnych biletów.

Teatr zarobił. Trzeba też przyznać, że jakość tej realizacji różniła się od z reguły mało czytelnych „zapisów technicznych”. Oglądaliśmy przeważnie szeroki plan imitowanej sali sądowej. Wszystko było niezłe widać, choć czasem operator wybierał za nas, na kogo zwracać uwagę. Na koniec aktorzy wyszli nawet się uklonić.

Wyreżyserował to inny Czech Jakub Krofta. To dziwna sztuka – o ułomności wymiaru sprawiedliwości. Chwilami mamy wrażenie, że oglądamy rzeczywistość państwa autorytarnego – Klíma pisał to jeszcze w socjalistycznej

Czechosłowacji. A chwilami, że to o nas – o niedoskonałości obywateli demokratycznego społeczeństwa niezdolnych do powagi, kiedy ciąży na nich odpowiedzialność za czyjeś życie.

Tekst początkowo realistyczny zbacza w kierunku groteski, niestety chwilami zbyt ciężkiej jak na swój gatunek. Dobrze za to wypadli aktorzy. Na takich ludzi jak Grzegorz Damięcki, Janusz Łagodziński, Bartłomiej Nowosielski, Maria Ciunelis czy Przemysław Bluszcz zawsze można liczyć.

Na pewno nie jest to tekst o niczym – do zadumy. Z kolei impresaryjny teatr Scena Współczesna pokazał przed sylwestrem widowisko „I ty zostaniesz Chińczykiem”. W Ateneum normalny tekst literacki. Tu zbiór kabaretowych skeczy autorstwa dyrektora Włodzimierza Kaczkowskiego. To się już sprawdziło w podobnym spektaklu „Krótka historia świata”.

Trzej aktorzy: znakomici Łukasz Matecki, Jarosław Domin i Adam Fidusiewicz, podrzucają kolejne kwestie związane z chińską dominacją nad światem. Chwilami to pretekst, choćby do rozmowy o współczesnej Polsce. To widowisko interaktywne, artyści zagadują publikę, inicjują wspólne śpie-



wanie. Tego najbardziej brakuje w wersji online, choć próbuje się to markować.

Przy paru moich niezgodach co do wymowy poszczególnych skeczy, dostajemy coś do niezłej zabawy i do pomyślenia. Co ciekawe, Scena Współczesna nie brała za obejrzenie pieniędzy. Wystarczyło wsparcie od warszawskiego samorządu. Za to oba teatry zapowiadają przeniesienie tego, co obejrzelismy, na żywą scenę – po pandemii. – To dopiero będzie widowisko – zapowiada Łukasz Matecki z „I ty zostaniesz Chińczykiem”. Wierzę i czekam niecierpliwie.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Wyciąg z bławatka

Koniec świata nastąpił w 2012 r., szpiczaste czapki z folii aluminiowej chronią przed śmiercionośnymi falami, ludzie nie byli na Księżycu, Ziemia jest płaska, a COVID-19 nie zabija.

I reakcje na moich profilach społecznościowych na moje zdroworozsądkowe wpisy o epidemii: „Żebyś zdechł, oszukujesz! Co z panem się porobiło? Nosicie kagańce, szmaty. Dostaniesz grzybicy”. Przecież kalendarze Majów nie mogą się mylić. Zdjęcia z Księżyca zrobiono na poligonie w Utah. Jaszczury kontrolują rząd USA – oto dzisiejszy krajobraz mediów społecznościowych. Foliarze, płaskoziemcy, wyznawcy UFO. Matrix, Archiwum X, prywatne objawienia... Łączy je jedno: agresja wobec autorytetu.

Te absurdalne narracje są częścią hybrydowej wojny. Szarym tłem współczesnego infoświata, poprzez które nigdy już nie będziemy widzieli spraw jasno, jak jeszcze 20 lat temu.

„Po szczepionce covidowej ktoś inny będzie właścicielem Twojego DNA. Będziesz miał ochotę włączyć kuchenkę, zrobisz to myślami. Wgląd we wszystko, co robisz, będzie miał ktoś inny. Szczepionka nie ma dowodów, że jest skuteczna. Posłuchajcie szczegółów. Zanim ktoś to usunie z sieci” – wpisałem na Twitterze taki paracytat z foliarskiego profilu. Jego sarkazm był dla mnie oczywisty. Jednak nie było to oczywiste dla ponad setki czytelników, co stanowi jedną piątą osób, które zareagowały. Dziś właściwie każda, najbardziej absurdalnie nawet brzmiąca opinia może znaleźć i zazwyczaj znajduje swoich wyznawców. Dziś wypisując bzdury w sieci bez jakichkolwiek konsekwencji, możecie z dumą awansować

z pozycji uroczego kretyna na prymusa wygłaszającego pożegnalne przemówienie na zakończenie szkoły.

Bardzo konkretnie miałem okazję przeanalizować mechanizm dezinformacji służącej agresji na wrogi kraj przy okazji irracjonalnej rewolucji okultyzmu w USA w latach 70. XX w., zwanej często ruchem New Age. Ko-

Dziś wypisując bzdury w sieci bez jakichkolwiek konsekwencji, możecie z dumą awansować z pozycji uroczego kretyna na prymusa wygłaszającego pożegnalne przemówienie na zakończenie szkoły

muniści w 1973 r. na wielkim kongresie parapsychologicznym w czeskiej Pradze powołali do życia „psychotronikę”, niby-naukę nazywającą nadnaturalne duchowe, często demoniczne zjawiska telekinezą, prekognicją, używając pojęć takich jak pole morfogenetyczne czy subtelne energie kwantowe. Mocno pompowali te wierzenia, przyczyniając się do rozkwitu marginalnych dotąd ośrodków wpływu. W efekcie w USA powstała sieć „uczelni” newage’owych, setki „klinik” homeopatycznych, sto milionów ludzi uznawało leczenie mocą kryształów i akceptowało leczenie raka wyciągiem z bławatka. Podzielono społeczeństwo. Podważono autorytet



ROBERT TEKIELI

nauki. Skierowano całe pokolenie na fałszywe tory. Osłabiono wroga.

Podobna akcja miała miejsce w latach 80., kiedy machinie propagandowej ZSRR udało się przekonać młodzież Zachodu, że amerykańskie rakiety to zło, a rakiety sowieckie niosą pokój światu zniewolonemu przez amerykański imperializm.

Wcześniej taka propaganda rozgromiła amerykańskie wojska w Wietnamie. Tej wojny Amerykanie nie przegrali w dżungli, przegrali ją w amerykańskich mediach. Popularność wśród zachodniej młodzieży hasła: „Lepiej być czerwonym niż martwym”, jest dowodem na skuteczność dezinformacji w świecie przedinternetowym.

Irracjonalizm stał się dziś zbyt istotną częścią teatru zachodniej cywilizacji. Mamy do czynienia z agresją na autorytet instytucji, na obowiązek prawdomówności kultury, na nieparanoidalne widzenie

świata. Efektem m.in. dezinformacji jest wyobrażnia twardego jądra elektoratu Trumpa. Od czterech lat kibicowałem byłemu prezydentowi USA w jego kulturowej wojnie, był naszym sojusznikiem. Jednak okazał się amatorem. Przegrał z oligarchią, z środowiskami deep state, na samym końcu kadencji odstąpili od niego nawet republikanie. Patrząc z sympatią na większość z jego nieprzewidywalnych akcji, bronił nimi Zachodu, do jakiego w latach stanu wojennego chciałem, by dołączyła Polska. Jednak na koniec wsparł ludzi kulturowo nam obcych, których symbolem jest szaman w czapce z lisów uwiecznionej rogami.



Warte Dla odmiany na Netflixie mogą zareklamować serię filmów animowanych Dreamworks „Jak wytresować smoka”. Są to trzy bajki o wikingach, którzy żyją w świecie pełnym tych mitycznych stworów. Akcja ostatniej odsłony cyklu, „How to Train Your Dragon: The Hidden World”, dzieje się mniej więcej rok po wydarzeniach z drugiej części. Przez kolejne odsłony obserwujemy dorastanie bohaterów na tle wciągających widza perypetii.

W drugiej części bajki pojawiła się kontrowersja, istotna dla nas, jak wynika z nazwy rubryki. Jeden z wikingów, Gobber, zrobił bardzo delikatny coming out, wyznając, że jest gejem. Chodzi o zdanie, które wypowiada, patrząc się na małżeńską kłótnię: „I dlatego nigdy się nie ożeniłem. No, jest jeszcze jeden powód”. Sam twórca filmu przyznał: „Jako że przyjęło się, że w filmach dla dzieci wszyscy powinni być hetero, to dość śmiały krok z naszej strony. Tym razem poprzestaniemy na tej skromnej linijce”. Na szczęście zapowiadane rozbudowanie tego wątku nie nastąpiło.

Główną tematyką trzyczęściowej opowieści jest miłość. Twórcy poświęcają wiele czasu, aby pokazać uczucie łączące Astrid i Czkawkę, Czkawkę i Szczerbatka, Szczerbatka i Białą Furię. Filmy są przepięknie audiowizualnie. Współgrająca z akcją muzyka idealnie komponuje się z przepiękną kolorystyką kadrów. Mamy świetne sceny batalistyczne, dialogi są dowcipnie tłumaczone. W dodatku ta animacja bawi i uczy. To rodzaj bajki zarówno dla dorosłych, jak i dzieci. Ładunek emocjonalny filmów jest niezaprzeczalny, w dodatku trzeci epizod ma nienaiwne, słodko-gorzkie zakończenie. Na pewno się nie znudzimy, oglądając te filmy razem z naszymi pociechami.

Bez złudzeń 6 czerwca 1998 r. raczkująca jeszcze stacja HBO wyemitowała pierwszy odcinek liczącego sześć sezonów serialu „*Seks w wielkim mieście*”, który na zawsze zmienił telewizję i kobiety na całym świecie (były jeszcze dwa filmy pełnometrażowe). Jego wyzwolone bohaterki otwarcie mówiły o seksie i swoich seksualnych potrzebach. Seks w trójkacie, erotyczne zabawki, udawane orgazmy, karmienie piersią, depilacja, a do tego twórcy nie stronili od nagości, śmiały się scen erotycznych i soczystego języka.

„Seks w wielkim mieście” mitologizował kobiecą przyjaźń i idealizował liberalną cywilizację. Wszystkie bohaterki serialu miały idealną figurę, każda miała pracę i mimo trzydziestki, a potem czterdziestki na karku, celebrowały życie

jako singielki, wydając lekką ręką na parę butów 700 dol. Bo ich luksusowe życie, jako się rzekło, białe i szczupłe, składało się z polowania na markowe buty i ubrania, przesiadywania z przyjaciółkami w modnych lokalach i obracania się w kręgach światowych, zamożnych nowojorczyków.

Feministyczny „Seks w wielkim mieście” doprowadził też do oswojenia Amerykanów ze społecznością LGBT. Bohaterki przyjaźniły się z homoseksualistami i chodziły do gejowskich klubów. Jak piszą rewolucjonistki obyczajowe z kolorowego magazynu dla kobiet: „Śmiało można powiedzieć, że to telewizja, w tym »Seks w wielkim mieście«, przyczyniła się do legalizacji małżeństw jedнопłciowych we wszystkich amerykańskich stanach w 2015 r.”. Serialem tym Zachodnie i Wschodnie Wybrzeża rozpoczęły skuteczną fazę kulturowej kolonizacji centralnej, konserwatywnej, części USA. Między innymi dzięki niemu widzowie zamienili się w widzki. Czy są szczęśliwsze?

„Seks w wielkim mieście” negatywnie zmienił amerykańskie społeczeństwo. Ciekawe, czy wywrze wpływ tym razem, gdy – zdaje się – widzieliśmy już wszystko.



Niewarte Netflix wyprodukował ostatnio również serial dla młodzieży „*Dash i Lily*”. Lily marzy o wielkiej miłości... i tak zaczynają się perypetie typowe dla młodzieżowych produkcji zawierających w sobie dodatkowo nutkę tajemnicy, tu rodem z Sherlocka Holmesa. Tyle tylko, że non stop pokazuje się tu homoseksualistów i ich czułości. To odrzucające i na pewno nie dla dzieci ani młodzieży. Serial jest opatrzony sygnaturą 13+.

Robert Tekieli Polskie Radio



Wojciech Stanisławski

Jak skruszyć beton

Na początek nowego roku – o książkach trzech niesędziwych Polaków: wytrącających z rutyny myślenia o gospodarce, wspólnej przestrzeni, technologiach, pokazujących, jaką sztuką jest rozpoznawanie nowych wyzwań

Kolejne rynki, parki, skwery w sercach miast zalewane betonem od pierzei po pierzeje. Skierniewice, które w lecie 2019 pierwsze, ale na pewno niejedyny wśród miast polskich, doświadczyły oficjalnie stanu klęski wywołanej suszą. Pustynniejąca jedna trzecia świata i perspektywa ponownego uzależnienia RP od dostaw gazu z Rosji, jeśli postulowana przez wielu dekarbonizacja miałaby oznaczać przestawienie polskiej energetyki na „błękitny węgiel”. Greta Thunberg, powtarzająca po ośmiu wiekach sukces Stefana z Cloyes, który stanął na czele nieszczęsnej krucjaty dziecięcej.

Do tego dyktatura wielkich algorytmów, opisana przez Cathy O’Neil, matematyczkę po Harvardzie, autorkę książki „Broń matematycznej zagłady”. Pokolenie Januszów chichoczących, że „panie, jak będzie cieplej to i lepiej, śniegu nie trzeba szuflować i winorośl się posadzi, więc po co te histerie”. Obok nich – nowe pokolenia uzależnione od twardej pornografii w takim stopniu, że nie odczuwają już potrzeby nawiązywania jakichkolwiek, bodaj przygodnych, związków w realu – a z czasem zatracają również taką potrzebę. Dyktat deweloperów, zawłaszczających całe połacie naszych miast prawem i lewem, wynajdujących 130-letnich spadkobierców, zastraszaających starych mieszkańców, by wreszcie wznieść kolejne blokowisko jak z Hongkongu.

Część z powyższych zjawisk to rzeczywistość, namacalna jak kęś kostki Bauma w ręku. Część – wraz z perspektywami na blackout energetyczny, depopulację i zdziennienie artystów, niezdolnych już do budowania narracji, na wybetonowanie koryt rzek, pociągające za sobą katastrofalny cykl pustynnienia i powodzi – może się ziścić w ciągu kilkunastu lat. Co łączy tę wiązkę diagnoz (a czasem i propozycji naprawy), to niezdolność znacznej części opinii publicznej, szczególnie tej, która sama siebie określa jako „prawicowa”, do pochylenia się nad nimi. Spora część „prawicy” ignoruje je, pewien procent neguje (z gracją republikańskiego senatora wnoszącego na obrady Kongresu ulepioną na waszyngtońskim bruku śnieżkę na dowód, że globalne ocieplenie to bzdura), inni wreszcie z melancholią kiwają głowami nad nieuchronnym upadkiem świata i, by się pocieszyć, polerują pamiątkową karabelę (często rodem z Desy, ale co to szkodzi?). Wszystko razem dziwnie przypomina obraz pogrążonego w samozachwycie dworku, jaki z ironią kreślili przed stu laty z okładem Brzozowski w „Płomieniach” i – uwaga! – Sienkiewicz w „Rodzinie Połanieckich”.

Tymczasem wystarczy na chwilę wyzbyć się uprzedzeń, by sięgnąć po teksty bynajmniej niewrogie „prawicy”: czasem pisane z dystansem wobec ideologicznych sporów, czasem wręcz z żarliwą nadzieją, że prawica zdoła

przełamać uprzedzenia, nieufność czy lenistwo, by sięgnąć po agendę jakby dla niej stworzoną. Na początek roku 2021 warto zarekomendować trzy książki, które skłaniają do nowego namysłu nad światem.

Pierwsza z nich – „Betonoza” Jana Mencwela – jest najbliższa rozbudowanemu reportażowi, najwzięźlejsza, bo skupiona na konkretnym, codziennym dramacie: wycinie półtora miliona drzew, groźnej globalnie i lokalnie, doświadczanej przez warszawskich i krakowskich mieszkańców na równi z mieszkańcami małych miast, którym za unijne dotacje i z fantazji burmistrza (a wbrew przestrogom konserwatorów zabytków) postanowiono zafundować plac apelowy w sercu miasta. Drzewa, szerzej – „trzeci krajobraz”, czyli



Jan Mencwel, „Betonoza. Jak się niszczy polskie miasta”, Krytyka Polityczna, 2020

rozproszone tereny zielone, miejskie miedze, na które składają się opuszczone boiska, pasy zieleni wzdłuż torów, skwerki, ale i Górki Czechowskie w Lublinie, wrogów mają wielu (w „Alfabecie drwała”, stanowiącym jeden z rozdziałów „Betonozy”, nie brak żadnej litery alfabetu), ale największym jest pewnie ten na D: deweloperzy.

Mencwel, z temperamentem działacza ruchów miejskich, pisze szeroko: zaczyna od konkretnych przypadków skalpowania alej i rynków, opisuje koszmary, czyli „drzewa-zapałki”, osmyczone z gałęzi przez ignorantów z piłą spalinową w rękę i zdychające rok czy dwa, rozmawia z dendrologami, społecznikami od podlewania pojedynczego klonu, by przejść do, nomen omen, korzeni obecnego stanu rzeczy: wycofania się władz miejskich po roku 1989 z troski o przestrzeń publiczną, zapasici urbanistyki, a szczególnie architektury krajobrazu, na którą zwyczajnie nie ma potrzeby ani miejsca w sytuacji totalnego urynkowania gruntów.

W tych fragmentach, gdzie Mencwel łączy namysł nad ekologią i urbanistyką z polemiką ideologiczną, widać, że najbardziej niechętny jest liberalom, z ich koncepcją maksymalizacji zysku prywatnego i przerzuceniem kosztów na zbiorowość. Tę formułę, obecną w tylu operacjach ostatniego ćwierćwiecza, stojącą u podstaw globalnych kryzysów finansowych, uważa autor za winną również współczesnej betonozy – i to liberalnym deweloperom obrywa się przede wszystkim. W dalszej dopiero kolejności tnie Mencwel po skrzydłach, nie szczędząc krytyki ani związanym z Platformą władzom Warszawy, ani obecnemu kierownictwu Lasów Państwowych, tnącemu bez litości karpackie lasy, gdzie powstać miał Turnicki Park Narodowy.

Znacznie bardziej życzliwy szeroko pojętemu prawemu skrzydłu jest Jakub Wiech, którego „Podręcznik dla Zielonej Prawicy” ma charakter niemal manifestu – manifestu formacji, która jeszcze nie powstała, ale autor nie traci nadziei, że w tę stronę mogłyby zwekslować istniejące dziś i rządzące ugrupowania. „Globalne ocieplenie” tego dziennikarza, od lat zajmującego się problematyką energetyczną, robi



Jakub Wiech, „Globalne ocieplenie. Podręcznik dla Zielonej Prawicy”, Wydawnictwo Defence24, 2020

wrażenie, prócz kompetencji autora, właśnie żarliwością, z jaką Wiech usiłuje wyperswadować szeroko pojętej prawicy, że odrzucenie uproszczonego obrazu świata, zaakceptowanie faktów i przejęcie troski o przyszłość planety z rąk lewicowych demagogów jest po pierwsze słuszne, po wtóre niezbędne, a po trzecie – zgodne z najgłębiej pojętym etosem formacji konserwatywnych i zachowawczych.

Rozdziały udowadniające prawdziwość wielu hipotez o nadciągającym globalnym ociepleniu i wynikających stąd zagrożeniach dla cywilizacji są dobrze udokumentowane, choć nieraz pisane z zapalem kaznodziei przekonanego o swojej głębokiej wiedzy, ale i porażonego faktem, że woła na puszczy. Historyków idei jednak szczególnie zainteresuje to, że troska o środowisko naturalne wydaje się w naturalny sposób wynikać z założeń prawicy – tej niechętniej wielkim projektom, dążącej do ochrony struktur społecznych i gospodarczych przed zmianą. „Obóz prawicowy może przecież równie dobrze bronić ekosystemów, jak tradycji. W gruncie rzeczy sprowadza się to przecież do tego samego: konserwowania pewnych instytucji w nadziei, że służyć będą one przyszłym pokoleniom” – pisze Wiech. On sam za przykład takich praktyk przywołuje amerykańskich republikanów, przypominając, że to oni powołali do życia zarówno parki narodowe (Theodore Roosevelt), jak i sprawną i wyposażoną w realne kom-

petencje Agencję Ochrony Środowiska (Richard Nixon) czy wprowadzili pierwsze tzw. mechanizmy kwotowe i prace nad uniezależnieniem się od paliw kopalnych (Ronald Reagan). Ja, nie zapominając o tej praktyce, zwróciłbym uwagę i na twórcę pojęcia „Zielonej Prawicy” – zmarłego w ubiegłym roku filozofa Rogera Scrutona, ukazującego swoim uczniom, jak postawa proekologiczna wyrasta wprost z cnót chrześcijańskich, arystotelesowskiego umiaru i ojkoofilii, czyli umiłowania małej społeczności.

Czyżby znaczyło to, że naczelnym problemem polskiej prawicy stało się uwiedzenie przez wulgarny liberalizm, niesięgający ponad perspektywę do-raznego zysku z kilku kubików drewna i kilku klatek dla korposzczurów? Nie zgodziłby się z tym Jarema Piekutowski, uparcie broniący liberalnej cnoty wolności. Najważniejszy z trzech opisywanych tu autorów, stawia się raczej w roli recenzenta i zwiadowcy niż autora potępień i manifestów: ze swoją wiedzą socjologa zwraca uwagę na umykające większości zjawiska cywilizacyjne: demaskulinizację, wspomniany już „dyktat algorytmów” czy upadek autorytetu nauki, na którym tuczą się ordy antyszczepionkowców i płaskoziemców.

Wszystkie te trzy książki są gęste od danych i przypisów, wszystkie są wychodzącą poza polskie okopy propozycją refleksji nad sprawami publicznymi. Oczywiście, można też zamiast nich kupić pastę polską do szabli. ➤



Jarema Piekutowski, „Od faliowych czapeczek do seksualnej recesji”, Wydawnictwo Nowej Konfederacji, 2020



Gorączka złota

Od kilkunastu miesięcy na światowych rynkach trwa gorączka złota. Wyjściowa – i tak już zresztą wysoka – cena kruszcu, wynosząca w połowie 2019 r. ok. 1,2 tys. dol. za uncję, została dziś wywindowana do blisko 1,9 tys. dol. To poziom nienotowany od 2011 r., gdy złoto gwałtownie podrożało w wyniku kryzysu finansowego. Co więcej, w sierpniu ubiegłego roku cena za uncję złota pierwszy raz w historii pobiła swój historyczny rekord, na chwilę przekraczając barierę 2 tys. dol. Pomimo późniejszego niewielkiego spadku ceny złota nadal są niepokojąco wysokie.

Niektórzy twierdzą, że to objaw bańki spekulacyjnej i ceny złota wkrótce spadną, inni – przeciwnie – uważają, że obecny trend utrzyma się

na dłużej. Być może rzeczywiście złoto jest dziś przeszacowane i ostatni wzrost jego cen jest skutkiem gier spekulacyjnych. Jednak trudno jednocześnie nie zauważyć, że – pomimo okresowych spadków – kruszec, porównując jego ceny w dłuższej perspektywie czasu, ciągle drożeje. Biorąc pod uwagę fakt, że zwyżka cen złota idzie zwykle w parze z rosnącym brakiem zaufania do papierowego pieniądza, może to zwiastować poważne perturbacje w światowej gospodarce.

JAZDA W GÓRĘ

Gdy w 1973 r. wraz z upadkiem systemu z Bretton Woods Amerykanie ostatecznie uwolnili dolara od wymienialności na złoto, cena uncji kruszcu,

ustalona odgórnie dwa lata wcześniej na 42,22 dol., w ciągu kilkunastu miesięcy wzrosła aż czterokrotnie. Na ten gwałtowny skok miał m.in. wpływ ówczesny kryzys naftowy wywołany ograniczeniem produkcji przez arabskich eksporterów ropy. Od tego momentu cena złota stała się dobrym miernikiem kondycji światowej gospodarki.

Gdy wszystko szło stosunkowo dobrze, inwestowano w walutę i w papiery wartościowe, jednak gdy tylko sytuacja na świecie zaczynała się komplikować, następowała stopniowa ucieczka w złoto traktowane jako bardziej bezpieczna forma lokowania kapitału. Nic w tym dziwnego. W przypadku wojny lub jakiegokolwiek kryzysu obligacje, akcje lub waluta mogły się w każdej chwili zamienić w bezwartościowe świstki

*W ubiegłym roku cena
złota pierwszy raz
w historii na krótko
przekroczyła barierę
2 tys. dol. za uncję.
Biorąc pod uwagę fakt,
że zwyżka cen tego
kruszcza idzie zwykłe
w parze z rosnącym
brakiem zaufania do
papierowego pieniądza,
może to zwiastować
poważne perturbacje
w światowej
gospodarce*



KONRAD KOŁODZIEJSKI

papieru, tymczasem sztabki złota były gwarancją zachowania przynajmniej części posiadanego majątku.

Wzrosty cen złota następowały jeszcze wielokrotnie, m.in. w 1980 r., gdy – po rewolucji w Iranie i inwazji radzieckiej na Afganistan – podskoczyły do 678 dol. za uncję. Podobny poziom odnotowano w 2006 r. – było to w przeddzień wielkiego kryzysu bankowego. To właśnie ten kryzys, który wybuchł na pełną skalę dwa lata później, uruchomił wielką gorączkę złota. Jej ówczesne apogeum przypadło na październik 2011 r., gdy uncja kruszcza przekroczyła cenę 1902 dol. Inwestorzy obawiali się wówczas, że miliardy dolarów wpompowane w ratowanie upadających banków doprowadzą do nakręcenia wielkiej spirali inflacyjnej,

i uznali, że lepiej trzymać się z daleka od papierowego pieniądza. Ostatecznie ich obawy okazały się przesadzone, zastrzyki gotówki trafiły bowiem głównie na rynki finansowe, a nie do budżetów domowych zwykłych obywateli.

Mimo to cena wywindowana w 2011 r. nigdy już nie spadła do poziomu sprzed kryzysu. W najlepszym pod tym względem 2016 r. złoto kosztowało ok. 1,1 tys. dol. za uncję. Kolejny skok cen nastąpił w połowie 2019 r., gdy wzrosło napięcie wokół relacji amerykańsko-chińskich oraz brexitu. Na to wszystko nałożył się wkrótce wybuch pandemii koronawirusa. W sierpniu tego roku pobiła została psychologiczna bariera 2 tys. dol. za uncję złota.

Obecną zwyżkę napędza strach przed gospodarczymi i politycznymi konsekwencjami pandemii. Powtarzające się lockdowny oraz rosnące zadłużenie państw próbujących walczyć ze skutkami kryzysu kolejnymi zastrzykami pieniędzy sprawiają, że złoto znowu staje się bezpieczną „przystań” dla zgromadzonego kapitału. Oczywiście dotyczy to głównie najbogatszych, którzy mają wystarczająco dużo pieniędzy, aby przeznaczyć je na zakup coraz droższego kruszcza. Dziś kilogram złota kosztuje ponad 230 tys. zł. Jeśli więc rzeczywiście dojdzie do kryzysu, uratują się głównie milionerzy.

KOPERNIK I NEWTON

Rzecz jasna nikt nie inwestuje całego swojego majątku w złoto. Za bezpieczną granicę ciągle przyjmuje się nie więcej niż 25 proc. posiadanego kapitału. Teoretycznie złoto mogliby kupować również mniej zamożni, w sprzedaży są przecież nawet jednogramowe sztabki za ponad 200 zł. Tyle że tak niewielka lokata oszczędności nie zda się na zbyt wiele. Na sprzedaży tak cienkich sztabek zarabiają więc głównie handlarze złotem, którzy potem chętnie je odkupują – oczywiście z marżą.

Według szacunków Światowej Rady Złota (WGC) w całej historii ludzkości wydobyto blisko 200 tys. ton złota. Złoto jest metalem niesłychanie trwałym, a jednocześnie elastycznym w obróbce, zatem można przyjąć, że większość wydobytego złota, nawet

pochodzącego z czasów starożytnych, zachowała się w różnej formie do dziś.

Rzadki metal bardzo wcześniej stał się cenionym środkiem płatniczym. Pierwsze monety ze złota zaczęto bić w VII w. przed Chrystusem. Przy czym dość szybko odkryto zalety dewaluacji, emitent mógł więcej zarobić, gdy obniżał zawartość kruszcza w monecie. Nominalnie wszystko się zgadzało, ale spleciony taką gorszą monetą dług pozwalał sporo zaoszczędzić. Doprowadziło to na przestrzeni dziejów do ogromnej mnogości monet i walut, różniących się jakością. To zresztą skłoniło Mikołaja Kopernika do sformułowania zasady, że gorszy pieniądz wypiera lepszy. Ten lepszy (a więc o większej zawartości kruszcza) jest bowiem gromadzony jako lokata kapitału, a w codziennych rozliczeniach używa się gorszego.

Poprawa standardu waluty wynikała z potrzeb handlu międzynarodowego. Wprowadzenie ściśle określonego kursu w stosunku do metali szlachetnych stopniowo doprowadziło do powstania narodowych walut. W XVII w. pojawił się gulden holenderski oparty na srebrze, a wkrótce potem brytyjska złota gwinea, która z czasem doprowadziła do wyparcia srebrnych monet z rynku. W 1717 r. słynny fizyk Isaac Newton, pełniący wówczas funkcję kuratora brytyjskiej Mennicy Królewskiej, ustalił oficjalną cenę złota w wysokości 3 funtów, 17 szylingów oraz 10 i pół pensa za uncję. Zrobiono wówczas milowy krok w stronę uznania złota za podstawę systemu walutowego. Pomogło w tym rozpowszechnienie pieniądza papierowego, który drukowany bez umiaru (przykładem mogą być francuskie asygnaty wypuszczane w czasie rewolucji francuskiej) podważył zaufanie do niezabezpieczonej kruszczem papierowej waluty.

ZŁOTY STANDARD

W XIX stuleciu rozpowszechniło się powiązanie waluty z metalami szlachetnymi: początkowo ze srebrem i złotem, a potem już tylko ze złotem. Oznaczało to, że pieniądz musiał mieć pokrycie w ustalonej ilości kruszcza. Inaczej mówiąc, bank musiał na żądanie wymienić wyemitowany pieniądz

na odpowiadającą mu ilość złota. Ten system nazywano złotym standardem.

Złoty standard wyznaczał – co do zasady – limit wyemitowanych pieniędzy, bo ich ilość musiała odpowiadać rezerwowi złota zgromadzonemu w banku. Gwarantowało to zaufanie do waluty, zabezpieczało przed wahaniami kursu oraz zapobiegało inflacji.

Oczywiście były wyjątki od reguły, złoty standard można było zawiesić w przypadku wojny lub poważnego kryzysu i wiele państw korzystało z tych możliwości, gdy trzeba było szybko wydrukować puste gotówki na pokrycie bieżących potrzeb. Zakładano jednak, że gdy sytuacja się znormalizuje, nastąpi powrót do złotego standardu. Odbywało się to kosztem pauperyzacji mniej zamożnych warstw społeczeństwa, zwykle najbardziej wrażliwych na zaostrzenie polityki monetarnej.

Choć złoty standard nie był całkowicie zależny od ilości złota na rynku, to z pewnością zwiększył popyt na ten surowiec. O ile w latach 40. XIX w. roczne wydobycie złota wynosiło średnio 42 tony (z tego połowa kruszcu pochodziła z Rosji), to odkrycie złóż złota w Kalifornii i Australii zwiększyło roczne wydobycie aż do 965 ton rocznie, i to zaledwie dekadę później. Kolejne żyły złota odkrywane m.in. nad rzeką Klondike w Kana-dzie, w Kolorado, w Afryce Południowej, ale też na Syberii, pozwoliły na potrojenie wydobycia do początku XX w.

Stały dopływ złota chronił powiązane z nim waluty przed ryzykiem nagłych wahań kursów, choć z czasem zaczęto odchodzić od zasady, że ilość pieniądza w obiegu musi ściśle odpowiadać ilości złota zgromadzonego w banku centralnym. Wystarczyła bowiem rezerwa kruszcu niezbędna dla zachowania płynności finansowej.

REZERWY Z FORT KNOX

System oparty na złocie zaczął się walić w gruzy podczas I wojny światowej. Walczące strony nie były w stanie utrzymać wymienialności waluty na złoto i rozpoczęły emisję pustego pieniądza. Wyjątkiem były Stany Zjednoczone, które jesz-

cze w 1900 r. ustaliły wartość uncji złota na 20,67 dol. i utrzymały ten kurs przez całą wojnę, umacniając w ten sposób swoją przewagę finansową nad Europą.

Po wojnie próbowano – z mniejszym lub większym sukcesem – wrócić do złotego standardu, ale większość tych starań została pogrzebana wraz z nadejściem wielkiego kryzysu w 1929 r. Okazało się wtedy, że uparte utrzymywanie stałego kursu jest jednym z czynników pogłębiających kryzys. Ostatecznie również Stany Zjednoczone, gdzie rozpoczął się krach, zdewałowaly dolara wobec złota, ustalając nowy kurs na poziomie 35 dol. Jednocześnie podjęto decyzję o pełnej nacjonalizacji złota znajdującego się w prywatnych rękach.

W całej historii ludzkości wydobyto blisko 200 tys. ton złota. Większość z tych zasobów, nawet pochodzących z czasów starożytnych, zachowała się w różnej formie do dziś

Rezerwy złota okazały się raz jeszcze przydatną walutą podczas II wojny światowej, gdy Brytyjczycy płacili nimi Amerykanom za dostarczaną im broń i pomoc. Jednak złoto przestało już być filarem światowego systemu monetarnego. Jego rolę przejął po konferencji w Bretton Woods w 1944 r. amerykański dolar, który pozostawał wymienialny na złoto według ustalonego przed wojną kursu 35 dol. za uncję. Wartość innych walut wyznaczała odtąd ich relacja do dolara. Taki system był możliwy m.in. dzięki temu, że Amerykanie zgromadzili w Fort Knox rezerwy złota szacowane pod koniec lat 50. na połowę całego wydobytego kruszcu znajdującego się w obrocie.

I choć Amerykanie zobowiązali się do utrzymywania sztywnego kursu wobec złota, to jednak słowa nie dotrzymali.

Rosnące koszty wojny wietnamskiej oraz nowej polityki społecznej wprowadzonej przez prezydenta Johnsona w latach 60. doprowadziły do powstania zadłużenia, które postanowiono wypełnić drukiem pieniądza. W rezultacie konieczna była dewaluacja dolara wobec złota, co ostatecznie doprowadziło do załamania systemu z Bretton Woods i zerwania związku amerykańskiej waluty ze złotem. Kursy walut i ceny złota zostały uwolnione.

NADAL W CENIE

Dziś złoto, choć oderwane od walut, nadal pełni funkcję rezerwowego pieniądza, który może być przydatny w ciężkich czasach, gdyby skutek jakichś katastrof lub kryzysów systemy finansowe okazały się niewydolne.

Jednak na razie – pomimo wyższych cen na giełdach – największy popyt na złoto utrzymuje się w przemyśle jubilerskim, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie i w innych częściach Azji. Pod koniec lat 90. przemysł jubilerski w Indiach pochłaniał co roku 700 ton złota, a łączne zasoby tego kruszcu wynosiły tam 10 tys. ton. W tym samym czasie w skarbcach banków centralnych znajdowało się niepełna 32 tys. ton złota.

Tak wielki popyt na złotą biżuterię wzmocniony dodatkowo coraz powszechniejszym lokowaniem oszczędności w złocie może doprowadzić do zmniejszenia ilości kruszcu na rynku i dalszego wzrostu jego ceny. Złuszczą że według wyliczeń US Geological Survey dostępne w ziemi i zidentyfikowane zasoby szacowane są na zaledwie 54 tys. ton. W 2019 r. najwięcej złota wydobyto w Chinach (420 ton) oraz w Australii i Rosji (powyżej 300 ton). Dla porównania w Polsce produkcja złota pozyskiwanego z dolnośląskich rud miedzi wyniosła w 2017 r. 3,6 tony.

Pewnym wyjściem z sytuacji jest recykling złota, który w tej chwili oceniany jest na nieco ponad 10 proc. zasobów, ale ta ilość może nie wystarczyć do zaspokojenia popytu w przyszłości. Chyba że powrócą bardziej spokojne czasy i obecna gorączka złota odejdzie w przeszłość. Czy ktoś w to uwierzy?

Wielki odlot

„Gdy ustawi system lotu po odbiciu, nie ma szarpania i chwiania się. Zdaje się majestatycznie żeglować w powietrzu. Jest estetą przestworzy” – zachwycił się komentator „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Kamil Stoch w wielkim stylu wygrał Turniej Czterech Skoczni. Po raz trzeci

Fot. East News/AP Photo/Matthias Schrader





CEZARY KOWALSKI



W 2013 r., zaraz po tym, jak Kamil Stoch zdobył pierwsze mistrzostwo świata, nasz skoczek udzielił wywiadu tygodnikowi „Sieci”, zapraszając nas do swojego domu w Zębie. Spędziłem z nim cały dzień. Spacerując po uliczkach czy siadając w barach, nie wzbudzał żadnej sensacji, żadnego większego zainteresowania. Uderzająca była różnica w porównaniu z otoczką, jaka w czasie pierwszych sukcesów towarzyszyła Adamowi Małyszowi. A przecież już wtedy było oczywiste, że Kamil będzie jego następcą. W dyscyplinie, na której punkcie my, Polacy, mamy prawdziwego hopla, a jej bohaterów traktujemy jak dobro narodowe. Na pytania o to, jak się czuje w butach ikony polskich skoków, wówczas 25-latek wyraźnie się irytował, autentycznie tego nie chciał,

zbaczał z tematu, podkreślał: „Ja to ja, dajcie mi żyć”.

Zapewniał też, że nigdy, choćby wygrał w sporcie wszystko, nie stanie się celebrytą, nie pójdzie do słynnego talk-show, tam gdzie chadzą wszyscy szukający jeszcze większego uznania opinii publicznej lub ci, którzy po prostu chcą za wszelką ceną uniknąć zapomnienia. W rzeczowy sposób argumentował swój sposób myślenia, śmiało mówiło o wartościach, w których wyrósł, religii, przywiązaniu do rodziny i chęci podążania swoją drogą. Choć potwierdzał to i ugrunto wywał przy okazji naszych spotkań w kolejnych latach, zawsze gdzieś z tyłu głowy miałem nutkę reporterskiego podejrzenia, że sportowy mistrz może trochę kokieta, i świadomość, że nie takich twardejeli w końcu jednak wciąż gała machina show-biznesu. I że pokusy

dodatkowego poklasku, ekspozycji czy też po prostu możliwość łatwego zarobku będą musiały wchłonąć młodego człowieka. Choćby w jakimś stopniu.

Od tego czasu Stoch zdobył trzy złote medale olimpijskie, dwie Kryształowe Kule, mistrzostwo świata i wygrał trzy Turnieje Czterech Skoczni. Stał się dojrzałym człowiekiem, zdecydowanie najlepszym sportowcem w dziejach skoków (Adam Małysz, mimo swojej niekwestionowanej wielkości, pozostaje daleko z tyłu), razem z żoną prowadzi swoje biznesy, rozsądnie korzysta z tego, co osiągnął (występuje w reklamach i akcjach społecznych), ale... tak jak zapowiadał przed laty, nie pcha się na afisz. Wszystko, co robi wokół sportu, robi ze smakiem, bez przesady i zbędnej egzaltacji. To nie jest tak, że Stoch wyskakuje nam przed oczy nawet wówczas, kiedy otworzymy lodówkę.

I nie piję tu absolutnie do Roberta Lewandowskiego, który stał się ikoną pop-kultury i korzysta z tego w bardzo szerokim wymiarze. Taką po prostu ścieżkę wybrał nasz najlepszy piłkarz wraz z doradcami i nie ma w tym nic złego. Tak jak to, że Kamil wybrał inną. Widać, że ten plan Stocha jest spójny i wynika przede wszystkim z jego osobowości.

Lata lecą (w maju skończy 34), a on wciąż jest taki sam. Woda sodowa nie uderzyła mu do głowy, co wśród sportowców, umiających tak długi czas utrzymać się na świeczniku, jest naprawdę rzadkością. Niewiele zmienia się także w kwestiach sportowych „Jeśli Kamil jest w formie, to nie ma takiej możliwości, aby ktoś go pokonał” – stwierdził słyszący z chłodnego usposobienia były trener reprezentacji Polski, a obecnie Niemiec, Stefan Horngacher.

IDEALNY SKOCZEK

Owszem zdarzają mu się słabsze momenty czy nawet całe sezony, ale tylko ktoś niemający pojęcia o skokach, mógłby się w ostatnich latach pokusić o chętnie stawianą tezę wobec dojrzałych sportowców z bogatym CV, że „się skończył”. Jasne, że nie jest maszyną, ale... potrafi nią być. Sam zresztą przyznaje, że jedno co przez te lata może poprawiać, to efekty wynikające z treningu mentalnego: „Nauczyłem się oczyszczać głowę, aby powtarzać skoki jak maszyna”. Choć drobiazgi zawsze można doszlifować.

Takiego Kamila widzieliśmy właśnie podczas ostatniego Turnieju Czterech Skoczni. Do bólu powtarzalnego i perfekcyjnego. To nie była żadna ułańska szarża, żaden zbieg okoliczności, słabszy moment najpoważniejszych rywali czy sprzyjające wiatry. Ale to, o czym mówił Horngacher. Kamil jest od lat potencjalnie najlepszym skoczkiem na świecie, ma największe możliwości, co nie oznacza, że zawsze wygrywa. „Jego ciało jest w stu procentach zbudowane do skoków. Idealny skoczek narciarski. Zwycięza bez żadnej litości. On tutaj jest szefem” – mówi Austriak, który prowadząc naszą kadrę w latach 2016–2019, z pewnością mocno się przyczynił do rozwoju Stocha.

Komentator „Frankfurter Allgemeine Zeitung”: „Obserwowanie Polaka

w akcji to rozkosz dla oka. Gdy ustawi system lotu po odbiciu, nie ma szarpnięcia i chwiania się. Zdaje się majestatycznie żeglować w powietrzu. Jest esteta przestworzy” – się zachwycał.

ZGRANA PACZKA

Wielkim atutem Kamila jest też to, że trenuje i przebywa w wyjątkowej, bardzo mocnej grupie swoich kolegów. Owszem jest w niej numerem jeden i nikt nie próbuje tego podważyć, nawet jeśli czasem dalej poleci Żyła czy Kubacki, ale dystans między nimi to nie jest przepaść. Jak się to dzieje choćby w przywoływanej już piłkarskiej reprezentacji Polski, gdzie Lewandowski przerasta kolegów o dwie głowy. I nie chodzi tu tylko o dystans sportowy, lecz także mentalny. Grupa, która stanowi kadrę skoczków, nie musi się uczyć żyć z gwiazdą, bo Stoch po prostu się za nią nie uważa. Nie ma w tym żadnej przesady: nasi skoczkowie to jest paczka prawdziwych kumpli. Widać to w momentach triumfów, choć przecież to jednak przede wszystkim sport indywidualny i rywalizują także między sobą, ale potrafią autentycznie się cieszyć z sukcesów kolegi, wspierać, nakręcać pozytywnie.

SPUSZCZENI Z UWIEZI

Tak jak było przed ostatnim Turniejem Czterech Skoczni i całym tym cyrkiem związanym z testami zafundowanymi przez niemiecki sanepid. Przecież niewiele brakowało, a absurdałne postępowanie organizatorów z Niemiec sprawiłoby, że nie byłoby tego triumfu, bo nasi w ogóle by nie wystartowali. Może teorie spiskowe poszły trochę zbyt daleko, ale... Co o tym myślą, dawali wyraz werbalnie, ale jak głosi sportowa prawda, najlepiej zrewanżować się na boisku (w tym przypadku na skoczni).

Na pierwszych sześć miejsc w końcowej klasyfikacji najbardziej prestiżowego turnieju w skokach, aż cztery zajęli Polacy. Stoch po prostu zmiażdżył rywali, wyprzedzając drugiego Niemca Geigera o 48,1 pkt. Trzeci był Dawid Kubacki, piąty Piotr Żyła, a szósty Andrzej Stękała (nasze objawienie). To był po prostu polski nokaut.

Apoloniusz Tajner, zdradzając kulisy afery w Obersdorfie, przyznał, że

Niemcy bardzo pomogli w tym sukcesie. – Nasi zawodnicy byli wściekli. Zareagowali tak, jakby zostali spuszczeni z uwięzi. Przypomnijmy: przed pierwszym konkursem TCS test na koronawirusa przeprowadzony u Klemensa Murańki okazał się „slabopozytywny” i cała nasza kadra została wycofana z klasyfikacji. Ostatecznie dwa kolejne testy okazały się negatywne, kwalifikacje anulowano i do startu Polaków jednak dopuszczono.

– Najpierw chłopaków stłamszono, a później okazało się, że mogą startować, co doprowadziło do prawdziwej eksplozji – tłumaczył były trener naszej reprezentacji.

Niemieccy dziennikarze pozwolili sobie nawet na gorzki z ich punktu widzenia żart: „Polscy skoczkowie zrobili sobie z turnieju mistrzostwa Polski”. Pojawiały się też takie tytuły: „Kamil Stoch, duma Polski”, czy „Król przestworzy pochodzi z Polski”.

ILE JESZCZE WYGRA

Skoczek z Zębu odniósł 38. wygraną w Pucharze Świata i zrównał się w klasyfikacji wszech czasów Turnieju Czterech Skoczni z Helmutem Recknagem. Obaj mają po trzy wygrane. Wyżej są tylko Janne Ahonen (pięć zwycięstw) i Jens Weissflog (cztery zwycięstwa).

Jak długo Stoch będzie jeszcze skakać (dziś jest jednym z kilku najstarszych zawodników w stawce), ile turniejów jeszcze wygra i jakie rekordy pobije, trudno wyrokować. Wyraźnie widać, że mimo wygrania już prawie wszystkiego, wciąż znajduje motywację i obok wielkich rzeczy potrafią go cieszyć także takie drobiazgi jak utarcie nosa zbyt dumnym rywalom. Wydaje się jednak pewne, że tak jak gwarantował przed laty, nie zobaczymy go w telewizyjnym talk-show. I chyba nikomu tego nie żal.

– Przed nami Kamil king! – zapowiedziała rozmowę ze Stochem rozentuzjasmowana niemiecka reporterka telewizyjna. – Pani sobie daruje tego kinga – odparł chłodno Polak.

Bo Kamil wciąż lata wysoko, ale też twardo stąpa po ziemi.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport



W trasie po rajdową nieśmiertelność

Jak zawsze początek roku upływa wszystkim fanom terenowych rajdów pod znakiem Dakaru i obserwowania zmagających się najlepszych zawodników świata w najbardziej wymagającym wyścigu, jaki wymyślił człowiek. Zwycięstwo w Rajdzie Dakar dla każdego ze startujących to nieśmiertelność, marzenie, po którego spełnieniu można swoją karierę oceniać tylko pozytywnie. W 2021 r. po raz kolejny silną reprezentację wystawia ORLEN Team, a jego zawodnicy starają się o wyśrubowanie swoich życiowych rekordów

Po raz drugi z rzędu rajdowcy mierzą się na trasach wytyczonych w Arabii Saudyjskiej. Przez 30 lat rajd był organizowany w Afryce, później na dekadę przeniósł się do Ameryki Południowej, aby od roku zagościć na Bliskim Wschodzie. W Afryce nie można było zapewnić uczestnikom odpowiedniego poziomu bezpieczeństwa, z kolei w Ameryce Łacińskiej poszczególne państwa miały kłopot z ustaleniem między sobą warunków współpracy. Tym samym padło na królestwo szejków, którzy nie szczędzą petrodolarów na organizację wydarzenia o odpowiedniej oprawie i rozmachu. Co ciekawe, planowano rozszerzenie trasy Dakaru o inne państwa, Egipt i Jordanię, ale na przeszkodzie stanęła pandemia i związane z nią obostrzenia w podróżach międzynarodowych. Oczywiście cały sezon 2020 stał pod znakiem problemów związanych z COVID-19, więc to, że rajd się odbywa, jest powodem do zadowolenia. Na starcie zameldowało się ponad 300 pojazdów. Po trudnym roku nie każdego, kto chciał wystartować w Dakarze, było na to stać. Nie jest tajemnicą,

że impreza nie należy do najtańszych, i żeby poważnie o niej myśleć, trzeba mieć w kieszeni co najmniej kilkadziesiąt tysięcy euro w przypadku motocykla oraz kilkaset w przypadku samochodu.

Żeby uroznać zawodnikom zadanie, trasa rajdu niemal w żadnym momencie nie pokrywa się z zeszłoroczną drogą. Start i finisz wyścigu odbywają się w Dżuddzie, 3,5-milionowej aglomeracji położonej nad Morzem Czerwonym, znanej przede wszystkim z budowy Jeddah Tower, czyli pierwszego wieżowca na świecie o wysokości przekraczającej kilometr. Przez 12 etapów trwających od 3 do 15 stycznia kierowcy okrążają niemal całą Arabię, poruszając się zarówno po pustynnych piaskach, jak i przy morskim wybrzeżu. Wedle organizatorów tegoroczna trasa jest znacznie wolniejsza, ale bardziej zróżnicowana i wymagająca większych umiejętności technicznych. Żeby utrudnić rajdowcom życie, otrzymują oni roadbooki zaledwie 10 minut przed rozpoczęciem każdego etapu, a na najdłuższych odcinkach obowiązuje zakaz wymiany opon w samochodach. Na najniebez-

pieczniejszych fragmentach istnieją strefy ograniczonej prędkości i dodatkowe sygnały dźwiękowe. To nie przypadek – Dakar zawsze owiany był sławą rajdu śmiertelnie niebezpiecznego, co znalazło potwierdzenie w ubiegłorocznych tragicznych wypadkach motocyklistów Paula Goncalvesa i Edwina Stravera. Tym razem organizatorzy liczą na to, że kibice nie będą musieli obserwować podobnych scen i skupią się jedynie na emocjach czysto sportowych. Jak zwykle w Dakarze samo przejechanie liczącej 7,5 tys. km trasy będzie wielkim osiągnięciem. Jednak cele reprezentantów ORLEN Team są znacznie bardziej ambitne.

Kto znajduje się wśród faworytów do zajęcia najwyższych pozycji? W klasie samochodów niezmiennie są to załogi Hiszpana Carlosa Sainza, Katarczyka Nassera Al-Attiyaha i Francuza Stéphane'a Peterhansela, którzy przed rokiem obsadzili w tej właśnie kolejności całe podium. W ostatniej dekadzie trzech wymienionych potentatów tylko raz oddało triumf innemu zawodnikowi (był to Nani Roma w 2014 r.), a panowie mają

PARTNER DODATKU



łącznie 13 samochodowych triumfów w Dakarze. Przy czym Peterhansel to kompletny rekordzista – na cztery kółka przesiadł się z motocykla, na którym wcześniej sześć razy był najszybszy, i nie bez powodu nosi dumny przydomek „Mr Dakar”. Monopol trzech mistrzów postarają się przełamać przede wszystkim Sebastien Loeb i Cyril Despres z Francji, Giniel de Villiers z RPA, reprezentant Arabii Saudyjskiej Yazeed Al-Rajhi, pochodzący z Argentyny Orlando Terranova czy wspomniany Nani Roma z Hiszpanii. Wśród liczących się graczy nie może zabraknąć przedstawicieli ORLEN Team. Mowa rzecz jasna o Kubie Przygońskim w parze z Timo Gottschalkiem, którzy w edycji 2020 mieli ogromnego pecha i przez awarię na pierwszym etapie nie liczyli się w walce o zwycięstwo, oraz o Martinie Prokopie pilotowanym przez Viktora Chytkę, którzy w poprzednim rajdzie otarli się o pierwszą dziesiątkę. Zarówno Polak, jak i Czech zajmowali już miejsca w najbliższym sąsiedztwie podium, więc obaj mierzą w tym roku w najwyższe lokaty. Prokop to realista: „Wraz z Viktorem cieszymy się na myśl, że zaraz znów rozpoczniemy rywalizację na Dakarze. Jesteśmy bardzo zmotywowani do jazdy, bo przez ostatni rok nie mieliśmy zbyt wielu okazji do ścigania się. Teraz dopiero pokażemy, na co nas stać. Celujemy w pierwszą dziesiątkę i zrobimy wszystko, by zakończyć w niej nadościgające zmagania”. Z kolei Przygoński ostrzy sobie zęby na spektakularny rezultat: „Nie mam wątpliwości, że bardzo dobrze przygotowaliśmy się do nadchodzącego Dakaru. Dużo czasu spędziliśmy w samochodzie, by być jak najlepiej oswojeni z tym, z czym zaraz będziemy mieli do czynienia w Arabii. Trasa różni się od ubiegłorocznej, jest wolniejsza i bardziej urozmaicona. Na pewno celem jest podium. Byłem już piąty, czwarty i siódmy, więc teraz czas na więcej. Walka będzie zacięta”. Prokop i Przygoński rozpoczęli rajd z przytupem – w pierwszym etapie zajęli odpowiednio trzecie i dziewiąte miejsce. Po kolejnych etapach znajdują się tuż za czołową trójką, którą tworzą żelazni faworyci.

Wśród motocyklistów niezwykle ciekawie zapowiada się rywalizacja Amerykanina Ricky’ego Brabeca, który przed rokiem wziął rajd szturm i zapewnił Hondzie pierwszy triumf od ponad 30 lat, przełamując tym samym monopol firmy KTM, z największymi gwiazdami jeżdżącymi na maszynach austriackiego konstruktora – Australijczykiem Tobyem Price’em, Austriakiem Matthiasem Walknerem i Brytyjczykiem Samem Sunderlandem, którzy znają już smak zwycięstwa w Dakarze. Do walki o tytuł włączają się też zapewne Chilijczycy Pablo Quintanilla i José Cornejo Florimo czy bracia Kevin i Luciano Benavides z Argentyny. Każdy z wymienionych marzy o staniu się motocyklową legendą Dakaru na miarę Peterhansela, Despresa, Marca Comy czy Cyrila Neveu. Gdzieś z tylnego rzędu do czołówki mają szansę dojechać reprezentanci ORLEN Team. Rewanż na trudnej pustynnej trasie chce wziąć Adam Tomiczek, który rok temu z powodu kontuzji pleców po czwartym etapie musiał zrezygnować z wyścigu. Przed tegorocznymi zmaganiem crossowicz z Cieszyna był dobrej myśli: „Dobrym rezultatem na nadchodzącym Dakarze chciałbym zapomnieć o pechowej, ubiegłorocznej edycji. Ze zdrowiem jest już wszystko w porządku. W spokojnych warunkach przygotowywałem się do rywalizacji. Chcę pomału oswajać się z pustynią, a później walczyć na całego”. W 2020 r. lepiej poszło Maciejowi Giemzie, który zajął nieźle 17. miejsce. Tym razem już nie mógł się doczekać wyścigu: „Po udanym Rajdzie Dakar 2020 miałem głód rywalizacji. Chciałem ścigać się co weekend. Dużo ćwiczyłem w ostatnich tygodniach na pustyni. Mam nadzieję, że przekuje się to w solidny wynik. Czuję się w dobrej formie do walki. Dysponuję mocnym sprzętem, więc nie mogę się już doczekać wyjazdu na pustynne piaski”. Dla obu zawodników miejsce w okolicach pierwszej dziesiątki klasyfikacji będzie sporym sukcesem. Będzie o to ciężko – po pierwszych etapach Polacy znajdują się w okolicach 20. pozycji, choć Giemzie udało się ukończyć parę etapów na wyższych lokatach.

ORLEN Team



JAKUB PRZYGÓŃSKI

Klasa: samochody
Numer startowy: 307
Pilot: Timo Gottschalk (Niemcy)
Samochód: Toyota Hilux Overdrive
Wiek: 35 lat
Dakar: 11 startów – 6 w klasie motocykli (6. miejsce w 2014 r.), 5 w klasie samochodów (4. miejsce w 2019 r.)
Najlepsze wyniki: 2. miejsce w Pucharze Świata Rajdów Terenowych Baja FIA 2019, 1. miejsce w Pucharze Świata Rajdów Terenowych FIA 2018
Wyniki w 2020: 3. miejsce w Rajdzie Kataru, Mistrz Polski w Rajdach Terenowych, Mistrz Polski w Driftingu, Wicemistrz Polski w Rallycrossie



MARTIN PROKOP

Klasa: samochody
Numer startowy: 312
Pilot: Viktor Chytka (Czechy)
Samochód: Ford Raptor RS Cross Country MP-Sports

w rajdzie *Dakar 2021*

Wiek: 38 lat

Dakar: 5 startów (6. miejsce w 2019 r.)

Najlepsze wyniki: 2. miejsce w Pucharze Świata Rajdów Terenowych FIA 2018, Rajdowy Mistrz Świata Juniorów 2009

Wyniki w 2020: 15. miejsce w Rajdzie Sardynii



ADAM TOMICZEK

Klasa: motocykle

Numer startowy: 20

Motocykl: Husqvarna FR 450 RR

Wiek: 26 lat

Dakar: 3 występy (16. miejsce w 2019 r.)

Najlepsze wyniki: 1. miejsce w Hungarian Baja 2019, 1. miejsce w Baja Poland 2018

Wyniki w 2020: 2. miejsce w Baja do Pinhal

MACIEJ GIEMZA

Klasa: motocykle

Numer startowy: 22

Motocykl: Husqvarna FR 450 RR Orlen Team

Wiek: 25 lat

Dakar: 3 występy (17. miejsce w 2020 r.)



Najlepsze wyniki: 3. miejsce w Hungarian Baja 2019, dwukrotny zwycięzca Pucharu Świata Rajdów Terenowych Juniorów FIA 2017 i 2018

Wyniki w 2020: 1. miejsce w Pucharze Świata Juniorów w Rajdach Baja, 1. miejsce w Rajdzie Grecji, 1. miejsce w Baja Szczecinek, 1. miejsce w Baja Lithuania



KAMIL WIŚNIEWSKI

Klasa: quady

Numer startowy: 155

Quad: Yamaha Raptor 700 Orlen Team

Wiek: 38 lat

Dakar: 4 występy (5. miejsce w 2020 r.)

Najlepsze wyniki: 1. miejsce w Pucharze Świata Baja 2013 i 2014

Wyniki w 2020: 3. miejsce w Rajdzie Andaluzji

W klasie quadów ORLEN Team znów reprezentuje Kamil Wiśniewski. Przed rokiem zajął znakomite piąte miejsce, a po drodze udało mu się nawet zgarnąć jedno etapowe zwycięstwo. Czy teraz wynik będzie jeszcze lepszy? „Przy wsparciu PKN ORLEN udało mi się zmodyfikować mojego quada. Nowa maszyna jest mocniejsza względem poprzedniczki. Nie chciałbym nikogo zawieść, dlatego od początku celem jest rywalizacja o najważniejsze lokaty. Na pewno będzie się dużo działo!”. Szanse są wielkie, bo w stawce zabraknie największych faworytów. Ubiegłoroczny triumfator, Chilijczyk Ignacio Casale (łącznie trzy zwycięstwa w Dakarze) przesiadł się w tym roku do ciężarówki, drugi na mecie Simon Vitse zajął się pilotowaniem samochodu Dominique’a Housieaux, a Rafał Sonik zrezygnował ze startu z powodów pandemii i idącego za nią ryzyka finansowego związanego ze startem. Tym samym najgroźniejszymi rywalami Wiśniewskiego są zwycięzca z 2019 r., Argentyńczyk Nicolás Cavigliasso, jego rodak Manuel Andujar czy Francuz Alexandre Giroud. Wśród ciężarówek faworytami jak co roku są rosyjskie załogi Kamazów, z kolei w kategorii pojazdów SSV liczą się przede wszystkim reprezentanci Ameryki Południowej, USA i Hiszpanii. Gratką dla fanów motoryzacji jest wprowadzenie nowej kategorii, która obejmuje samochody i ciężarówki wyprodukowane przed 2000 r., dla których zaplanowano specjalną trasę, dostosowaną do specyfiki starszych pojazdów. Polaków poza ORLEN Team w Dakarze nie jest wielu: na motocyklach ścigają się Konrad Dąbrowski i Jacek Bartoszek, a w klasie SSV o swoje szanse walczą Aron Domżała oraz bracia Marek i Michał Goczałowie.

ORLEN Team wspiera swoich zawodników najlepiej, jak to możliwe. To także szansa na międzynarodową promocję marki polskiego giganta. Pozostaje trzymać kciuki za powodzenie zawodników startujących w barwach ORLEN Team, którzy mają szansę na zdobycie rajdowej nieśmiertelności.

Michał Muzyczuk

Kulinarna edukacja

Pierwszą potrawą, którą sam ugotowałem, była zupa jarzynowa według przepisu mojej babci. Miałem siedem, może osiem lat. Stare dzieje, ale wspominam je z uśmiechem. Babcia była moim wspaniałym kulinarnym przewodnikiem. Zaszczepiła we mnie chęć gotowania w najmłodszym wieku. Początek podstawówki to dobry czas na wejście w kulinarną przygodę.

Oczywiście i młodsze dzieci możemy oswajać z gotowaniem, ale musimy brać pod uwagę choćby ich problemy z koncentracją. W formie zabawy podsuwajmy im więc nowe smaki, angażujmy w działania organoleptyczne. Kiedy mamy do czynienia z cztero- i sześciolatkami, to ręce w mąkę albo w ciasto, niech się pobawi. Jeśli jednak mielibyśmy zrobić danie tak, by móc je zjeść, to najlepiej zaczynać z uczniami pierwszych klas. Możemy wtedy lepiej się porozumieć, wymagać i dać coś do pokrojenia ostrym nożem.

Większość dzisiejszych dzieci od małego zna smak cukru, w różnych jego postaciach. W początkach kulinarnych działań najlepiej więc szukać zdrowej alternatywy słodkości np. w owocach, które są bardzo wdzięcznym składnikiem, czy warzywach. Dobrze jest pokazywać, jak wiele ciekawych i smacznych

dań może z nich powstać. Robimy to w dwóch telewizyjnych kulinarnych projektach.

Dobraliśmy się w nich do ważnych grup wiekowych. Do TVP ABC zapraszamy dzieci siedmio- i dziesięcioletnie. W programie „Ugotuj nam bajkę” mamy nie tylko niezwykle scenograficzny garnek, lecz także, wspomagani przez czarodziejski głos (Piotra Fronczewskiego), przenosimy się w krainę baśni.

Szukamy do tego pretekstu. Na przykład rozsypane na stole okruszki prowadzą nas śladami Kaia i Gerdy do Królowej Śniegu.

Przy okazji przygotowujemy proste przekąski i dania. Poczynając od kanapek czy naleśników, przez warzywne curry, krem z dyni, po lody bananowe. Wszystko to jest proste w przygotowaniu, smaczne, zdrowe, a zarazem niedzienne, bajkowe.

Sekretnym „składnikiem” i „narzędziem” programu „Ugotuj nam bajkę” są rodzice. Ich pomoc bardzo się przydaje, ale też oni sami mogą parę ciekawych rozwiązań i pomysłów na ekranie znaleźć.



Z kolei projekt „Zaloguj się w kuchnię”, który ruszył z początkiem ferii w TVP3, jest skierowany do 11-14-latków, chociaż w odcinku, w którym robimy lasagne, mieliśmy też 16-latkę, więc nie stawiamy ostrych wiekowych granic.

Zapytała mnie pani na początku rozmowy o pierwszą potrawę, którą jako dziecko zrobiłem. To była zupa jarzynowa. Moja córka Zosia zapamięta inne danie.

Lasagne to ulubiona potrawa naszej patchworkowej rodziny. Uwielbiają ją starsze dzieci, 15-letnia Bogusia i 17-letni Ignacy, ale one już wolą samodzielne działania w kuchni, więc lasagne robimy najczęściej właśnie z Zosią, która w tym roku skończy sześć lat. Tzn. Zośka bardzo chętnie pomaga mi przy układaniu makaronu, a potem wszyscy spotykamy się przy stole. I to też jest smakowite i ważne spotkanie.

Jolanta Gajda-Zadzworna

*szef kuchni, który w bloku „Ferie z TVP” współtworzy i prowadzi programy „Zaloguj się w kuchnię” (TVP3) oraz „Ugotuj nam bajkę” (TVP ABC)

Chlebek bananowy

Składniki na 1 chlebek: 4 dojrzałe banany, 2 jajka, 3 łyżki miodu, 230 g płatków owsianych górskich, 70 g oleju kokosowego, 1 łyżeczka proszku do pieczenia, ½ łyżeczki cynamonu

Przygotowanie: Zostaw połowę banana przeciętego wzdłuż, resztę obierz i roznieć widelcem, dodaj miód i jajka. Całość zblenduj. Płatki zmiel na mąkę, dodaj do nich proszek do pieczenia i cynamon. Całość połącz z masą bananową, dodaj płynny olej kokosowy. Całość wymieszaj na gładką masę. Ciasto przełóż do keksówki wyłożonej papierem pergaminowym. Na wierzchu ułóż przeciętego banana. Piecz w piekarniku rozgrzanym do 180 st. bez termoobiegu przez 30–40 minut. Gotowe.



SŁODKO-SŁONY



Czyszczenie spiżarni

ANNA MONICKA

Po świętach zawsze warto zrobić przegląd szafek w kuchni i zobaczyć, co tam słychać w spiżarni. Warto posprawdzać terminy przydatności do spożycia kasz i makaronów i zajrzeć do zamrażalnika – w tym samym celu. U mnie przegląd zakończył się ostatnio całodniowym gotowaniem, bo znalazłam kilka paczuszek suszonych owoców – jeszcze ubiegłorocznych. Z zamrażalnika wykopałam kilka woreczków z gnatkami, głównie kaczymi, odłożonymi, żeby nagotować na nich smak na zupę, w szafce znalazłam kaszę jęczmienną perłową, a w garażu, który jest u mnie spiżarnią – potężną włoszczyznę, trzy wielkie pory, lekko podwieńniętą paprykę i pół wiaderka kapusty kwaszonej, która została po łazankach.

Rano nastawiłam kompot z suszu – jest zawsze wspa-
niałym napojem na zimowe dni, pełnym witamin, pach-
nącym cynamonem, przyspieszającym trawienie. Z pora
i papryki zrobiłam pastę na kanapki. Warzywa trzeba
poszatkować i podduśić na maśle klarowanym, a potem
albo jeść na ciepło z chlebem, albo zapiec na bułkach.
Miła i smakowita odmiana po świątecznym obżarstwie.

Na koniec – zupa. Ta musi się pogotować kilka godzin,
żeby osiągnąć efekt. Osobno naciąga smak na kościach
i włoszczyźnie z suszonymi grzybami – wolno, cały dzień,
żeby wywar wyciągnął z kości wszystkie najcenniejsze
składniki. Potem dodałam osobno ugotowaną kaszę do-
prawioną proszkiem curry, a żeby uniknąć klasycznego
krupniku – na koniec do gara wpadła posiekana i podsma-
żona wcześniej na maselku kapusta kwaszona i osobno
ugotowane pokrojone ziemniaki. Kiedyś taką zupą po-
częstowała mnie koleżanka i od tamtej pory marzyłam
o powtórce. W okolicach, z których pochodzi jej mama,
krupnik zawsze gotowany jest z kapustą. Wcześniej nigdy
takiego nie jadłam.

To tak naprawdę zupa, która zastępuje cały obiad, bo
po obraniu kostek z mięsa i pokrojeniu grzybów w garze
można postawić łyżkę. Jest też bardzo zdrowa, a nie ob-
ciąża brzucha. Idealna na zimę, warto tylko do gotowa-
nia smaku dorzucić rozgrzewacze: małą papryczkę chili
i kilka plasterków imbiru.

WILCZYM OKIEM



Zagadka węgorza

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Wędrówka węgorza europejskiego *Anguilla an-
guilla* to jedno z najbardziej epickich wyda-
rzeń świata przyrody. Mało co może się równać
z jej rozmachem i romantycznością, a zarazem mało co tak
skutecznie kryje się przed naszym poznaniem w głębokim
mroku – w przerośni i dosłownie.

Węgorze bytują w rzekach i jeziorach Europy, w tym Polski,
przez kilkanaście lat pędząc życie skrytych nocnych drapieżni-
ków. Pewnego dnia zmieniają barwę na srebrzystą, przestają jeść
(ich żołądki zanikają), gromadzą się i ruszają w drogę, opuszcza-
jąc ojczyznę. Trudno zresztą powiedzieć, czy ojczyznę opusz-
czają, czy też do niej wracają. Na tarło płyną bowiem w miejsce,
w którym lata temu wykluły się z ikry i skąd niegdyś, jako małeńki
narybek, przybyły. Płyną na dno Morza Sargassowego.

Jak węgorze pokonują około 6 tys. km, przepływając odmęty
Atlantyku i omijając czyhające w nich niebezpieczeństwa, po-
 zostaje zagadką. Jak dotąd nie udało się bowiem przesledzić ich
wędrówki.

Wiemy tylko, że pewnego dnia, po półtorarocznej odyssey,
docierają do mrocznego, pełnego splątanych gronostojów
Morza Sargassowego, po czym w tysiącmetrowej głębokości
odbywają tarło. Młode węgorzyki, wykorzystując prądy
morskie, wracają i po dwóch–trzech latach docierają do
swoich macierzystych rzek i jezior.

Tyle wiemy, a raczej tyle przypuszczamy, o ile życie węgorza
w wodach słodkich można bowiem nazwać skrytym, o tyle od
momentu, odkąd podążając na tarliska, zagłębia się w ocean, wie-
dza nasza jest szczątkowa. Jak radzi sobie z prądami, jakie zmiany
przechodzi, żeby po latach życia w wodzie słodkiej przetrwać
w zupełnie inaczej wpływającej na organizm wodzie słonej, po
coryba z naszych rzek i jezior nurkuje na gigantyczną głębokość
i jak wytrzymuje olbrzymie ciśnienie? Jak narybek odnajduje
drogę powrotną?

Pytaniem pozostaje także, czy uda się nam zapobiec wyginięciu
węgorzy. Zanieczyszczenie wody, w którym Polska wciąż przo-
duje, to jedno. Przegradzanie rzek – to drugie. Według jednego
z opracowań 4/5 zlewni Wisły uniemożliwia wędrówki węgorzy.

Projekt dalszej kaskadyzacji Wisły zawsze budził mój niepokój.
Czy będziemy potrafili zastosować rozwiązania, które umożliwią
migracje ryb? I czy jesteśmy w stanie zastąpić to, co najskutecz-
niejsze – naturalną rzekę?



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Orkiestra i jej dyrygenci

Przywieziona po wojnie do Polski na sowieckich tankach barbaria, która miała udawać Polaków i podszywać się pod nich, by zawładnąć ich krajem do końca, przybierała różne strategie. Żeby operacja przebiegała sprawnie, najpierw należało stłamsić i ujarzmić mentalnie swoje ofiary. Zdeptać, upokorzyć i ostatecznie zabić ich ducha. A potem dopiero osłabić ciało. Osłabić, nie zabić. Tak, żeby miało siły do codziennej harówki, ale nie było już zdolne do buntu. Sowietci mieli dużą wprawę w jednym i drugim, ale szczególnie w tym pierwszym. Zauważył to celnie Józef Mackiewicz, podkreślając fakt, że gdy Niemcy mordują ciało, to Sowietci duszą. I to drugie jest znacznie niebezpieczniejsze.

JULIA I JEJ MUZYKANCY

Józef Stalin, który sam przyznał, że komunizm Polakom pasuje jak krowie siodło, wiedział, że nie będzie to łatwe. Aby działania były skuteczne, trzeba zabrać im to, co jest dla nich najcenniejsze.

sze. Wiarę w Boga i oddanie Kościołowi. Praktycznie cała historia ujarzmiania Polaków w Polsce Ludowej toczyła się wokół tych dwóch zadań. I trwa do dziś.

Uruchamiano różne akcje mające na celu przede wszystkim rozbijanie Kościoła od środka. Kościół katolicki Sowietci uznali za najbardziej zorganizowaną reakcyjną siłę występującą przeciwko obozowi demokracji i najpotężniejszą siłę w Polsce, z którą naśląnej sowieckiej barbarii przyjdzie się zmierzyć. Wtedy „Krwawa Luna”, komunistka, wzorowy funkcjonariusz bezpieczeństwa, czyli pułkownik Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Julia Brystygierowa przygotowała, a był rok 1947, słynny referat pt.: „Ofensywa kleru a nasze zadania”. Zabrała się ostro m.in. do rozpracowywania księży w podziemiu, kurii biskupich, diecezji, klasztorów, organizacji katolickich, katechetów szkolnych. Nakazała nawet przystąpić do budowy sieci agencji, sygnalizacyjnej i informacyjnej wśród pątników kramikowych, żebraków odpustowych itp. Złożono teczek

obserwacyjno-agenturalne dla każdej parafii i wszystkich księży. Gromadzono szczegółowe dane o przeszłości każdego z nich, ich powiązaniach rodzinnych, osobistych, teksty kazań, listy pasterskie biskupów, materiały z podsłuchu telefonicznego, korespondencji oraz donosów agentury zwerbowanej w otoczeniu księdza i parafii.

Gdy rozbijanie Kościoła od wewnątrz nie przynosiło dostatecznych wyników, zastraszano i mordowano duchownych jawnie. Seria najgłośniejszych zabójstw ujawniła się szczególnie przed „okrągłym stołem”, gdy w 1984 r. zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę, a potem w roku 1989 księży Stanisława Suchowola, Stefana Niedziela, Sylwestra Zycha.

Po każdej akcji SB ostro szła w ruch rządowa propaganda. Szczególne zadania miał do wypełnienia Jerzy Urban. Ogłoszono ustami warszawskiej aktorki Joanny Szczepkowskiej koniec komunizmu. 28 października 1989 r. w głównym sobotnim wydaniu „Dziennika Telewizyjnego”, w rozmowie z prezenterką

Ireną Jagielską, rozanielona aktorka z emfazą, nabożnie wyrzekła: „Proszę Państwa, 4 czerwca 1989 r. skończył się w Polsce komunizm”. Pod pozorem transformacji można było pogłębiać dalszy proces neutralizacji Kościoła, ludzi opozycji i Solidarności. Po wyznaniu popularnej aktorki uruchomiono kolejne etapy propagandy, by przede wszystkim zająć uwagę i zagospodarować świadomość młodych Polaków.

MILICJA I PZPR

W 1993 r. pojawia się nowy rodzaj propagandowej maszynerii nazwanej Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy. Na jej czele staje nieznany szerzej, a potem wykreowany na gwiazdę i idola młodych – Jerzy Owsiak. Coś, co wówczas nikomu się z niczym nie kojarzyło, szybko i na stałe wpisało się w dorobek III RP, czyli intensywny proces laicyzowania młodych Polaków. Nawet dziś, w 29. roku istnienia tej tak zwanej Orkiestry, mało kto wie, że ojciec Owsiaaka był pułkownikiem Milicji Obywatelskiej, a jego matka służyła w milicji w Gdańsku, a później była urzędniczką prokuratury wojewódzkiej tamże. Ciotka Owsiaaka, siostra matki, pracowała zaś w Komitecie Warszawskim PZPR, w Ośrodku Szkolenia Partyjnego.

Ojciec Owsiaaka zgłosił się do milicji jako 19-latek w 1945 r. Jak napisał, z „zamiłowania”. Z akt IPN wyłania się postać o negatywnym stosunku do kleru. Później prowadził wykłady w Ośrodku Szkoleniowym ZOMO (Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej). Pułkownik Zbigniew Owsiak doszedł do funkcji naczelnika Wydziału II Biura Dochodzeniowo-Śledczego, na koniec kariery z ramienia resortu został oddelegowany na stanowisko szyfranta w ambasadzie PRL w Bonn.

WYBRANIEC LOSU

Kim jest nowa medialna gwiazda? Rocznik 1953, urodzony w Gdańsku. Dziennikarz radiowy i telewizyjny. Podkreśla, że do szkoły miał pod górkę. Na studia się nie dostał. Pracował jako psychoterapeuta w jednym z ośrodków w podwarszawskich Łomiankach.

Wspominał też swoje lata w wojsku i to, że symulował wariata. Dali mu kategorię B, a on potrzebował D, pojechał więc do Łomianek jako pacjent. Później trafił do pracowni witraży.

Wychował się w domu, który nazwał ateistycznym. Miłość, przyjaźń, muzyka to hasła, które wcześniej rzucał podczas organizowanych festiwali w Jarocińcu. Później był tak zwany Przystanek Woodstock, organizowany pierwszy raz w Czymanowie nad Jeziorem Żarnowieckim, który poprzedził festiwal Energia Sztuki i Przystanek Żary. Podczas tych imprez prowiant zapewniała Pokojowa Wioska Kriszny. Rozdawano także środki higieny, prezerwatywy i piwo. Alkohol na festiwalach pojawił się w czwartym roku, prezerwatywy od samego początku. Show w Żarach Owsiak rozpoczynał od przeboju Kobronocki „Zabrali nam wolność”. Zebrani walczyli o wolność i tańczyli w błocie. Owsiak był zachwycony: „Przez tych parę dni nikt im nie będzie się wtrącał i kontrolował”. W roku 1998 koszt festiwalu, na który zjechało ponad 100 tys. uczestników, wyniósł 4,5 mln zł. Pokryto go z zimowej zbiórki Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Nigdy nie miał problemów z mediami. Wręcz przeciwnie, przez całe lata można było odnieść wrażenie, jakby istniały one jedynie po to, by go prezentować. On i jego akcje letnie, polegające na taplaniu się w błocie i słuchaniu rockowych zespołów, przez wiele lat przyciągały młodzież i uwagę mediów. On w krótkich spodenkach, zawsze na pierwszym planie, rozkrzyczany. Rozbiegane oczy, dużo wulgarnych określeń, dosadny. Tylko kobiety z ulicznego strajku okazały się bardziej wulgarne.

Owsiak pytany o pieniądze Orkiestry Świątecznej Pomocy zawsze zapewnia, że wszystko jest jak należy. Od początku miał za sobą media publiczne, komercyjne i całą prasę – od „Trybuny”, przez „Gazetę Wyborczą”, po „Tygodnik Powszechny”. Bez ogromnej pracy ludzi mediów wszystkie te działania byłyby najwyżej lokalną inicjatywą. Przez lata przedstawiał się jako obrońca i reprezentant młodego pokolenia. I tak go kreowano. Wiadomo, ile kosztuje kilka sekund reklamy w komercyjnej stacji.

Jednak dla niego zawsze jest czas antenowy. Owsiak uważa, że wyrosły już całe pokolenia na jego „graniu” i na tańcach w Żarach.

Reżyseruje swoje występy. Raz naśladował jakanie, a innym razem popisywał się szybką paplaniną. Do pomocy zawsze miał cały sztab. Ustawiano każdy szczegół. Poczynając od hasła, które potem powtarzał jak katarynka, po stroje, oprawki okularów, kolor spodni. Jego cały styl bycia ma być spójny i odbierany jako jedna „fala spontanu”. Mówił i ubierał się jak ci, do których miał trafiać. Miał tak mówić i myśleć jak oni. Uwodził ich, jednocześnie będąc starszym bratem, kumplem. Ale przede wszystkim miał im się podobać. Choć to nie oni dawali pieniądze, a tylko sięgali do kieszeni swoich rodziców czy dziadków.

RÓBTA, CO CHCETA CIAĞ DALSZY...

W 2012 r. na Przystanek Woodstock jako gość przybył prezydent Bronisław Komorowski. Ta wizyta jednak nie pomogła mu w pozyskaniu głosów i nie dała reelekcji, choć gospodarz imprezy, wielce zasłużony, miał na koncie całe spisy nagród: krzyże komandorskie i kawalerskie odrodzenia Polski, dziesiątki wyróżnień. To doktor honoris causa, kandydat do Nagrody Nobla. Wielu widziało w nim kandydata na prezydenta RP. 14 stycznia 2019, po śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza w zamachu podczas koncertu WOŚP, zrezygnował z funkcji prezesa zarządu Fundacji WOŚP. Ale już 19 stycznia ogłosił, że w wyniku licznych publicznych prośb, wystąpień duchownych i świeckich w trakcie pogrzebu prezydenta Pawła Adamowicza, podjął decyzję o powrocie na stanowisko prezesa, by nasilić walkę z aktami nienawiści. W tym roku będzie walczył po raz kolejny.

Wielka maszyneria medialna wciąż działa. Hasło: „Róbta, co chceta”, powtarzane trzecią dekadę okazuje się skuteczne. W sam raz dla dzieci z polskich ulic, w skocznym rytmie przerabianych na nawóz historii.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

Przywracanie Polski

Warto powrócić do grudniowego wydania, które powinno radować każdego Polaka – Polska Press znowu jest polskie – PKN Orlen, zarządzany przez prezesa Daniela Obajtka, odkupił i przejął od Niemców jednego z największych wydawców prasy w Polsce. Trzeba wiedzieć, że podmioty o kapitale zagranicznym kontrolują aż 76 proc. rynku prasy w Polsce, przy czym aż dwie trzecie tego segmentu skupiają w swoich rękach trzy niemieckie koncerny: Bauer, Ringier Axel Springer i Verlagsgruppe Passau (VGP). Dzięki przejściu Polska Press od niemieckiego VGP koncern będzie miał dostęp do 17,4 mln użytkowników internetu i możliwość pozyskania nowych klientów.

Polska Press posiada 20 z 24 wydawanych w Polsce dzienników regionalnych oraz blisko 120 tygodników, które z powodzeniem funkcjonują w 15 z 16 województw w Polsce, a w większości z nich zajmują pozycję lidera pod względem czytelnictwa i sprzedaży. Portfolio grupy to także 500 witryn online, co czyni ją liderem polskiego internetu w kategorii informacji i publicystyka oraz niekwestionowanym liderem w kategorii informacji lokalne i regionalne. Na przestrzeni ostatnich lat liczba unikatowych użytkowników Polska Press wykazuje tendencję wzrostową, rosnąc w samym listopadzie 2020 r. o 45 proc. rok do roku.

Wymieniam te wszystkie liczby, abyśmy zdawali sobie sprawę z rangi wydarzenia. Niemiecki portal Onet kipi ze złości, a rodzima targowica wtóruje obcym, oskarżając prezesa Orlenu i obecny rząd PiS o działanie wbrew wolności i demokracji! Przewrotność tego typu zarzutów nie zna granic – przecież nareszcie będą przekazywane polskie treści dla Polaków, a nie preparowane dla nas przez Niemców. Należy uważnie posłuchać szefa Orlenu Daniela Obajtka: „Trzeba po prostu mieć odwagę zmieniania rzeczywistości spokojnie w sposób przemyślany, ale z determinacją i konsekwencją. Za długo panowała moda wyłącznie na działania pozorowane, uważanie przede wszystkim na to, by się nie wychylić, posiadamy całe pokolenia menedżerów i polityków, którzy mają przed oczami wyłącznie budowę wizerunku i pilnowanie, by nikomu nie podpaść. Tak siły kraju nie zbudujemy, tak nie zabezpieczymy przyszłych pokoleń. Wierzę, że determinacja i ciężka praca pozwalają osiągać ambitne cele, wierzę w skuteczność zdecydowanego przywództwa. Taki przekaz przyciągnął mnie wiele lat temu do obozu politycznego śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i premiera Jarosława Kaczyńskiego i tak to nadal postrzegam. To ci politycy pokazali, że stać nas na szerszą wizję, że możemy rozpoczynać duże ambitne projekty, mieć odwagę ich uruchamiania. I warto to robić. Trzeba”.

Opozycja i wszyscy inni lewicowo-liberalni politycy, dziennikarze mnożą zarzuty „o utracie wolności słowa, niszczeniu demokracji, o przejmowaniu przez PiS wol-



**Alina
Czerniakowska**

nych mediów”, a przecież pamiętamy, jak było za rządów PO-PSL – wszystkie najważniejsze media mówiły jednym głosem pod dyktando Tuska i jego świty. Niech każdy odpowie sobie szczerze, czy możliwe było wówczas, aby ktoś z prawicy został zaproszony do studia TVP i mógł na żywo powiedzieć to, co chce? Wszystkich tych miotających oskarżenia, bluzgi, a nawet groźby, należałoby zapytać wprost: czy mogą być wolne media w Polsce, jeśli są w rękach niemieckich?

Prezes Daniel Obajtek odpowiada zdecydowanie: „Jesteśmy firmą przestrzegającą we wszystkich obszarach najwyższych standardów. Tak też będzie w przypadku mediów. Wiemy, że gdybyśmy zrobili cokolwiek, co łamałoby dobre praktyki, obróciłoby się to przeciwko nam. Chciałbym, by media Polska Press były niezależne, by redakcje nie były obciążone lokalnymi uwarunkowaniami. Jeżeli za redakcjami Polska Press stanie partner tak solidny jak Orlen, ich niezależność i swoboda znacznie się zwiększą. W tym roku wydajemy na inwestycje 9 mld zł, w tym kontekście transakcja medialna to tylko wycinek kompetencji, które są niezbędne do dobrego prowadzenia pozostałych obszarów i tak proszę na to patrzeć, ale też nie ukrywam, chciałbym, by media w Polsce były polskie, tak jak są niemieckie w Niemczech czy francuskie we Francji. Nie ma to nic wspólnego z łamaniem zasad demokracji ani z polityką”.

Wracam do wypowiedzi prezesa Daniela Obajtka z rozmowy z braćmi Karnowskimi, bo słowa szybko ulatują. Przypomina mi się fragment z pamiętników przedwojennej artystki ze Lwowa Władysławy Majewskiej. Gdy Marian Hemar zażyczył sobie, by słowa refrenu powtarzała wielokrotnie, zapytała, nie rozumiejąc, o co chodzi: „Dlaczego, mistrzu?”. Hemar odpowiedział – bo są takie piękne i mądre, że za szybko by przeleciały...”

Ponieważ po przejściu od niemieckiego wydawnictwa Polska Press nadal trwa zaciepka dyskusja na ten temat, używane są argumenty, często niemające oparcia w prawdzie, warto przypomnieć dokładne wypowiedzi człowieka, który dokonuje tych przełomowych działań, czyli prezesa Orlenu Daniela Obajtka: „Trzeba być człowiekiem spójnym, to znaczy działać w biznesie i w polityce zgodnie z przekonaniami, jakie się głosi. Jeżeli to jest uczciwość, patriotyzm, nie ma piękniucha, udawania, to można osiągnąć cele z pozoru nieosiągalne. Jeżeli zaś ubiera się tylko maskę i kostium polityczny, gra się jak w teatrze dla kariery, to o skuteczności można pomarzyć. Ludzie to wyczuwają, nie pójdą wtedy za tobą, nie przekonasz ich, by podjęli wraz z tobą ryzyko. I to jest właśnie ten drugi element: autentyczność, prawdziwość. Zgodność słów z czynami przyciąga podobnych ludzi, z którymi można skutecznie zmieniać rzeczywistość”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką



FERIE PO KRÓLEWSKU ONLINE

W SIEDMIU REZYDENCJACH KRÓLEWSKICH

Wirtualne spotkania dla dzieci i młodzieży

od 4 do 17 stycznia 2021

na stronach internetowych i kanałach mediów społecznościowych: **Facebook, YouTube, Instagram, Twitter**

- ★ **Muzeum oczami dziecka** wirtualne zwiedzanie
- ★ **Zamkowe Trendy** spotkania ze znanymi youtuberami
- ★ **Muzyczny spacer po Rezydencjach Królewskich** warsztaty wokalne
- ★ **Królewskie bajki** dla najmłodszych na dobranoc
- ★ **Konkursy z nagrodami**

Rezydencje Królewskie

Zamek Królewski w Warszawie

Zamek Królewski na Wawelu

Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie

Muzeum Zamkowe w Malborku

Muzeum Okręgowe w Zamku Królewskim w Sandomierzu

Muzeum Narodowe w Lublinie

Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka

Znajdź nas #feriepokrólewsku



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



MUZEUM
ŻUP KRAKOWSKICH
WIELICZKA

Patronat medialny:



enrasa.pl.12b7d87372

Optymistycznie

Pesymista to podobno optymista, tyle że dobrze poinformowany. Kiedy czytam noworoczne prognozy o nadciągającym pandemiczno-kryzysowym armagedonie, moje samopoczucie pikuje niczym mityczny Ikar z obrazu Bruegla. Dlatego sylwestrowe życzenia zredukowałem do formułki: „Oby nie było gorzej...”. Cztery dekady pracy w wolnym zawodzie udzieliły mi niejednej lekcji pokory. Co nas nie zabije, to nas wzmocni! Wciąż pamiętam załamanie rynku i hiperinflację 1989 r. Jako bezrobotny artysta (z dyplomem inżyniera) szukałem w Niemczech jakiegokolwiek pracy fizycznej. Po powrocie obiecałem sobie solennie, że odąd wyjeżdżał będę na Zachód tylko jako turysta. Słowa dotrzymałem. A nowe doświadczenia zahartowały mnie i pobudziły do działania. Ponoć „tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”. Tu muszę przywołać pamięć naszych rodziców i dziadków, których światowe wojny testowały znacznie okrutniej. W tamtych dramatycznych czasach heroizmu wymagała nie tylko



**Lech
Makowiecki**

walka z wrogiem, ale i zwykła decyzja o posiadaniu dzieci! Oni dali radę – zachowali ciągłość pokoleń – dzięki czemu ja też otrzymałem szansę na zaistnienie. Większości z nich los oszczędził (na szczęście) widoku wojenek toczonych dziś na ulicach miast przez proaborcyjne harcownice.

Zbliża się nowy światowy reset, którego natura nie do końca jest nam znana. Żeby go przetrwać, musimy być mocni, rozsądni, zaradni, pracowici i empatyczni. Musimy się wspierać i odważnie bronić świata naszych wartości. Oglupieni, egoistyczni i skłóceni – utracimy naszą wolność. Tę prawdziwą, zawierającą nie tylko prawa, ale i konkretne obowiązki. W przeszłości Polacy nieraz wychodzili z wielu traumatycznych opresji. Żeby sprostać nowym wyzwaniom, trzeba po prostu nadal robić swoje.

PS Dokładnie 1 stycznia przyszła na świat nasza wnuczka. Kolejna już w tej uroczej gromadce, jaka po nas zostanie. Jak mniemam – nie ostatnia... I stąd właśnie czerpię mój optymizm. Życie zawsze zwycięża!

Mniej niż zero

Oni tam nie byli naprawdę jako oni. No dobrze, byli. Ale tylko zagrali. Bo zostali zaproszeni do zagrania, jak to aktorzy. Nie pchali się jednak na afisz. Nie chcieli rozgłosu, broń Boże! To miało być dla dobra w walce z szalejącą w świecie zarazą. I tak przejęli się swoją rolą, że zrezygnowali z dublerów, sami podstawiali ramiona do dziurawienia skóry. I nie wzięli za to honorarium, które im przysługuje, gdy grają. Tacy byli!

Akcja pod kryptonimem „Bagno” była tajna, jej uczestnicy mieli pozostać anonimowi, niestety, zawsze znajdują się zaprzacnicy, odszczepieńcy i zdrajcy, jak ta psychoterapeutka, która wszystko wypaplała, i ci młodzi, więc głupi, studenci. I się wydało. Zgodnie z procedurą pierwszeństwo w antykoronawirusowych szczepieniach mieli mieć medycy z grupy zero. Jednak w tej dramatycznej walce z pandemią ważniejsza okazała się grupa mniej niż zero – odważnych i zdecydowanych poddać się jako najpierwsi w eksperymencie przyjęciu pierwszej dawki zastrzyków. Niby postkomunistyczna elita, która czuje się, jakby jej ktoś cały czas srał na głowę, ale gdy przyszło co do czego, poszli i wykazali patriotyzm, i promocyjnie wspomogli rząd „tenkraj”, niech obywatele widzą i doceniają, że ich szczepienie jest ważniejsze niż twoje.



**Piotr
Cywiński**

Teraz może nawet polskojęzyczny portal Onet albo tabloid „Fakt”, albo „Newsweek”, też Ringier Axel Springer, dobre słowo o tym napiszą. Dotąd stawiali za wzór Niemców, gdzie porządek musi być. Tylko sami Niemcy nie doceniają, co mają. Każdego dnia umierają setki seniorów, w Berlinie ponad 50 proc. wszystkich zgonów spowodowanych koronawirusem to skutki infekcji w domach opieki, ubolewa opiniotwórczy tygodnik „Der Spiegel” i pyta: „Politycy obiecywali zrobić wszystko, by chronić najsłabszych, co poszło nie tak?”. Tabloid „Bild” pisze wręcz o „katastrofie szczepionkowej”, do której przyczynili się minister zdrowia Spahn, kanclerz Merkel i jej rodaczka na czele Komisji Europejskiej von der Leyen, niemieckie związki gospodarcze i przemysłowe nie zostawiają suchej nitki na całym rządzie federalnym za zaniechaną pomoc dla firm, które cierpią na pandemicznych obostrzeniach... – powariowali ci propagandyści zza Odry! Niech poczytają w Onecie, że Niemcy to wzór dla świata!

A co do tych u nas, którzy nie pchali się na afisz, nie chcieli rozgłosu dla dobra, i tak przejęli się swoją rolą, że zrezygnowali nawet z dublerów i z honorariów... – przecież oni się tylko przysłużyli temu łamiącemu demokrację PiS-owi! Co za wstyd!

**Michał Korsun prezentuje:
Piotr Kraśko i jego Złota Palma**



Wycinki z przeszłości

Powyższy rysunek wydrukował „Ilustrowany Kurjer Codzienny” w grudniu 1927 r. z następującym podpisem: „Co za głupie stworzenie z tej muchy! Lezie koło przyłodka Dobrej Nadziei, aby się udać do Indyj, a tymczasem znacznie krócej jest przez Kanał Sueski!”.

Muchę widać średnio, ale jest – obok globusa.

A oto dwa inne dowcipy z tego samego wydania gazety.

ALTRUISTA

Trzydziestoletni żebrak o wyglądzie zdrowym i silnym prosi o jałmużnę.

– Dlaczegoż to – pytam – nie weźmiecie się do jakiej pracy?

Na to on, robiąc żalosny grymas:

– Przy obecnym bezrobociu, rozumie pan dobrodziej, nie chciałbym pozbawiać pracy jakiegoś może potrzebującego zarobku ojca rodziny.

MIEDZY DYREKTORAMI TEATRÓW

– Jakże tam idzie ta nowa rewia?

– No cóż, nie jest gorsza od innych, tylko nie robi wrażenia na publiczności.

– A to dlaczego?

– Bo nie ma publiczności.

MIEDZY PRZYJACIÓŁMI

– Wiesz, od trzech dni żyję po wegetariańsku.

– Czy lekarz ci to zalecił?

– Nie, to mój rzeźnik nie chce mi dać więcej kredytu.

(mk)

Ze starej serwantki...

Dziś robota „Lirnika Mazowieckiego”. W szanujących się antologiach ten wiersz jako wybitny przykład XIX-wiecznej polskiej liryki figuruje przykładowo. Inni (Konopnicka, Pawlikowska-Jasnorzewska) w nawiązaniu do niego też pisali swoje „kubki”.



Leszek Długosz

**Teofil Lenartowicz (1822–1893)
Złoty Kubek**

*W szczerym polu na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłkami,
Złota kora pod liścikami.*

*Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęły,
Złote liście, złotą korę.*

*Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno male dziecko,
Male dziecko z chatki malej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę,
Przyleciała znad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:
– Złotniczeńku, zrób mi kubek,
Tylko, proszę, zrób mi ładnie.
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Moją matkę zrób mi na dnie,
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny niech się świeci,
A po bokach male siolo,
A na spodku male dzieci.*

*– Ja ci zrobię złoty kubek
I uleję wszystko ładnie:
Zamiast uszka ptasi dzióbek,
Twoją matkę zrobię na dnie;
A po brzegach naokoło
Liść przeróżny się zaświeci,
A po bokach male siolo,*

*A pod spodem male dzieci.
Ale czyż ręce, czyje,
Będą godne tej roboty?
Ale któż się nim napije,
Komu damy kubek złoty?
Kto się w dłonie wziąć ośmieli,
W złotym denku przejrzyć lice?
– Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.
Złotniczeńku, patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice?
Sam Pan Jezus i anieli,
I Maryja, i dziewice.*

CENNIK

PRENUMERAT*

	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

„Absurd naszego świata”

Co pewien czas, w ramach wykraczania poza bańkę swej wrażliwości, wchodzę do księgarni i kupuję tomik poezji. Z końcem 2020 r. padło na książeczkę pod tytułem „Scrabble” wcześniej mi nieznanego Tadeusza Dąbrowskiego. Ale nie o jego wierszach dziś piszę. Chociaż...

INNY POETA

Poeta bardziej znany – Adam Zagajewski – na okładce tomiku informuje, że Dąbrowski posiada „**temperament realisty** [...]”. Jego wiersze osiągają nadzwyczajny poziom skupienia i gęstości, stanowiąc **adekwatną odpowiedź na absurd naszego świata**” (wyróżnienie – AZ).

Najważniejszym z wyróżnionych fragmentów jest oczywiście (oczywiście – czy wasze oczy też to widzą?) ów absurd. Zrekonstruujmy myśl Zagajewskiego: gdy działamy w trybie realisty, dostrzegamy absurd naszego świata, a w dodatku na absurd ów dajemy odpowiedź nie byle jaką, gdyż **adekwatną**. Nie bardzo wiem, co poeta Zagajewski miał na myśli, pisząc o adekwatności, gdyż nie pozostawił żadnych wskazówek w tej mierze. Skupmy się na samym ustaleniu, na diagnozie owego absurdu świata (nie byle jakiego przy tym świata, gdyż naszego).

[Uprzejmie informuję czytelników, że w tym miejscu, niniejszy tekst pisząc o godzinie ok. 23.30, gdy w domu wszyscy już spali, nałamałem sobie łyczek przedniej whisky; dla zaawansowanych: Auchentoshan pełnoletnią. Jakże inaczej zmagać się z poetami...]

AMOR FATI

Amor fati – miłość losu, taką formułę starożytni nasi przodkowie (nie byli Słowianami, sorry) wymyślili na niesforną rzeczywistość. Formułę na nieprzyjemne ścieżki losu. Na rzeczywistość niedopasowaną do naszych oczekiwań, odczuć, myśli. Adamowi



*Ludzie przez wieki z absurdami
świata radzili sobie za
pomocą pewnej metody – dość
sprawdzonej. Mianowicie
swoim umysłem oraz emocjami
sięgali poza ten świat*

Zagajewskiemu amor fati najwyraźniej nie wystarcza.

Tu zaczyna się ciekawie dziać. Poeta Zagajewski jest bowiem zapisany do obozu „postępu” (wystarczy zerknąć na jego występy na łamach „Wyborczej”). No i ten postęp oświeceniowy, naukowo-techniczny, zamiast świat ułagodzić, postępowo naprawić – rewolucyjnym lub choćby reformatorskim czynem – absurdalność świata natężył. Rozumiem przez to – w tym momencie poetę Zagajewskiego interpretuję – że paskudność świata polega na tym, że nawet mimo posiadania dziedzictwa starożytnych przodków (a to różnych stoików, a to epikurejczyków, a to innych myślicieli) owej absurdalności nie potrafimy przezwyciężyć. Musi przybyć z pomocą poeta młodszego pokolenia – Tadeusz Dąbrowski – by dać adekwatną – poetycką, ale realistyczną – odpowiedź.

DWIE ODPOWIEDZI ODMIENNE

Jednak do wyzwania, jakie stanowi absurdalność świata, można podejść inaczej. Najpierw też starożytnie – ale nie po pogańsku. Potem po świecku – ale antypostępowo.

Ludzie przez wieki z absurdami świata radzili sobie za pomocą pewnej metody – dość sprawdzonej. Mianowicie swoim umysłem oraz emocjami sięgali poza ten świat, ku temu, co nadnaturalne. Tu najlepiej sprawdzały się różne religie. No, ale mamy świat postępu (naukowo-technicznego), który te religie, jak tylko potrafi, rozwałkowuje. Czasem wprost można odnieść wrażenie, iż spora część wykształconej ludzkości (w tym przodujące w myśli naśladowczej elity Warszawki) zachowuje się tak, jakby wielkiego dziedzictwa religii już nad nami, ludźmi, nie było.

Druga zaś odpowiedź jest taka: jak chcemy poradzić sobie z absurdem naszego świata, to przestańmy latać jak kot z pęcherzem za innowacjami. Przynoszą one bowiem coraz to więcej problemów. Przestańmy pędzić za światem uciekającym nie wiadomo dokąd, spowolnijmy go nieco. Przestańmy wymuszać na kolejnych pokoleniach dopasowywanie się do absurdalnego świata, to świat spróbujmy przypasować do odwiecznej ludzkiej natury.

To nie ludzie goniący za nie wiadomo czym mają kolejnymi innowacjami naprawiać złe skutki innowacji poprzednich. Raczej przypomnijmy sobie, czego pragnęliśmy, gdy jeszcze nie byliśmy tak bardzo uposażeni w ten cały cyfrowy szmelc, który każdego dnia zamienia nas w swoich niewolników. Spowolnijmy po prostu rozwój, nad którym już nie panujemy. Chrześcijaństwo może tu pomóc.

Poeci zaś niech bożka postępu porzucą i przestaną się obawiać poszukiwać Boga.

PS Wiersze Tadeusza Dąbrowskiego wieczornej lekturze polecam.

Andrzej Zybertowicz

Człowiek Wolności

tygodnika **SIECI**

PRZYPOMINAMY WIELKICH LAUREATÓW NAGRODY TYGODNIKA SIECI Z LAT 2013-2015

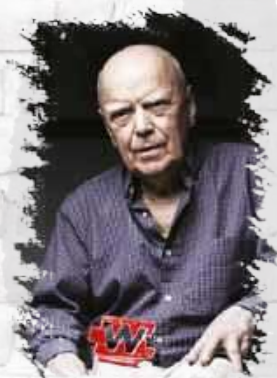
ZA TYDZIEŃ ZAPREZENTUJEMY KOLEJNYCH NAGRODZONYCH



2015

Prezydent RP
Andrzej Duda

Andrzej Duda to prawdziwy prezydent zwykłych Polaków. Nie tylko odniósł sukces w wyborach w 2015 roku, ale dzięki swojemu zwycięstwu uratował również pluralizm w Polsce.



2014

Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz

Jarosław Marek Rymkiewicz tematowi wolności poświęcił wiele swoich dzieł. Pisał: „Wolność jest pewną umiejętnością, a więc trzeba umieć być wolnym”.



2013

Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Prof. Szwagrzyk przywrócił nam część polskiej elity. Dzięki pracy jego zespołu mamy dziś relikwie wolnej i niepodległej Polski.

Człowiek Wolności 2020
tygodnika **SIECI**

Partner Strategiczny:



Polska Grupa Energetyczna

Partnerzy Główni:



Bank Pekao



TOTALIZATOR
SPORTOWY

Partner:



TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY



65 LAT
TOTALIZATORA
SPORTOWEGO

#WielkieChwile